

MAURYCY JOKAI

PORUSZYMY
Z POSAD ZIEMIĘ

POWIEŚĆ

Drowa M. PODSOŃSKA

przełożyła

Zakopane

PENSIJONAT CZERNICHOWIANKA

Tel. 60.

A. CALLIER

~~264.~~

»E pur si muove!«

TOM IV

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1898



Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Февраля 1898 г.



821.511.141.-3



SN 13429

Droga M. PODSOŃSKA
Zakopane
PENSJONAT CERNICHOWIANKA
Tel. 605.

PORUSZYMY Z POSAD ZIEMIEJ

~~Droga M. PODSOŃSKA
Zakopane
PENSJONAT CERKWIOWA
Tel. 67.~~

POCZYNA SIĘ OSIEROCENIE.

Po północy z wielką wrzawą wyszli wreszcie osadnicy zamkniętego pokoju, bohaterowie karciani.

Postacie, których sam widok przejmował smutkiem, twarze spustoszone namiętności dzikich powiewem, spojrzenia samobójców w oczach, śmiertelnie bladzi chciwością i męczarnią z nieotartym na czołach potem.

Pośród nich był i Banyavary.

Był już pijany; śpiewał. Wywijał dokoła tureckim wiśniowym cybuchem i uderzył nim wreszcie z całej siły w stolik.

— Kelner! Przekłęte ścierwo! Gdzie tkwisz u dyabła? Ponczu tym panom! Niechaj dziś każdy poncz pije.

Wygrał widocznie...

A potem zebrał u swego stolika najniższego gatunku motłoch i kazał przynieść wazę, wlał w nią araku, rzucił cukru, zapalił i pośród tej

otaczającej płonąca wazę hordy przydował wybijając takt do jakiejś przerażającej ulicę piosenki.

A potem pił z wszystkimi na braterstwo.

Im bardziej zaś był pijany tem głośniejsze domagał się, by mu więcej każdy okazywał szacunku.

Stąd oczywiście każdy bardziej śmiał się z niego.

Cybuch trzymał w ręce jak berło. I okropnie się gniewał, kiedy kto dotknął tego berła i chciał nim bić każdego.

— Kto ja jestem, ty, niewolniku? — ryknął na przywołanego kelnera.

Ten odpowiedział mu z drwiącą pokorą:

— Jego królewska mość, król Maciej.

— Syn wielkiego Jana Hunyady — dodawał pijany.

— Niech żyje król Maciej Hunyady! — ryknęli z rozgłośnym śmiechem pijący i podnieśli go razem z krzesłem w powietrze.

Majster Tseresnyes mówił smutnie do Kolomana:

— Ilekroć dużo pije, utrzymuje zawsze, że jest królem Maciejem. To ówiek biedaka... A te gałgany wiedzą to już i wyrabiają z nim drwiny.

Maciej Hunyady miał nos zakrzywiony i wygoloną twarz, Banyavary tak samo. To też ten ostatni po trzeźwemu nawet lubił bardzo, kiedy

ktos uważał między nim a portretem wielkiego króla uderzające podobieństwo; kiedy zaś zajął już głęboko na dno szklanki, nie było nic łatwiejszego niż wbić mu w głowę tego ćwieka.

Pośród szulerów był jeden o nikczemnej, wykrzywionej twarzy, w którym gwałtem poznać chciał Banyavary Ulryka Czilley; zawezwał więc swoich przyjaciół, ażeby pomścili się na nim za przelaną krew jego brata Władysława, i zamordowali go koniecznie. Daremnie chcieli go przekonać, że od dawna on już poćwiartowany, Banyavary ciągle zapewniał, że nie poćwiartowali go dobrze; nakoniec zaś kiedy zacięty wróg rodziny Hunyadów zanadto się do niego zbliżył, królewskie z wiśniowego drzewa berło spadło na jego głowę z takim rozmachem, że cały cylinder wbił się aż po nos nieszczęsnemu Czilleyowi.

Z tego wynikła straszna bójka; kelner popieszył unieść wazę z pola walki, poczem majster Tseresnyes i Koloman zerwali się od swego stolika i coprędzej wyciągnęli zagrożonego najjaśniejszego pana z opałów tych na ulicę, co jednak nie przyszło tak łatwo, wpierw bowiem cybuch zasłuzenie na prawo i lewo poorał niejedną głowę, za co znów majster i Koloman odbierali po drodze przeznaczone dla króla Macieja kułaki, dopóki drzwi nie dopadli.

Rozszalały Czilley pędził za nimi z bilardo-

wym kijem i byłby niezawodnie położył Banyavary'ego trupem, gdyby nie to, że Koloman przytrzymał mu rękę.

Na ulicy już ich nie ścigano; przeciwnie zamknięto za nimi drzwi natychmiast z obawy, aby ta wrzawa nie doszła uszu krążącego patrolu.

Dwaj poczciwi przyjaciele musieli z obu stron trzymać pod rękę Banyavary'ego, aby nie upadł lub nie wyrwał się...

Pomacał sobie grzbiet, potem podniósł dumnie głowę.

— Widzieliście jak mnie uderzono? Kiedym oblegał Wiedeń i jako szpieg wkradłem się w bramy oblężonego miasta, pędząc przed sobą koło, ozwał się wtedy strażnik w bramie: „Chłopcze, ty masz akurat taki sam nos jak król Maciej“ — i zmierzył mnie porządnie kijem przez plecy. Prawda to czy nie, żem dostał kijem po plecach?

— Prawda, najjaśniejszy panie — potwierdził szewc; teraz, wszakże starajmy się conajprędzej wydostać poza bramy miasta Wiednia, bo mało brakło, a byłiby tam króla Macieja zastrzelili.

— To była zdrada! — mówił aktor. — Właśny mój sekretarz był tym zdrajcą, on bowiem naznaczył na ścianie mego namiotu miejsce, gdzie zwykłem był siadać.

Przy tych słowach przyszło mu nagle na myśl stać się nieufnym.

— Ale któż wy jesteście, wy, coście się tu zbiegli?

— To już mnie wasza królewska mość nie poznaje? — błagał szewc uniżenie.

— Aha, ty jesteś Czinkotawskim kantorem. Tobie przecież przyrzekłem również że ci każę dać kufel podwójny. Chodź, wracajmy do szynku muszę przekonać się czy rozkaz mój został spełniony.

— Ależ, najjaśniejszy panie, ja nie jestem bynajmniej kantorem — bronił się majster — ja jestem tylko ów szewc...

— Aha! tym szewcem, co to przyszedł do mnie i opowiedział mi anegdotkę, z której dziś jeszcze śmiać się muszę jak sobie przypomnę. I co to za nią ode mnie zażądałeś w nagrodę? Sto kijów. Bo połowę musiałeś z góry już przyrzec klucznikowi, a drugą połowę odźwiernemu. Czy ten tu nie jest czasem klucznikiem?

— Nie, sire — pospieszył Koloman wyciągnąć z biedy majstra. — Wszakże znasz mnie, najjaśniejszy panie. Ja jestem Galeotti, kronikarz waszej królewskiej mości.

— A! uczony Galeotti? — spytał pijany i rzucił się Kolomanowi na szyję.

— Ale idźmy już do domu, sire, aby uczony

Galeotti mógł spisać oo wasza królewska mość w dniu dzisiejszym powiedział i uczynił.

To zaspokoilo błazeńskiego króla, zgodził się iść już do domu.

Nielada wszakże potrzeba było fortelu, aby go w dobry sposób zwabić aż do następnej uliczki, gdzie stał dom majstra Tseresnyes; pijany bowiem stawał co krok i dysputował z prowadzącymi.

— Ale gdzie do domu? Idźmy do Budy, na zamek mój królewski.

— Teraz iść tam nie możemy, bo zamek zamknięty a odźwierny śpi...

To znów okropnie nie chciało mu się pomieścić w głowie, żeby zamek królewski miał być zamknięty w nocy; to znów widocznie intryga tego niecnego Michała Szilagyi. Jutro raniuteńko trzeba mu przyciąć tę hardą głowę.

Szewc począł go mitygować. Toż sam przecie nakazał by z powodu psów, wałęsających się nocą zamek z wieczora już był zamykany.

Nie zadowolili się wszakże tem wyjaśnieniem i przemocą chciał wtargnąć do zamku.

— To dobrze — ozwał się szewc. — Chodźmy do zamku. Najjaśniejsza pani i tak już oczekuje niespokojnie na swego małżonka.

To poskutkowało.

— Moja żona? — wymówił odskakując aktor i zadumał się głęboko. — Nie chodźmy tam...

To zacna kobieta, to poczciwa kobieta i ja ją szanuję niezmiernie; ale wy wiecie przecież, że król Maciej miał i z lewej ręki żonę także. Ci-cho! Żebyście mi nie o tem nie powiedzieli nikomu! Ta święta, poczciwa kobieta nie powinna o tem się dowiedzieć, bo za każdą kroplę jej łez ja morze krwi przeleję. Za każdą z tych łez drogich!

I teraz począł już się rozrzewniać, rozplakał się na dobre.

Tymczasem z wielką biedą wprawdzie udało się wciągnąć go na ulicę Węgierską.

Tam wzrok jego naraz padł na szyld jednego ze sklepów.

— To mój herb! Jakim sposobem dostał się tu mój herb? Kruk z pierścieniem w dzióbie?

Daremnie było sprzeczać się z nim, że to nie jest kruk ale lew, i że nie trzyma pierścienia tylko obwarzanek, on się upierał przy swoim.

— Dobrze więc, najjaśniejszy panie. Tam jest latarnia. Dojdźmy do niej... Tam staniemy a kiedy domy przesuwają się będą przed nami po kolei, poczekajmy aż te drzwi zbliżą się do latarni a wtedy zobaczymy co nad niemi jest namalowane?

Pijany uwierzył rzeczywiście, że domy się posuwają i dał się zwabić do latarni.

Od latarni było jeszcze tylko z pięćdziesiąt kroków do bramy majstra Tseresnyes, ale tu

nowe zaszło niebezpieczeństwo. Przez przyległą przecznicę pędził konny patrol a tętent koni wystraszył Banyavary'ego.

— Ha! to Holubar — krzyknął wskazując na kaprała jadącego na czele patrolu. — Holubar, olbrzym czeski! przychodzi wyzwąć mnie na turniej rycerski. Jam gotów. W proch cię zetrę, pyszny olbrzymie, tak, że ci wszystkie pogruhoczę kości. Prędziej, konia mego, abym go mógł powalić. Rumaka, mego rumaka!

I ujął wiśniowy swój cybuch niby lancę pod ramię i gotował się uderzyć na patrol konny.

— Najjaśniejszy panie, rumaka twego nie ma tu w bliskości, ale zechciej się na moją szyję a w ten sposób będziemy mogli lepiej zaatakować czeskiego olbrzyma.

Przykucnął przed pijanym, któremu Koloman dopomógł wdrapać się na ramiona szewca. Skoro tylko majster Tseresnyes raz już miał jego królewską mość na szyi, ścisnął obie jego nogi pod ramionami i popędził z nim, ale nie na Holubara, tylko ku drzwiom własnego mieszkania, gdzie go już stara służąca niecierpliwie wyczekiwała i nie zatrzymał się już w biegu aż wówczas, gdy go w tylnym pokoju mógł zrzucić na rozesłane łóżko, gdzie jego królewska mość wyciągnawszy ręce i nogi usnął natychmiast, przy czem w chwili swojego prowizorycznego kona-

nia wyjąkał jeszcze te słowa: „Król Maciej umarł — nie ma już sprawiedliwości!“

Majster Tseresnyes obrócił się ze smutnem obliczem do Kolomana.

— I tak to bywa co wieczór, z różnymi wariantami tylko.

Koloman usiadł z oszołomioną głową obok łóżka; zdało się jak gdyby coś z upojenia dawnego kolegi udzieliło się i jemu.

— Co wieczór tak go tu przyprowadzam a częściej jeszcze przynoszę do domu — opowiadał majster Tseresnyes — inaczej bowiem leżałby gdzie na ulicy w błocie i albo obdarłby go jaki rzezimieszek albo patrol zabrałby go na odwach. Jakże mnie boli, że tak piękny talent w ten sposób marnieje...

— A jego żona? — spytał Koloman ze ściśniętem sercem.

— Cierpi i milczy. To święta, anioł, męczennica. Mieszka w Budzie za fortecą, w wąskiej uliczce, w małym pokoiku. Sąsiedzi widzą jak w jej oknie świeca nie zagasa do rana, i jak przy słabem jej świetle ta niewiasta szyje po całych nocach; zdaje mi się, że pracuje za pieniądze. Przez całą noc czeka na swego męża. Bo kiedy niekiedy, gdy przegra wszystkie pieniądze, wcześniej wychodzi z kawiarni i mniej jest pijany a wtedy wraca do domu. Nigdy mu żona nie robi wymówek i niedopusci by kto

coś złego na jej męża powiedział. Ale wieczorem kiedy czasami gra rolę w jakieś sztuce, gdzie kobieta oierpi wtedy w oczach jej widzieć można lzy rzeczywiste. Powiadają wówczas, że „przejmuje się“ swą rolą...

Koloman pochwycił poręcz krzesła i konwulsyjnie przytrzymał ją w dłoni:

— Mój luby kolego; gdybyś ty wiedział jak niewiele brak do tego, bym ci tem krzesłem roztrzaskał czerep — pomyślał.

Stara służąca tymczasem zastawiła na stole chleb i szynkę i położyła dwa noże.

— My obaj nie wieczerzaliśmy dziś jeszcze, panie — ozwał się szewc. Siadaj pan ze mną... Załatwmy raz już tę sprawę.

Kolomanowi zaproszenie to przyszło bardzo w porę, przez cały dzień bowiem nie miał nic w ustach. Ukroił sobie chleba i szynki i zabrał się do jada z apetytem.

— Przekonany jestem głęboko — przemówił szewc — że pan jesteś jedynym człowiekiem, który może Banyavary'ego wyleczyć z tej słabości. Pana on czi i poważa bardzo. Przemawiać do jego rozsądku, do serca, nic nie pomoże. Skoro bowiem jest trzeźwy sam sobie czyni najokropniejsze wyrzuty i człowiek widzi się zmuszonym pocieszać go jeszcze. Gdyby jednak ktoś umiał przeszkodzić zwykłej tej jego do kawiarni wycieczce, gdybyś pan naprzykład

ilekroć po widowisku rozdrażniony zechoc znowu poszukać zaraźliwej tej kompanii, która się stała dlań chorobą, zabrał go z sobą do domu i zajął jakąś szlachetną rozrywką, dajmy na to czytaniem lub czemś podobnem; albo gdybyś pan doprowadził do tego, żeby nie szedł do Pesztu, ale pozostał sobie spokojniutko w której z knajp budeńskich, gdzie tych gałganów nie mógłby spotkać, w takim razie, sądzę, że zwolna wyleczyłby się z tej choroby. Bo to choroba, ułomność, jak lunatyzm lub epilepsya, z których leczyć się trzeba.

— Tak też zamierzam uczynić — wymówił Koloman i uścisnął dłoń rzemieślnika. — Widzisz pan, posłuchałem wszystkich rad pańskich i jestem mu za to winien wdzięczność. W Genui odszukałem tego, do którego mnie pan posłałeś, i nie pożalowałem tego. Potem pamiętałem o tem, coś mi pan powiedział: że powinien dać pokój wielkim historycznym postaciom, że powinien ciągnąć do życia powszedniego i to życie stawić publiczności przed oczy. Kiedym z Raabu płynął na okręcie, który włókł się jak ślimak powolnie, zasiadłem do napisania komedyi; w chwili gdy okręt zatonął, właśnie był ją ukończył. Jest to dzieło trzech dni pracy. Nad tragedya moją pracowałem trzy lata. Ale komedya będzie miała większe mimo to powodzenie. Z wszystkich rzeczy moich ją tylko jedną ura-

towałem z rozbicia. Jutro oddam ją Banyavary'emu. Przez ten czas gdy ją przygotowywać będą, nasz przyjaciel nie będzie szukał swych towarzystw zwykłych. A nim się zużyje jedna, druga już będzie gotową. Nie pozwolę mu już ani na chwilę wybrnąć z pracy. To go z pewnością uleczy.

— Ciesz się mnie szczerze, że dałem panu radę, z której skorzystać mogłeś; a teraz spróbuję jeszcze jedną zrobić propozycją. Powodzenie, widzisz pan, czyni człowieka zarozumiałym. Jak pan znalazłeś tę naszą dzisiejszą wieczerzę.

— Była wyborną!

— Czy chleb nie jest zbyt czarny?

— Przeciwnie, nadzwyczaj smaczny.

— A zatem propozycja moja właśnie dotyczy tego, by ten chleb czarny, ten prosty posiłek, ta izba o nagich ścianach, mogły odtąd być do pańskiego rozporządzenia. Zrozumiej mnie pan dobrze. Ja panu nie ofiaruję bynajmniej jakiegś darowizny, na to nie jestem dość bogaty. Jeśli jednak możesz się pan tem tak skromnem życiem zadowolić, jeżeli tak niewiele panu wystarczy — a jakże panu, mędrcomu, nie miałoby to wystarczyć? — w takim razie zrobię z panem układ, że za osmdziesiąt guldenów rocznie dam panu mieszkanie i utrzymanie. Zapłacić możesz mi pan w końcu roku. Do tego zaś czasu

zarobisz pan sobie przecież w jakibądź sposób osmdziesiąt guldenów...

Koloman zacisnął zęby i pięści; ból, na który nie ma w słowniku ludzkim nazwy, zdało się, że chciał wytrysnąć wszystkimi porami jego ciała.

— Wiem, w jakim pan teraz jesteś położeniu — mówił szewc dalej — i powiem też panu w jaki się sposób o tem dowiedziałem. Pańska babka mieszka tu w Peszcie; nie trudno było się dowiedzieć, że to ja jestem owym śmiesznym człowiekiem, który biednego króla komedyantów co wieczór zabiera do swego domu, żeby gdzie nie zamarł. Staruszka nienawidzi tego człowieka, czemu, pan to będziesz wiedział lepiej. Pewnego dnia kazała mnie przywołać do siebie pod pozorem, że mam zrobić buty dla jej syna. Pocziwy pan Beni dostał trzymaście nagniotków odkąd w peszteńskim obuwiu chodzi po peszteńskim bruku; okulał od tego już formalnie. Stara matrona pokładała we mnie tyle zaufania, że może ja wreszcie będę wstanie zrobić taką powłokę w którejby nogi kuzynka Beni mogły spokojne znaleźć pomieszczenie. Przy tej sposobności zapuściła się ze mną w rozmowę i od słowa szło jakoś do słowa. Poczęła mnie wypytywać dlaczego co wieczór zanoszę do siebie tego pijanego komedyanta; dlaczego nie dopuszczę, żeby sobie leżał gdzie na środku ulicy? Niechby go sobie jaki wóz frachtowy przejechał w ciemno-

ściach, albo niechajby potknął się na moście i spadł w nurty Dunaju... Potem powiedziała mi również dlaczego tak jest na niego zawzięta. On wykradł, uwiódł i zhańbił jej wychowankę, śliczną, dobrą i jak anioł niewinną dziewczeczkę. Ale tego nie dość mu było, i pana, jej ulubieńca, jej ukochanego, jedyne go wnuka, uwiódł on, odwrócił od świetnej, do wysokich dostojenstw wiodącej karyery, pozbawił przyjaźni i pokrewieństwa możnych i wielkich panów. Prawdziwe szczęście jeszcze, że przyszło jej na myśl wysłać pana zagranicę; tam wykształcisz się pan na wielkiego malarza i zapomnisz o sprzysiężeniu z komedyantami. Matrona pokazała mi również piękne obrazy, któreś pan jej poprzyśyłał; a skoro one i mnie się bardzo podobały, powiedziała, że mi jeden z nich podaruje, mogę sobie wybrać wedle upodobania, byłem jej przyrzekł tylko, że się wyrzeknę tej głupoty i nie będę oczekiwał na tego szulera, pijanicę, obdarta aktora. Odpowiedziałem jej na to, że tego w żadnym razie uczynić nie mogę; i ostrzegłem pańską babkę, aby nie donosiła panu, w jakiej nędzy znajdują się nienawistni jej ludzie, bo w tejże samej chwili pan rzucisz w kąt farby i paletę i tak jak ja przybędziesz podejmować z błota spadłą w nie perłę i będziesz się starał z brudu ją oczyścić. Z powodu tej przestrogi właśnie rozgniewała się babka pańska na mnie

straszliwie; klęła, nazwała mnie nędznym knajpiarzem, bohaterem od dratwy, partaczem, zaprzeczyła zupełnie istnieniu węgierskiego szewskiego kunsztu i oświadczyła, że kuzynek Beni nie potrzebuje już butów a nadal chodzić będzie w trzewikach, panu zaś właśnie napisze ona w jakim położeniu znajduje się Banyavary; a jeżeli ośmielisz się pan przyjechać do domu, nie przestąpisz już jej progą i nie zasiądziesz do jej stołu z pewnością, ale możesz sobie iść na bruk i poznać co to bieda; bo ona z całego majątku zrobi majorat i odda go Beniemu. Ja na to nie już nie odpowiedziałem, tylko naciągnąłem sobie kołnierz kapoty na uszy, i baczyłem by jak najprędzej dostać się do domu. I widzisz pan, wszystko tak się stało jakem przepowiedział. Pana tutaj widzę u łoża, pożałowania godnego pańskiego przyjaciela; zabłocone buty pańskie powiadają mi, żeś długą pieszo odbywać musiał wędrowkę. Na majątek babki przeto liczyć już odtąd zupełnie nie możesz. Sam powiedziałeś to pan już przed chwilą, że napisałeś komedya i zamierzasz pisać ich więcej; z tego widzę, że postanowiłeś pan żyć ubogo, jako ubogi literat. To są powody mojej, poprzednio uczynionej propozycyi. Ciasna izdebka, chleb czarny i stół gospodarski — czegoż więcej potrzeba? Resztę masz pan w duszy. Może nie zestarzejem się z sobą razem... Może

nadejdzie czas, w którym wstąpisz pan znowu na stopnie pałaców, w którym węgierski literat mieć będzie dom własny i własną karete. Może tego wszystkiego pan mieć nie będziesz. Może do końca życia będziesz zmuszony pozostać w tej kryjówce. Ale to bezpieczna kryjówka. Dom mój jest nędzny, ale nie ciąży na nim żadne długi; a praca rąk moich da mi zawsze kawałek chleba, który przełamię z panem. Może ten ubożuchny domek przeznaczony jest do tego, by się stał przybytkiem, do którego kiedyś, skoro na miejscu jego stanie pałac, odległe pokolenia pielgrzymki będą odbywały i mówiły sobie: „Tu stał niegdyś ów żłobek, z którego tyle blasku spłynęło na kraj nasz cały. Przechodnie! odkryjcie głowy. Dom ten zwałono od dawna, świat zapomniał nazwiska jego właściciela, ale imię jego gościa wiecznie rozgrzewać was będzie“. Bądź więc pan gościem tego domu.

Koloman rzucił się na szyję rzemieślnika, a uczucia wezbrane popłynęły mu łzami i z ust głębokiem wydarły się łkaniem.

Miał więc już kąć dla siebie!

I z tej ciasnej izdebki, z tego archimedesowego punktu wprowadził w ruch ziemię...

BOHATERKA.

Koloman poprosił gospodarza o atrament i pióro, ażeby tejże nocy jeszcze przerobić nieco nową swą sztukę. Skoro się z tem upora położy się na kanapie i tak się prześpi.

Był już jasny poranek, kiedy Bonyavary obudzili się ze snu i wydało mu się, że wciąż jeszcze na stole płonie świeca, której knot w kłęb zbity migocze czerwonym tylko płomykiem, i że u stołu siedzi śpiąc nieznany człowiek, z głową opadłą na złożone na stole ramiona.

— To nie może być prawda,—mówił do siebie Banyavary, wyskakując z łóżka; przy nim stał kamienny dzban i wiadro napełnione wodą. Dzbanek wypił do połowy, drugą zaś połowę jego zawartości wylał sobie na głowę; potem zanurzył jeszcze całą głowę w wiadrze i wyjąwszy ją spojrział znów ku stolikowi. Człowiek ów z ukrytem obliczem wciąż tam siedział jeszcze.

Cóż znowu, więc to mi się nie śni, — pomyślał i wziął w rękę gruby ręcznik, który mu po-

wieszono obok łóżka na poręczy krzesła; i tarł nim mocno twarz, oczy, głowę; ale siedząca przy stoliku postać nie chciała zniknąć stamtąd żadną miarą. Aż w końcu zmuszony był przypuścić, że to, co widzi jest rzeczywistością.

Jakim sposobem sam się tu dostał, o tem miał pewne niejasne wyobrażenie; i to już nawet począł porządkować w swej głowie że jest czemś w rodzaju dyrektora teatru, który powinienby iść do swego domu; jakim sposobem wszakże ta druga postać tu się dostała i kim ona jest, tego niewiedział zupełnie, a im dłużej nad tem rozmyślał, tem więcej bolał go na głowie włos każdy. Bo u pijanego rozum z głowy wygnany, przenosi się we włosy; nazajutrz po hulance doznaje pijak uczucia jak gdyby każdy włos na jego głowie był osobnym, żyjącym, samowiedzą obdarzonym zwierzęciem.

Nie wiedząc sam dlaczego, okropnie bał się tego człowieka bez twarzy!

Podkradł się do niego: co to mogą być za pisma, przed nim leżące? Spojrzał: jakiś utwór dramatyczny! Odczytał rozłożone kartki. Rzecz wydała mu się bardzo zajmującą. Ostrożniuchno wyciągnął pozostałe części rękopismu śpiącemu z pod łokcia i wysunął się z tem do ogrodu. Śpiącego pozostawił w spokoju, pozostawił też i niezgaszoną na stole świecę.

Niezadługo wpadła stara służąca bez tchu do

majstra Tseresnyes: pan Banyavary oszalał widocznie; biega po ogrodzie, czyta coś, śmieje się, tańczy, skacze i co najważniejsza, rozdeputuje wszystkie zagonki z ogórkami.

Majster Tseresnyes postanowił rzecz tę zbadać do gruntu; ale w furtce ogrodowej omal nie przewrócił go pędziwiatr, który z rozczochranym włosem wpadał do domu i z promieniącym obliczem wołał:

— To Koloman, to Koloman!

W małym pokoiku rzucił się uśpionemu od razu na szyję:

— Więc to ty, Kolomanie!

A potem całował go, całował bez końca.

Koloman przebudzony tak niespodzianie, patrzył na niego wciąż tylko w milczeniu, kiedy tymczasem tamten zasypywał go pytaniami:

— Jakim sposobem tu się dostałeś? Czyś ty ty napisał? Czyś myślał o nas?... Co tu robisz? Co ci jest?... Czy kochasz nas jeszcze? No, ależ nie patrz na mnie tak surowo, nie zabijajże mnie tą twarzą milczącą! Podniosłeś mnie z ulicy pijanego, nieprawdaż? i tu przyprowadził? Wy powiedzże raz wreszcie, że jestem nędznikiem a potem mnie uściskaj.

Koloman nie powiedział mu tego, lecz mimo to go uściskał.

— Widzisz, kolego, takim to jest życie aktora, — tłumaczył mu Banyavary, przybierając

całkiem poważną minę. — Kiedy mu bardzo dobrze idzie, zostaje gałganem, i kiedy mu bardzo źle idzie zostaje gałganem również. U mnie jest teraz właśnie ostatni ten przypadek. Piję aby nie myśleć. Ale teraz będzie już inaczej. Tyś powrócił, z tobą poczyna się nowa dla nas epoka. Czytałem właśnie nowy twój utwór. Żart home-ryczny! Tryskający życiem. Zdobędziemy nim napowrót pupliczność, która się nam przeniewie-rzyła. Zaledwie doczekać mogę by to przeczy-tała Cilly. Idziesz ze mną do niej, nieprawdaż?

Majster Tseresnyes zwrócił nawiasem uwagę, że wypadaloby pierwej zjeść śniadanie; słonina, chleb i śliwowica są już na stole.

— Nie pijemy wódki, — zawołał z wielką pogardą Banyavary. — Toby mi była piękna historia, gdyby Cilly witając nas poczuła, że pi-liśmy wódkę. Pfe! Pójdiesz do mnie Koloma-nie, tam zjemy śniadanie razem. Nieprawdaż?

Koloman zgodził się...

Pożegnali się z poczciwym gospodarzem i ręka w rękę podążyli obaj do mieszkania Banyava-ry'ego położonego w Budzie, po za fortyfikacya- mi w ciasnej uliczce.

Po drodze opowiadał Banyavary swemu przy- jacielowi o nieszczęściach i walkach teatru wę- gierskiego w stolicy w roku ubiegłym. Było to wegetowanie, nędza. Ze sto razy byliby stąd uciekli gdyby na to pozwalały ich długi. Te

zniewalały do znoszenia dalszej nędzy. Próba teatru okazała się na to tylko dobrą, aby dowieść, że Węgry nie mają stolicy, a duch węgierski niema dość zdobywczej siły.

Koloman milczał ciągle.

Droga ich szła przez targ owocowy. Banyavary zatrzymał się przed straganem jednej przekupki i kupił sobie torebkę śliwek, u innej znów przekupki kupił rogalików.

— To przeznaczone na dzisiejsze śniadanie. Wiesz, że Cilly nie znosi kawy, a natomiast na śniadanie bardzo chętnie je owoce.

Koloman jednakowoż dobrze wiedział, że Cilly w domu bardzo lubiła kawę. Resztę zrozumiał. Z oszczędności wyrzekła się tego zbyt kownego napoju...

Przeszli most; stąd prowadziły wązkie marmurowe schody do części miasta Budy, zwanej „Taban“; na jednej z trawą porośłych uliczek tego przedmieścia odszukał Banyavary nędzny, ceglany domek, gdzie była jego siedziba.

Tu mieszka Cilly; przez cały dzień jest sama, w jednym jedynym maleńkim pokoiku, wychodzącym na podwórze.

— Zostań tu teraz, — szepnął Banyavary Kolomanowi. — Pozwól mi, że cię wyprzedzę i przygotuję mego anioła na tę niespodziankę.

I w tem musiało być coś teatralnego.

Banyavary sam wszedł do pokoju. Cilly sie-

działa już u stolika i szyla kostyummy do dzisiejszego widowiska. Aktor wysłał naprzód z melodramatyczną reminiscencyą, własnej swej osoby torebkę ze śliwkami, śpiewając zachrypłym, fałszywym głosem: „Tak niegdyś Parys jabłko ofiarował bogini piękności“.

Cilly uśmiechnięta podała mu rękę.

— Jakto? mój anioł mnie nie bije? — spytał mąż. — Oto moje plecy, sięgaj po klapkę od much... Znowu w nocy grałem...

Cilly łagodnie wstrząsnęła głową.

— Więc się nie gniewasz? Toż się rozgniewaj raz choć troszeczkę, wylaj mnie porządnie. Przywiąż mnie nicią do stolika, abym nie mógł uciec. I tego nie zrobisz? Cóż sam mam się obić? Czy chcesz, żebym sobie głowę o mur roztrzaskał? Toż poskarż się bodaj jednym słowem.

Cilly powstała, uściśnięła powracającego i szepnęła mu w ucho łagodnie:

— Skoro tylko jesteś w domu, wszystko już zapomniane, wszystko dobrze.

— Gdybyś wiedziała jednak co przynoszę z sobą? Wówczas dopierobyś się cieszyła.

— Ja niczego nie pragnę.

— Jednak może! Przypuśćmy, że na jedną kartę postawiłem wszystko co tylko ty i ja posiadamy i powiedziałem: „*Va banque*“! albo „*Nic*“ albo „*Koloman Jenöi*“, a potem wygrałem.

Cilly krzyknęła na te słowa.

W tej samej chwili stanął we drzwiach Koloman, co spostrzegłszy nieszczęśliwa męczennica padła w jego objęcia z płaczem.

Ale nie był to płacz bóleści ale płacz radości niezmiernej.

— Kolomanie, mój ty „drogi Kolomanie“!

— Tak, to on, ten „drogi Koloman“! I nie dość na tem że sam powrócił ale przywiózł nam z sobą jeszcze nowe arcydzieła. Nowy, nieznany dotąd u nas rodzaj, za którym przepadać będzie publiczność. Przez dwa dni nauczymy się go i wystawimy na scenie, a wtedy padną od dźwięku trąb tryumfalnych mury Jeryhonu. Ty masz w tej sztuce podbijającą rolę! Ja zaś będę grał rubasznego szlachcica. Omal nie wyskoczę ze skóry na samą myśl o tem, a będzie to dla mnie rzecz wcale pożyteczna, bo dawną moją skórą brzydzę się i zamierzam zrzucić ją z siebie koniecznie. Zobaczysz jakim ja to teraz całkiem innym człowiekiem będę w tej nowej skórze. Koloman odtąd pozostanie nazawsze z nami. Razem iść będziemy w górę, razem wzbijać się w nieśmiertelność. Na przyszłość będziemy już tylko żyli dla muz i dla ciebie. Zobaczysz! W przyszłości bez Kolomana nie zrobię ani jednego kroku; a gdyby kto poważił się ofiarować mi jeszcze kiedy szklanekę wina, zaskarżę go do policyi jako truciciela. Upajać się będę

odtąd tylko natchnieniem i mojem dla ciebie uczuciem.

Wszystko to deklamował aktor na kolanach i — Bóg czyta w sercach — w tej chwili czuł to wszystko na seryo co mówił; któż winien temu, że po dziewiątej wieczorem inne znów opanowują go myśli, które również szczerze czuje jak poranne.

Cilly tak była gotową przebaczać — co? przebaczać? Toż nigdy nie zdołała gniewać się na niego, nigdy nie miała do niego żalu! Nigdy nie pokazała mu strapionym wyrazem twarzy, że cierpi, że upada pod ciężarem dobrowolnie wybranej drogi życia, pod ciężarem nikczemności wybranego własnowolnie małżonka. Znosiła wszystko w milczeniu i w tem była bohaterką. Jak mówiono, płakała tylko na scenie, kiedy jej tego dozwalała smutna rola. W takich chwilach lżej jej było, że może się wypłakać, że może to uczynić na rachunek gry, na rachunek artyzmu!

A mąż jej wiedział to wszystko doskonale.

— Patrz na tego anioła, — mówił do Kolumana. — Widzisz, że ani jednym słowem, ani jednym spojrzeniem nie czyni mi wyrzutu, mnie swemu nikczemnemu mordercy, który względem niej dopuszczam się grzechu i którego ona codzień po siedmkroć z piekieł wywodzi; nie, tego świat nigdy jeszcze nie widział.

Ale Kolomana gniewały te przesadne wylewy żalu i deklamacye.

— Dajże pokój tej egzaltacyi, kolego. Kiedy w komedyi odtworzę takiego jak ty męża i taką żonę jak Cilly, wtedy zobaczy świat, czego jeszcze nie widział. Teraz wszakże mówmy o prozie życia. Nie potem z zagranicy do domu powrócił aby studyować właściwości twojej natury, ale po to, aby podjąć napowrót sprawę, którą już każdy uważa za upadłą. Ja tak nie sądzę. Rozpocznijmy raz jeszcze od początku. To jest dzieło, które stanowi nowy całkiem gatunek, nieznany u nas dotąd. Treść wzięta jest żywcem z dzisiejszych czasów, w dzisiejszym też pisana języku. Jeżeli to się podoba i pociągnie publiczność, w takim razie znaleźliśmy drogę właściwą. Mnie się zdaje, że to jest jajo Kolumba... Wszędy szukamy węgierskiego narodu, po za obrębem kraju, w Azji, gdzieś nad Lodowatym morzem, po za nami w zamierzonych dziejach, w górze pośród jaśnie wielmożnych, tylko tam nie szukamy go, gdzie jest istotnie dokoła nas i w dzisiejszych czasach. Natężmy nasze siły. Dziś jeszcze rozdasz role tej sztuki, wieczorem pewno nie gracie, będziemy więc mogli zrobić zaraz czytana próbę. Jeżeli twoi koledzy zechcą, mogą się we dwa dni ról swoich wyuczyć a trzeciego już dnia sztukę wystawić. Nim nauczycie się tej sztuki, ja będę już miał nową w pogotowiu

i tak będziemy wciąż postępowali. W głowie mam już cały szereg tematów. Nie damy sobie chwili wytchnienia, chwili spoczynku pokąd tej leniwej, nieruchomej publiczności, która jest środkiem punktem całego naszego istnienia, nie poruszymy z posad. Pokąd w niej nie pocznie krew pulsować potąd i w całym narodzie nie drgnie ani jedna żyłka. A więc bierzmy się do roboty, dziś, natychmiast!

U Banyavary'ego pierwsze wrażenie zawsze było rozstrzygającym; gdyby ktoś szedł za nim krok w krok aby mu dobre wrażenie na podobieństwo morfiny wciąż zastrzykiwać pod skórę, byłby mógł zrobić z niego, jeszcze zdrowego człowieka.

Pojawienie się Kolomana nadało nowy zwrot jego istocie. Zajął go robotą, która rozbudziła w nim dawną jego namiętność, namiętność, silniejszą, nad karcjarswo, nad pijactwo, nad rozpustę, to jest ambicyą. Nie miał czasu szukać zwykłych swych szynkownianych i karcjanych towarzyszy, pokąd nową sztukę trzeba było przygotowywać.

Powodzenie było zupełne.

Trzeciego dnia na łeb na szyję wyuczona komedya, wystawiono, i leniwa, nieruchawa publiczność wyrzucono z jej miejsc... Tego pragnęła właśnie! Obrazu, w którymby siebie samą poznać mogła, języka zrozumiałego dla niej, humoru po-

krewnego jej umysłowi, satyry, na którą zasługuje.

Imię Kolomana otoczyła sława, Banyavary miał teatr pełen po brzegi.

A skoro jedna zużyła się sztuka, Koloman już przysposobił drugą, po niej trzecią i wciąż sypał tak skarby jak z rękawa.

Stał się przedmiotem podziwu...

Po roku kraj cały rozbrzmiewał jego sławą. Dwanaście trup prowincjonalnych szerzyło po kraju we wszystkich kierunkach te sztuki wstawione w Peszoie, i wszędzie publiczność była niemi podbitą.

Co było tajemnicą takiego obrotu rzeczy?

To właśnie, co ongi szewc odkrył Kolomaniowi...

To, że ukazywał publice owe powszednie postacie, które znał każdy; nieokrzesanego szlachcica, wrzaskliwego żołnierza, zakochaną w strojach modną damę, romansową starą pannę, sprzedającego się za posąg dystyngowanego młodzieńca, mieszczucha, żyjącego tylko gwoli własnemu brzuchowi, dumnego arystokratę, leniwego wieśniaka, opoja organistę, przekupnego urzędnika, sknerę hipokrytę, — takie właśnie postacie, których ośmieszanie uważa publiczność za rodzaj wymierzenia sprawiedliwości.

To zapalało, działało, zdobywało ludzi.

Publiczność nazywała z imienia postacie, które

wyłącznie tylko wyobraźnia poety stawiała przed oczyma; ci, którzy w nich poznawali siebie wściekli byli, a ich wściekłość wzmagała tylko powodzenie. Cały zaś świat uczonych był zdumiony, widząc, że powstał nowy cudotwórca, który dostarcza jawnego dowodu, że w zwykłej, prostej, powszedniej mowie można pisać najpiękniejszą poezję, który dotychczasowe pojęcia o kwiecistej poezji, o języku sztuki, zaprawionym na obcych wzorach obala zupełnie i mówi czarownie mimo to, że mówi tak zrozumiale, tak dostępnie dla wszystkich.

A jakaż to była zdumiewająca płodna w skutkach siła.

W dwóch tygodniach, częstokroć nawet w ciągu trzech nocy stwarzał Koloman nowe dzieło, w którym myśl każda była oryginalną, każda sytuacja sama z siebie wynikała. A wśród tego pisał często jeszcze jakąś tragedję, dla własnego już tylko zadowolenia, a raz porwana publiczność poczęła się oswajać i z wielkimi historycznymi poglądami i z jędrnymi jambami i z patosem chodzącej na wysokich koturnach tragiki.

Już teraz majster Tseresnyes i inni gorliwi jak on ludzie nie potrzebowali jak niegdyś na jakieś benefisowe widowisko zwoływać i ciągnąć gwałtem publiczność; napływała ona sama. Wieczorem ku Budzie ciągnęły istne pielgrzymki. Cóż gdyby tak mogli jeszcze grywać w Pesz-

cie! Ale tam niema przydatnego na ten cel miejsca. Rotunda już zwalona, sala pani Csollan okazała się za ciasną, wielki teatr należy do kapłanów obcej muzy; dość dla Węgra i tego, że choć w Budzie jest dla niego miejsce.

A zresztą i tam teatr zawsze jest pełen i dla trupy nastały teraz czasy szczęśliwe, jakich nigdy dotąd nie zaznała. Nie miała już długów, kasa zawsze była pełną, wyznaczono stałe gaże, uzupełniono garderobę i co najważniejsza dla biednej Cilly, Banyavary przez ten czas wielkiej pracy nie włóczył się po nocach, powracał do domu, uczył się, był dobrym mężem. Z tryumfów Kolomana Cilly odnosiła największy pożytek.

A Koloman?

On, co wieczór po wielkim tryumfie powracał do majstra Tseresnyes i dzielił z nim wieczereź składającą się z rumianej zupy.

O tem nikt nie pomyślał, że poeta nie może żyć samą sławą; podówczas nie były jeszcze wynalezione honorarya i tantiemy dla autorów.

Że stał się ten cud mytyczny; materyalne wynagrodzenie autora, to pomysł jego zawdzięczać można, wyłącznie duszy kobiety, w której mógł się on zrodzić jedynie. Gdyby go był mężczyzna przeprowadził, byłby on z rąk jego wyszedł czemś upokarzającym, dzikiem i szorstkiem dziwnie.

Powstał on zaś w taki sposób...

Banyavary sam to powiedział niegdyś, że aktor staje się gałganem kiedy mu idzie za dobrze lub zbyt źle. I nie powiedział tego na wiatr... Bo kiedy poczęło mu iść tak doskonale, nagle pochwycił się na tem, że znowu, mimowiednie dąży do kart i szynku. Wprawdzie nadał temu inny tytuł, mówił, że idzie się trochę rozerwać i na dowód swej stateczności regularnie o północy już do domu powracał a raczej kazał się tam odprowadzać, ale z drugiej strony i to było prawdą, że również regularnie pojawiał się w domu w tem podnieconem usposobieniu, w którym człowiekowi wydaje się, że jest conajmniej półbogiem a całe otoczenie uważa za czworonożne bydłę.

Koloman złażał go raz porządnie za ten powrót do złych nałogów, ale nie wyszedł na tem dobrze. Banyavary na ten raz nie pozwolił sobie zastrzyknąć morfiny pod skórę...

— Co mi ty będziesz prawil i dawał nauki? — odpowiedział mu serdeczny przyjaciel, zaindyczony — czy to ty jesteś moim ojcem? albo opiekunem? Czym ja to dziecko? czym twój niewolnik może, że mi chcesz rozkazywać? Kiedy piję to tosamo, co i ty również pić możesz.

Koloman westchnął głęboko i nie powiedział mu nic już więcej, tylko długo potem nie zaglądał do niego.

Banyavary mógł wybornie uchodzić za prototyp swego gatunku. Bajecznie przywiązany i zdumiewająco niewdzięczny; przeniewierzyć się komuś jest dla niego tak łatwo jak dla kogoś innego zażądać grajcara; wspaniałomyślnym, hojnym umie być względem każdego, tylko nie względem tego komu wszystko zawdzięcza.

Ale za to otrzymał też co mu się należało ze strony, z której byłby się tego najmniej chyba spodziewał.

Pewnego rana kiedy Banyavary wytrzeźwiawszy już ze zwykłego swego rozmarzenia, błagał o przebaczenie swego cierpliwego anioła stereotypowymi teatralnymi frazesami, anioł tak się odezwał do niego :

— Mój kochany, kiedy jesteś trzeźwy, bardzo dobry z ciebie człowiek; ale kiedy jesteś pijany, jesteś całkowicie niepoczytalny i nie wiesz nic co się wówczas z tobą dzieje. Ja temu zamierzam zaradzić... Jeżeli mi raz jeszcze w nocy przyjdiesz do domu pijany, obiję cię tak, że nazajutrz przypominać sobie będziesz musiał, co się z tobą stało poprzedniego wieczora.

Pan mąż rzeczywiście uśmieł się serdecznie z tej tragicznej groźby i pochwycawszy jedną z drobniutek rączek, które mu przyrzekały sprawić tak okropne cięgi, okrył ją pocałunkami klnąc się na niebo i piekło, że radby zakosztować tej rozkoszy, bo to zapewne rozkosz praw-

dziwa być obitym przez te drogie filigranowe rączęta!

Następnego zaraz poranku złożył Banyavary wizytę Kolomanowi.

Czyżby przychodził może prosić go o przebaczenie i pojednać się z nim?... O, ani myśleć. To nie byłoby po aktorsku. To się wśród nich nie zdarza. Urazy tam się zapominają do następnego rana. A skoro obrażający zapomni o tem, obowiązkiem obrażonego jest uczynić toż samo... I kiedy po takim zajściu spotkają się znów z sobą, rozmowę rozpoczyna się nadzwyczaj dowcipną uwagą, że powietrze jest okropnie chłodne, jeśli jest istotnie zimno, lub bardzo gorące, jeżeli temperatura daje rzeczywiście powód do tej uwagi.

Banyavary przystąpił ze śmiechem do Kolomana, który i teraz jeszcze wciąż pisał.

— Coś niesłychanego wydarzyło mi się, kolego, coś niesłychanego! Miej wodę na pogotowiu, żebym cię oblał jeżeli zemdlejesz ze śmiechu.

— No, cóż to takiego się stało?

— Ale pozwól mi pierwej przywołać majstra Tseresnyes; bo to za mało aby jeden człowiek tylko posłyszał tę historią; do tego potrzeba publiczności, któraby biła brawo. Bo to scena, z którą w porównaniu twoja komedia jest worem sieczki.

— No to postarajże się o publiczność.

Banyavary zawołał majstra Tseresnyes z warsztatu; przyszedł w nieodstępny skórzany fartuchu z wielkimi okularami o szklach okrągłych na nosie.

— Ale zdejmn pan okulary, bo nie będziesz się mógł śmiać...

— Śmiech nie jest moją słabą stroną, jak pan wiesz...

— Założmy się!

— I to nie moja słabość. Jeśli mi się bardzo podoba pańska historia gotów jestem klaskać.

— No to posłuchajcież. Zeszłej nocy powróciłem znowu do domu *bene sonantibus*.

— To znaczy mówiąc z niemiecka „z porządnym rauszem“, — tłumaczył majster Tseresnyes.

— *More patrio* eskortowali mnie dwaj wierni towarzysze, aż do domu, tu wsadzili mi w rękę kłamkę od drzwi mego mieszkania, oparli o odrzwia i pozostawili dalszej pieczy Opatrzności.

Koloman syknął niecierpliwie i odwrócił głowę. Jak może z taką śmiejącą się twarzą opowiadać ten, któremu właśnie to się przytrafiło?

— Moja męczennica, mój anioł jak zawsze tak i wczoraj czekała na mnie... Ale na ten raz jako prawdziwy archanioł. Cha! oha!



Kolomanowi drgnęła ręka. Jakże chętnie wyrzuciłby swego kochanego przyjaciela za drzwi!

— Cha! cha! Kiedy otwieram drzwi i wta-
czam się do pokoju, z głową naprzód oczywiście, występuje naraz ten elf ze *Snu nocy letniej*, ta drobniutka laleczka z wosku i mówi do mnie z powagą sędziego: „Nieprawdaż żem ci powiedziała: jeżeli mi raz jeszcze pijany powrócisz do domu, obiję cię“!... Potem nie mówi już ani słowa więcej tylko wyrywa mi wiśniowy cybuch z ręki, drugą z tyłu podnosi rąbek mego płaszcza, zarzuca mi go na głowę, wciska twarz moją w poduszki łóżka i wymierza mi taką porcyę kijów na grzbiet... cha! cha! cha! że teraz jeszcze możecie zobaczyć na moich plecach ich ślady... cha! oha! cha!...

I pośród wielkiego śmiechu ściągnął z pleców ubranie i ukazał ich oczom *corpus delicti*; trzeba było przyznać, że były to tak ucziowie przetrzepane plecy tak wzdłuż i w szerz pokryte ozerwonemi, sinemi i zielonemi pręgami, jakie kiedykolwiek ukazywano gwoli lekarskiego *visum et repertum*.

— Cha! cha!

Dźwięk ten wydarł się z ust majstra Tserenyés. Po raz to pierwszy może zaśmiał się od czasu jak wyrósł na mężczyznę. Natychmiast jednak poskromił ten wybuch i nadał twarzy poprzedni wyraz powagi; tylko palcem ukazując

w powietrzu wyrzekł z miną areopagowej mądrości:

— Zrobiła bardzo dobrze...

Kololan zaś zerwał się z krzesła, poskoczył ku Banyavary'emu i obadwaj padli sobie w objęcia śmiejąc się i płacząc na przemiany.

— Z tej Cilly prawdziwa bohaterka!

— Przyjacielu! — mówił dalej Banyavary z wyrazem niekłamanego podziwu. — To heroina! Dołożyłem wszystkich sił aby jej się wyrwać, ale nie byłem w stanie wysunąć mej głowy z uścisku żelaznej jej dłoni. Nie tak gromiła Dziewica Orleańska Anglików, nie tak Cecylia Rozgonyi Turków jak Cilly obrabiała mój grzbiet... Biedne dziecko! A potem do białego rana nie robiła już nic tylko ślady walki smarowała oliwą i przykładała zmączaną bibułę.

I znowu uścisnął Kolomana.

— Dotąd wszystko było śmiechem, — mówił Banyavary, — teraz przecież kolej przychodzi na poważne sprawy. Rano, kiedy się wyspał i przebudził nie pytałem już oczywiście ani jednym słowem co mi to na plecach tak przypomina sen mój nocny; śniło mi się bowiem, że był zbiegiem z pod chorągwi i że mnie skazano na przejście chłosty. Milczeliśmy oboje o tem co się stało. Mój anioł wszakże był bardzo poważny, i po śniadaniu tak przemówił do mnie:

— Banyavary! Od dziś dnia ja zawiadywać będę kasą, tobie dawać będę kieszonkowe. Niema potrzeby abyś miewał przy sobie wiele pieniędzy. Obejrzałem swój cybuch wiśniowy i dostrzegłem, że jeden jego koniec pękł na dobre. Odpowiedziałem więc: dobrze. Potem wydobyła z wielce rozumną miną długi jakiś rachunek i kazała mi go przejrzeć. Przejrzałem go, toż trzeba było; ale nie wiedziałem co mam z tem począć? Było to mianowicie zestawienie dochodów netto, jakie nam przypadły z wystawiania sztuk twoich. Jakim sposobem mogła tak punktualnie prowadzić rachunki? Ja tego nigdy nie umiałem. Potem tak mówiła dalej: „My mieliśmy znaczne, zbywające nawet dochody ze sztuk Jenöi’ego. Tyś dotychczas myślał, że ta przewyżka na to jest, by ją przegrać w karty lub przepić po knajpach z pijakami, i nigdy nie pomyślałeś o tem, że jedyny nasz przyjaciel, który sprawie sztuki i literatury poświęcił wszystko, majątek, rodzinę, stanowisko, serce, że ten teraz dzieli chleb ubogiego rzemieślnika! W przyszłości dwadzieścia procent czystego dochodu z wystawienia każdej sztuki będziemy oddawali jemu. Dochód z wczorajszego wieczoru wynosił tyle, a zatem na niego tyle przypada. Wydadaj mi kwit i zanieś mu te pieniądze a przynieś również pokwitowanie od niego. Dość już tych romansów, tych uczuciowości; to interes po prostu. Daje

aby i mnie dawano i czynię ażeby i dla mnie czyniono. Taką jest kolej rzeczy“. Tak mówiła do mnie jak filozof, powiadam ci mój przyjacielu, jak prawnik, jak bankier. Musiałem się poddać i przynoszę ci pieniądze. Poddajże się i ty i przyjmij co ci przysłała, bo inaczej nie ważmy się jej pokazać na oczy.

Koloman nic nie mówił, tylko w milczeniu uściskał rękę przyjaciela.

Ten zaś wyliczył mu w nowiuteńkich cwan-cygierach pierwszą aktorską tanytemę na stół.

Kobieta ma racya: *do, ut des, facio, ut facias, do ut facias, facio ut des.*

Koloman pierwsze to honorarium oddał natychmiast majstrowi Tseresnyes, aby go użył na najpilniejszą potrzebę.

— Pokwitowanie napiszę u ciebie w domu, — rzekł do przyjaciela.

Ten zaś cieszył się jak waryat z tego, że go żona obiała i że odtąd będzie już porządnym człowiekiem; grać w karty? o tem już ani marzyć można, boć klucz od kasy w przyszłości będzie u żony; ale i wina odtąd pić nie będzie.

— A że coś przecie pić trzeba, — mówił do Kolomana, kiedy wyszli aby razem pójść do Budy odwiedzić bohaterkę, — w przyszłości więc co wieczór pijać będę herbatę. Tak jest, herbatę! Zostaję odtąd prawdziwym „*teatvoteller*“, prawdziwym herbaciarzem.

Majster Tseresnyes zaś zgarnął pozostawione na stole pieniądze i poszedł z nimi do kuma krawca i kazał Kolomanowi zrobić nowe do wyjścia ubranie. To uważał za najpilniejszą potrzebę.

SZCZĘŚLIWA MIŁOŚĆ.

Kraj rozbrzmiewał już imieniem słynnego poety.

Kraj? Co za kraj?

Średnie klasy, które chodzą w miejskim surducie; część tych, którzy zamieszkują miasta a i część tych, którzy są Węgrami, to jest publiczność poety.

Ludność wiejska nie wie nic o nim, ludność salonów tyleż niemal, tam jeszcze lody.

Nie potrzebuje lękać się by sława jego doszła do tych, którzy go zapomnieli i stanęła im przed oczy żywym wyrzutem; tak wysoko jego sława nie dochodzi jeszcze.

A zapomniano go tam łatwo, jak kanarka, który uciekł z klatki.

On zachował jeszcze portret, ale portret od dawna już go sobie nie przypominał.

Piękne oblicze Madonny od owego czasu wiele zwiedziło już krajów i dowiedziało się o sobie, że jest piękne. Hrabianka przyszła do

przeświadczenia, że zdobywa wszystkich wszędy. Los okazał się bardzo Kolomanowi życzliwym, nie darząc go tym skarbem. O, bo nie temu posiadać piękność tak niezmiernej ceny, kto zazdrośnie strzeże przedmiotu swej miłości, który, wciśnięty w kąt balowej sali ściga oczyma swoje bóstwo i śledzi każdy wyraz na jej twarzy; nie temu kto usiłuje odgadnąć jej myśli, który daje jej całą swą duszę, który płonie na szelest jej sukni, którego jeden jej uśmiech czyni szczęśliwym i który innym zazdrości tego uśmiechu; który domaga się tyle ile sam daje, któremu skarb ten jest całym światem.

Lepiej dla niego było, że ją utracił.

Katinka powiedziała mu raz: „Ja znam mój rodzaj“! Znała też i Dorotę. Pod wpływem takiego umysłu jak umysł Kolomana nie mogła pozostać dłużej niż do siedmnastego roku; następne lata odmieniły nawet wyraz jej twarzy; łagodne przeciągłe rysy zamieniły się w promieniające pełne kształty. To już nie był jego ideał.

Rodzina Decsery nie długo też pozostawała w pobliżu Kolomana, dostatecznie by przypadkowo karetą ich na ulicy mogła obryzgać go błotem, mieszkała teraz przeważnie w Wiedniu.

Wrażenie, które tak krótko trwało, minęło już dawno; razem z idyllą zatarł się język węgierski i poetyckie pierwociny. Hrabianka nie

pisuje już teraz wierszy a nadżupan rozwesela na każdej generalnej kongregacyi, na którą zjeżdża z Wiednia, szanowne *status et ordines* zdumiewającymi gramatycznymi koziołkami, których sławę zaćmiewa zawsze ostatni z kolei.

Balvandy był tym, który zajął i wypełnił miejsce Kolomana. To człowiek, podobający się kobietom. Umie wobec nich zabłysnąć a nie pada nigdy na twarz przed niemi. To ideał... Piękna, dumna postawa, zręczność fizyczna, żelazne zdrowie, umiejętność używania życia w połączeniu z wiecznie wesołym usposobieniem; dumny i śmiały, hojny i szczęśliwy. W sercu jego wprawdzie rozsiadła pustka, jak pośród Sahary, ale to jest — cnotą mężczyzny! to lubią kobiety.

A potem — i prozaiczne motywa są tu w grze...

Rodzina nadżupana Decsery ma rozległe, ogromne posiadłości; ale z tych część jedna jest majoratem, większa część zaś rozpada się na głowy mężkie; córka zaś była skromną partya, gdyby nie to, że łaska dziadka zapewniała już z niezmiernego, uzbieranego przezeń majątku, milion sukcesyj, lecz tylko wtedy, gdy wyjdzie za mąż po jego myśli; w takim razie dziadek w dniu ślubu sto tysięcy guldenów zaraz ma dać do ręki szczęśliwemu narzeczonemu.

A owe sto tysięcy guldenów i ów milion później wielce potrzebne były Balvandy'emu.

W dodatku bowiem do swych rozległych włości, leżących w trzech komitatach miał on jeszcze bardzo wiele długów, pośród których sporo było nadzwyczaj uciążliwych, których przedłużenie trzeba było opłacać lichwiarskimi procentami.

To był istotny powód jego zajęcia się Dorotą, bynajmniej nie twarz jej piękna.

Odwrotnie znowu zależało i Decserym na pozyskaniu barona.

Przedewszystkiem, niemiecki książę udzielny, który przed trzema laty formalnie szalał za Dorotą i nie byłby wcale złą partya, nagle zakochał się w jakiejś śpiewaczce i z nią ożenił. Potem Balvandy był wielkim panem co się zowie; wiedzieli w prawdzie, że ma też i odpowiednią ilość długów, ale milion naprawi znów to wszystko. Nakoniec zaś była jeszcze jedna okoliczność, przemawiająca za nim... Polityczna kombinacya.

W tym czasie nastąpiła zmiana kanclerza; rząd chciał ściągnąć mocniej cugle wpakowane w usta butnych komitatów, i wydał nadżupanom instrukcye, by użyli wszelkich możliwych i niemożliwych środków ku stłumieniu ducha oporu.

Balvandy miał dobra w trzech komitatach, a stosował się zawsze do ducha panującego w każdym z tych komitatów. Jeżeli np. w Preszburgu, zachowywał się tak jak najlojalniejszy

staro-konserwatysta. W komitacie i w mieście panował podówczas prąd taki: „Przecież nie mam ochoty pojedynkować się ze wszystkimi tamtejszymi magnatami, a moimi przyjaciółmi, co byłoby konieczne, gdybym odzywał się wbrew ich zdaniu“! Ilekroć wszakże pojawił się w komitacie, którego nadzupanem był Decsery, nie było bardziej bluźnierczego i krwawego niż on postępowca! „Boć przecie nie mam ochoty bić się ze znajomymi, gdybym miał przeciw nim występować“. W komitacie Ung dokonywał czegoś jeszcze cudowniejszego; tam występował już jako agitator narodowości.

Skoro był w Presburgu chodził z pobożnymi hrabinami na kazania Jezuitów; w komitacie Decsery'ego grał rolę protestanta, nienawidzącego papizmu i księży; gdy zaś pojechał do Ungu, to znów całował na ulicy rusińskiego popa w rękę i pospołu z chłopem w siermiędze szedł z odkrytą głową za procesyą.

A ponieważ wszystko to przychodziło mu tak łatwo, więc nadzupan Decsery wykalkulował sobie tak: skoro ten człowiek węzłami rodzinnymi będzie związany z naszymi interesami, to musi mu się udać bez najmniejszego z jego strony wysiłku, zagrać w moim komitacie tę samą rolę, którą odgrywa tak dobrze w Presburgu. Więcej też prawdopodobnie można będzie wówczas liczyć na jego głos w raichstagu.

Bo w parlamencie baron tym sposobem zwykle wywiązywał się ze swych rozlicznych zobowiązań, że raz miał mowę liberalną z konserwatywnem zakończeniem, drugi raz znów mowę konserwatywną z zakończeniem liberalnem; przy głosowaniu zaś bez wyjątku był *absentium ablegatus*. Zawsze znalazł jakiś powód, aby przed głosowaniem mózdz wyjechać.

Jeśli zatem uda się ustatkować tego człowieka, będzie to dla hrabiego Decsery krokiem naprzód do osiągnięcia książęcego tytułu.

Jedna tylko jeszcze osobistość, i to osobistość główna nie była pozyskaną: stary Decsery. On tu był główną osobą, jako dający pieniądze.

A stary hrabia ma zawsze pieniądze i to wiele pieniędzy nawet. Zawsze w jego domu znalazłbyś co najmniej już jakie sto tysięcy guldenów gotówki; wszystkie te pieniądze zaś przeznaczone są dla wnuczki. Lecz stary hrabia wolałby za swoje sto tysięcy i miliony kupić wnuczce dobra niż męża. Zależało zresztą od tego: jakiego męża? W tym względzie staruszek był uparty. Koloman Jenöi umiał dziwnie jakoś pozyskać jego łaskę. Uważał to za błąd wielki, że rodzina Decserych pozbawiła go względów. Wprawdzie nie pochwalał tego, że Koloman obrał tak ekscentryczną drogę i tak nagle zerwał ze swemi wysokimi stosunkami, ale sądził, że to nie potrwa długo. Każdy młodzieniec

musi wyszumieć, musi stracić sobie rogi; on właśnie czyni to teraz. Niechaj przejdzie ten swój szal wierszowy, nie trzeba mu przeszkadzać; w krótkim czasie sprzykrzy mu się ta cała historia i napowrót znów z niego będzie porządny człowiek. Bo jakież rzadkie cnoty posiada ten młodzieniec: oszczędność, pilność i gospodarność. Jeżeli takiemu człowiekowi dasz córkę z milionem to synom swoim zostawi z pewnością dziesięć milionów... W takim świetle widział Kolomana i dlatego też ani chciał słyszeć o kim innym. Utrzymywał wciąż, że młodzieniec przyjdzie do rozumu, trzeba mu tylko dać trochę czasu. Nie zrzekał się nadziei, że mu za owe podarowane niegdyś dwa grosze zwrócić będzie mógł milion. Jeżeli wszakże dziewczyna już go nie kocha?

Nie z tego! niech go tylko zobaczy znowu w węgierskim solowym tańcu, zakocha się napowrót bez pamięci. Niech tylko Koloman wpadnie ze swemi ostrogami u butów między swoich rywali a rozpędzi ich na wsze strony tak, jak on niegdyś rozegnał swoich, kiedy się starał o księżnę. Toć niedaremnie podarował mu tak pamiątkowy złoty zegarek! Toć na nim wybije kiedyś jeszcze właściwa godzina.

Pewnego dnia jednak przyniesiono staruszkowi nowinę, że stara pani Jenöi pogniewała się na wnuka z powodu niegodnego jego postę-

powania i wydziedziczyła go z majątku, z którego utworzyła majorat dla swego syna; Koloman odtąd nie może już liczyć na nic więcej oprócz skromnego mająteczku po ojcu, i to dopiero po śmierci babki.

To zmniejszyło znacznie zasługi Kolomana. W takich warunkach zaiste trudno kochać go dalej.

Staruszek nie wahał się udać w tej sprawie osobiście do pana Korczy i wywiedzieć się dokładnie o wszystkim co zaszło. On, który nie opuszczał nigdy prawie wiejskiego swego zamku! Księżna i wnuczka jej mogły sobie do woli jeździć po świecie, on nie towarzyszył im nigdzie.

To, czego dowiedział się od pana Korczy, popsulo mu humor ostatecznie.

— A przecież to był taki walny chłopak!

W takim to właśnie był usposobieniu, kiedy go odwiedził Balvandy w zamku Decser, dokąd staruszek powrócił mocno zniechęcony. Czas do odwiedzin wybornie był dobrany.

Stara to anegdotka, znana powszechnie, w której rozrzutny konkurent chcąc skąpemu teściowi okazać się oszczędnym młodzieńcem, podczas rozmowy gasi jedną z dwu świec, stojących na stole, boć i przy jednej dość jest widno do rozmowy, rzucony na ziemię fidybus podnosi i raz jeszcze używa a służbie rozdaje po dwa krajcary na piwo. Mimo wszakże, że to tak stara

sztuczka, zastosowanie jej udało się w zupełności w obec starego Decsery'ego, Balvandy bowiem umiał zawsze ludzi chwycić za słabą ich stronę. W obec babki był rozrzutnym, tam pokazywał się, błyszczał, dla dziadka był oszczędnym, chłodnym i rozsądnym.

Powiedział staruszkowi, że właśnie sprzedał wszystkie swe angielskie konie, które reprezentowały znaczny kapitał. Te konie angielskie przede wszystkim wywołały gniew starego hrabi. Nie mogło mu się w głowie pomieścić jakim sposobem ktoś może jeździć na koniu kosztującym dziesięć tysięcy guldenów, jakim sposobem ktoś naraz może zaprządzić do powozu dwadzieścia tysięcy guldenów, kiedy mierzynek własnego chowu, który go nie kosztuje ani grosza, zawiezie go równie daleko jak koń angielski a w dodatku jeszcze jest ładniejszy, nie tak chudy i w zimie dostaje długiego włosa, przez co nie zziębnie tak łatwo.

A czemu sprzedaje Balvandy angielskie swe konie? Bo rok następny zamierza spędzić na podróżach. Jakich podróżach? Udaje się w podróż poślubną. Kogoż zamierza poślubić? Tym sposobem doszli do właściwego powodu wizyty. Stary Decsery nie od razu przystał na propozycją. Powiedział, że on tu nic nie ma do rozporządzenia. Co księżna i nadzupan w tej sprawie postanowią, to się stanie; on jest tylko pią-

tem kołem u wozu, *pictus masculus*, któremu rzecz jakąś wówczas dopiero się komunikuje kiedy już jest zrobioną. Mimo to wszakże Balvandy mógł opuścić zamek z tem uspokajającym przeświadczeniem, że jeśli stary hrabia nie stawi się sam na wesele do Wiednia, to przyrzeczony posąg przynajmniej znajdzie się tam z pewnością. Następnie pojechała i księżna sama z wnuczką do Decser, do męża, i przy tej sposobności głowa rodziny dał im, wprawdzie po wielkiem wahaniu, one przyrzczone sto tysięcy guldenów do ręki. Resztę dostaną w miarę tego, jak będą umieli gospodarzyć.

Inna przeszkoda małżeństwu temu nie stała na drodze.

A Koloman?... Biedny Koloman! Któż jeszcze o nim byłby myślał?

.

Pewnego rana wpada Banyavary z rozpromienionem obliczem, rozrzuconymi włosami i krzywo zawiązanym krawatem do pokoju Kolomana, rzuca mu się na szyję, ściska, całuje a potem bełgocze te wyrazy:

— Przyjacielu! Jestem ojcem!

Gdybyż tylko nie wypowiedział był tego z tak komedyanckim patosem!

Koloman rzucił mu pytające spojrzenie.

Banyavary zrozumiał pytanie zawarte w tem spojrzeniu.

Dumą promieniała twarz jego:

— Chłopak!

To było odpowiedzią.

Co za radość, co za duma, co za chępczenie się, co za wyznanie szczęścia leży w tem słowie! Jak błyszczą oczy, jak głowa podnosi się w górę, jak pierś się rozszerza przy tem słowie: „Chłopiec“! Gdyby jednak musiał powiedzieć: „Tylko dziewczyna“! jak bezdzwięcznym byłby głos jego, jak wzruszałby ramionami, jakże spuszczałby oczy, jakżeby nos zwiesił na kwintę!

Ale jest chłopak właśnie, a takiemu należy poszukać sławnego i dostojnego jakiego chrzestnego ojca i odpowiednią mu matkę chrzestną.

— Cilly ciebie wybrała na kuma.

Koloman z radością przyjął ten wybór.

— Wybór chrzestnej matki pozostawiła tobie. Ja życzyłbym sobie panią Csollan. Może ty masz co przeciw niej...

— Nie. Cenię ją bardzo.

— Biegnę więc do niej by ją zaprosić.

— Pani ta o tej porze jeszcze siedzi zwykle przed lustrem u toalety.

— O, mnie i wtedy nawet przyjmie, — powiedział Banyavary porywczo, ale wnet się opamiętał i pośpieszył dodać:

— Wiesz przecie, że aktor ma zawsze wyjątkowe prawa i stanowisko. Jego się nie uważa za zwykłego człowieka.

I pobiegł dalej. W kuchni uścisnął starą słu-
żącą, w warsztacie majstra Tseresnyes, przed
wszystkimi chwalił się, że ma syna; tak samo
każdego napotkanego na drodze znajomego przy-
cisnął do muru i nie puścił dopóty, dopóki mu
nie powinszował tego szczęścia, że mu się syn
urodził; w ten sposób doszedł wreszcie do pani
Csollan.

Katinka przy tych chrzcinach oczywiście
spotkała się z Kolomanem.

Śmiała się tak uroczo, tak dobrodusznie po-
dając mu rękę...

— A więc mimo i mimo wszystko idziemy
jako „para“ razem do kościoła.

— I to jeszcze jako taka, która wedle praw
kościelnych duchowo zawiera pokrewieństwo, —
uzupełnił Koloman.

Katinka przystąpiła następnie do Cecylki, na
której twarzy świecił teraz najpiękniejszy z ziem-
skich dźwięków — radość macierzyńska. Piękna
pani wzięła na rękę dziecię w poduszczę.

— Jakież ono „już“ ma śliczne oczki!

Może nigdy jeszcze nie widziała takiego ma-
leństwa i wyobrażała sobie, że dzieciom po dzie-
więciu dniach dopiero otwierają się oczy jak
małym kociakom.

Chrzestni rodzice w jednym powozie jechali
do kościoła, razem trzymali dziecko nad chrzciel-

nicą i zapisali tuż obok siebie swe nazwiska w księdze metrycznej.

Kolomana nawet wszystko to razem wzięte nie mogło rozgrzać żadną miarą.

Przy uczcie po kościelnej ceremonii, piękna pani była w najlepszym humorze; żartowała, swywoliła niemal; widocznem było wszakże, że szpileczki, które kiedy niekiedy rzucała w rozmowie, w domu jeszcze były przygotowane, bo w zastosowaniu nie udawały się zupełnie. Sądziła, że Kolomana zobaczy zmartwionym, upadłym na duchu, tymczasem był w jak najlepszym usposobieniu i tej jego wesołości nie można było zarzucić ani trochę przymusu...

— Czekaj wynajdę zaraz takie miejsce, które dostępnem jest do zranienia...

Chrzestna matka pamiętała o cukrach, które przyczyniły się do uświetnienia uczty. Pośród tych fantazyjnych fraszek były i takie, które kryły w sobie jakiś miły upominek, pudełeczko pełne dukatów dla pastora, który chrzczył dziecko i dla akuszerki, z wypisanem nazwiskiem tych, dla których były przeznaczone.

Koloman otrzymał koszyczek z łyka palmowego upleciony i wypełniony z kwiatami z cukru. Katinka oddała mu go sama i prosiła, ażeby zobaczył co się pod kwiatami ukrywa.

Koloman podniósł kwiaty i zobaczył na spodzie kartkę glansowanego papieru zadrukowaną

złotem. Złote owe litery oznajmiały wszystkim arystokratycznym znajomym rodzin Decsery'ch i Balvandy'ob, że oba te rody w dniu dzisiejszym połączą się z sobą węzłem małżeństwa... Dziś więc był ślub Balvandy'ego i Doroty.

Katinka śledziła z gorączkową, złośliwą radością, jaką zmianę na twarzy Kolomana wywołała ta wiadomość. Teraz chyba posmutnieje! Kto wie czy mu z oczu strumień łez nie tryśnie? A może też udawać będzie, iż go to nie zabolalo i będzie to czynił niezgrabnie? Może też pocznie pić wino i prawdziwe uczucia spróbuje zagłuszyć w kielichu?

Nic z tego wszystkiego! Koloman rzekł spokojnie.

— Wiedziałem o tem od dawna. I zdaje mi się, że to będzie szczęśliwe małżeństwo. Balvandy to dzielny człowiek i poczciwy, mogący zapewnić szczęście kobiecie.

Katinka zagryzła usta.

Koloman miał tyle jeszcze humoru, że uprzejmie podał jej koszyczek napowrót.

— Czy nie zechcesz, piękna pani, zachować sobie jednego z tych kwiatów na pamiątkę?

Tego człowieka nigdzie zranić nie można. Albo też może ma on jakąś tajemnicę, której nie sposób tylko wysledzić.

Gdzie też jest ta jego Achillesowa pięta? gdzieby go zranić można?

Teraz Katinka zdjęła srebrną czarę z cukrami z podstawy i stąd wyjęła zwój papieru, który rozwinęła i podała Banyavary'emu.

— To zaś jest mój podarek chrzestny, który dla kochanych kumów moich przyniosłam.

Banyavary odczytał pismo, wypuścił je z rąk, padł przed Katinką na kolana, całował jej rękę, potem chwycił znowu za papier, potrzymał go przed Kolomanem: „Czytaj“! przed księdzem: „Patrz pan“! pobiegł potem do Cecylki: „Czytajże“! Ale nikomu nie zostawił tyle czasu, by mógł bodaj jedną odczytać literę; nakoniec wskoczył z arkuszem na krzesło i z tej wysokości odczytał sam treść jego głośno.

W piśmie tem zawiadamiano Banyavary'ego o szczególnej łasce jego książęcej mości Pałatyna, który dozwalał węgierskiemu towarzystwu dramatycznemu na przyszłość raz w tydzień grywać w wspaniałym peszteńskim niemieckim teatrze...

Ah! jakaż to była radość! Banyavary całował jak szalony ów tak drogi dokument z obu stron po sto razy. Cilly łzami zalaną twarz ukryła w poduszkach. Był to szczyt jej marzeń, najśmielsze z pragnień! Jak wielką musiała być uciecha tych ludzi, najlepiej mogła to piękna pani wyczytać z twarzy Kolomana. A kiedy Koloman uścisnął serdecznie jej rękę i szepnął wzruszony: „To pani zawdzięczam! To twoje

dzieło“! — wówczas odgadła już tajemnicę Kolomana.. Ten człowiek cieszy się i żyje szczęściem swoich blizkich!

.

Około tego samego czasu odwiedziła pani Jenöi pana Korczę.

Sędziwa matrona weszła z surową, niezmiernie miną i przyprowadziła z sobą pana Beniego, który tym razem kulał tylko na lewą nogę z powodu odcisków. Twarz pana Korczy ruchliwszą była jeszcze niż zwykle skoro zobaczył staruszkę.

— Proszę siadać.

Pani Jenöi siadła na sofie, Beni zamierzał pozostać w postawie stojącej ale matka ofuknęła go ostro:

— Siadaj kiedy ci mówię!

Potem przemówiła do pana Korczy:

— No, panie mecenasie, czy przygotowałeś to, com ci poleciła?

— Nie jeszcze.

— Kiedyż więc będzie gotowe?

— Kiedy będzie gotowe? — powtórzył pan Korcza.

— Tak jest, kiedy będzie gotowe?

— Lecz co takiego?

— Cóż u licha! Teraz pan pytasz dopiero?

— Tak. Łaskawa pani tyle ma procesów u mnie, że sam nie wiem, o który chodzi.

— Nie chodzi mi tu o żaden proces. Przychodzę do pana w pewnym interesie, który panu dobrze jest wiadomym. Kiedyż go pan nareszcie ukończysz? Odpowiedz mi pan bez ogródek i bez wykrętów.

— Dobrze więc, odpowiem pani na to bez ogródki. Tego interesu nie przeprowadzi pani nigdy, nigdy moja ręka.

Staruszka zerwała się osłupiała i wylekła z swego siedzenia, co widząc i kuzynek Beni skoczył jak podrzucony w górę sprężyną.

— I czemuż to?

— Dlatego, że łaskawej pani nie dopomogę do kaprysu. Pani chcesz odtrącić od siebie dziecko dobre, genialne, dziecko, które rok tylko było moim synem a które ja przecież pokochałem jak własną krew swoją, odtrącić po to aby drugie obdarzyć majoratem. Ja do tego ręki nie przyłożę. I bodajby mi pierwaj ręka ta uschła niżbym jeden jej palec podniósł w tym celu.

Teraz i staruszka rzuciła się z kolei.

— To poszukam sobie innego adwokata.

— Poszukaj go sobie pani.

— Odbieram od pana wszystkie moje sprawy — i to natychmiast!

Na tę groźbę pan Korcza nie odpowiedział ani słowa, otworzył tylko szafę, sięgnął po plik związanych aktów, wyjął je i nie powiedziawszy nawet „Służę pani“! położył zakurzone akta na

wyciągnięte ręce kuzynka Beniego, który poglądał nieruchomie jak upieczona ryba, kiedy znoszono wciąż pliki aktów urastały w stos coraz większy. Beni musiał je przytrzymywać brodą, aby z tej spiętrzonej góry nie spadły mu na ziemię.

Ale matrona chciała pozostać konsekwentną w gniewie swoim i dumie.

— Dobrze, niosę wszystko natychmiast do innego adwokata, nie brak ich w Peszcie. Udam się do pańskiego adjunkta i jemu wszystko to oddam. Jak się nazywa ten kulawy?

— Kulawy nazywa się Biroczy; mieszka na ulicy Słowiczej, nr. 50. Idź pani do niego z całym tym kramem. Ja i tak teraz właśnie oddałem mu także akta innej pani. Nie chcę już nadal męczyć się z kobietami ani z pięknymi, ani z brzydkimi.

— Mnie liczysz pan zapewne do brzydkich kobiet, nieprawdaż?

— Nietylko do brzydkich ale i do złych, do rzędu kobiet bez serca, okrutnego umysłu, kobiet pozbawionych uczucia! Tak, dowiedziałaś się teraz odemnie, łaskawa pani, tego czegoś nie wiedziała dotąd, a teraz możesz sobie pani już robić co ci się podoba. Adoptuj pani swego wnuka, tego zaś szlachetnego, dzielnego, genialnego chłopca, rzuć na śmietnik, na gnojowisko, on i tam pozostanie perłą... Tego smarkacza

z długą brodą, możesz pani zrobić ordynatem; kup mu pani tytuł hrabiowski, ażeby miał dwa rogi więcej, strój go w złoto jak meksykańskiego kacyka, powieź do Wiednia, ożeń go z wymalowaną starą kwoką, żeby miał kogoś, coby mu przy jedzeniu zawiązywał na szyję śliniaczek...

W tym tonie byłby pan Korcza mówił dłużej jeszcze, gdyby nie to, że staruszka wypohnęła do sieni Beniego, który stał z rozdzwioną gębą i ciekaw był posłyszeć co też ten maleńki człowieczek wie o nim jeszcze? Ale musiał iść ze stosami aktów, które mu zsypano na ręce.

I ty byłeś w stanie słuchać go jeszcze dłużej, jak cię lży w oczy bez miłosierdzia! — wpadła na niego stara matrona po wyjściu z sieni na ulicę.

— Ale pats matecka, pseciez on powiedział prawdę, bo ja na prawdę mam taką długą brodę!

Dla biednego Beniego poczęło się teraz utrapienie ze stosem papierów na rękach! Nie liczyli na to, by im tu potrzeba było zajechać frachtowym wozem a w tej części miasta doróżki nie było i na lekarstwo. Skutkiem tego Beni musiał z ciężkimi aktami wleoc się aż na ulicę Słowiczą; wprowadzie mama odebrała od niego kilka fascykułów, aby biedakowi ulżyć ciężaru ale mimo to jeszcze pozostało ich tyle,

że nie mógł sobie z nimi dać rady. To ten, to ów zwitek swywolny wyslizgał się niby węgorz z pomiędzy innych, a kiedy go choiał podnieść spadały za nim inne a wiatr rozkosznie rozwiewał duże arkusze, które dopędzali uliczniki. Staruszka rozwścieczona była jak lew... Nareszcie dotarli do mieszkania Biroczy'ego.

Wieczorem pan Korcza spotkał się z Biroczym.

— Była stara u pana?

— Była.

— Przyjąłeś pan jej sprawę?

— Przyjąłem.

Pan Korcza zdumiony był niezmiernie i oburącz chwycił Biroczy'ego za ramiona.

— Co? ty! najlepszy przyjaciel Kolomana? i zobowiązałeś się prowadzić wydziedziczenie go?... — Potem wzruszył ramionami. — Zresztą może i masz słusność. Jeśli ty tej sprawy nie przyjmiesz, przyjmie ją inny. Toć w Peszcie jest trzystu adwokatów. Jeśli tak zapatrujesz się na tę rzecz całą... Przyjaźń przyjaźnią a interes interesem!

Pan Korcza kręcił mocno nosem.

— Nie z tej strony zapatruj się pan na tę sprawę. Dlatego właśnie, że jestem przyjacielem Kolomana podjąłem się spisać adoptacją. Udało mi się do dokumentu urzędowego wsunąć klauzulę, która myśli starej pani Jenöi odpowiada

w zupełności i zadowolila też ją kompletnie; klauzula ta zaś brzmi jak następuje: „gdyby jednak wnuk mój Koloman miał zerwać stosunki przyjacielskie, które go łączą obecnie z bawiącą tu trupą aktorów; gdyby się rozstał z panem Banyavary i odtrącił go od siebie, w takim razie syn mój Benjamin obowiązany jest oddawać Kolomanowi połowę dochodów, przypadających mu z dóbr majoratu“!

Pan Koroza począł skubać wąsa.

— „To i masz nic, trzymajże je mocno teraz“! Ta klauzula byłaby bardzo wiele warta, „gdyby“ i „gdyby“. Wedle wszelkich ludzkich obliczeń bowiem, można na to liczyć, jak to ty uczyniłeś, iż Koloman wiecznie przecież nie będzie przyszyty do tych fatalnych komedyantów; a wówczas wystąpiłoby owe „gdyby“. Wielkie to wszakże pytanie, czy Koloman przy tem pełnem wzruszeń życiu, jakie teraz prowadzi, przy tej nadludzkiej, natężonej pracy, pod naciskiem tylu cierpień i niedostatków nie umrze pierwej niż...

— Niż przyjaźń jego z Banyavary'm się skończy?

— Nie. Nim Beni z oddanym mu majoratem załatwi się gruntownie! Bo za to daję sobie uciąć rękę, że ten Beni, któremu babka oddaje teraz tak rozległe posiadłości, nie pozwoliwszy mu poprzednio nigdy ani trzymać konia ani

odegrywać roli wielkiego pana, w jak najkrótszym czasie, z samego nierozsądku tylko, straci wszystko, co mu oddadzą do rozporządzenia... A na cóż wówczas przyda się biednemu Kolomanowi ta znamienita klauzula?

— No, to ja panu powiem że gotów jestem dać uciąć sobie rękę, a choćby i ramię, jeżeli niedalej niż za pół roku Koloman nie rozpędzi wszystkich tych przyjaciół z Banyavary'm na czele.

— O! mówisz jak prorok!

— Pozwól mi pan już być prorokiem. Nie mówmy z sobą o tym przedmiocie nie zgola przez pół roku. Zresztą i bez tej umowy prawdopodobnie nie zobaczymy się z sobą, ja bowiem puszczam się na czas dłuższy w podróż do Wiednia i Paryża.

— Cóż u kata? Dla przyjemności tylko?

— Po części i tak, po części zaś dla tego by dopilnować nieco Beniego, którego matka wysłała aby się cokolwiek przetaił w świecie i coś zobaczył..

— Ah! Wypędza się ciele do Wiednia, żeby stamtąd powróciło wołem A pan jesteś pastuchem bydła?

— A prócz tego jeszcze jadę tam w interesie innego jeszcze mego klienta.

— Do Paryża?

— I tam również.

— *Ecce!* Nigdy nie doszedłem do tego aby mieć takiego klienta, którego interesa sięgałyby aż Paryża.

— Kto się ceni, ten też do czegoś dochodzi.

— Ty bębnie! — zawołał pan Korcza grożąc palcem odchodzącemu koledze, a potem chwalił go przed pozostałym towarzystwem.

— Co to za rozum znakomity! Zuch chłopak, on się odemnie nauczył tego nawet, czego sam nie umiem.

.
Na stromo wznoszącym się spadku szosy, wiodącej do Brna, dopędziły się dwa extrapocztowe powozy a ilekroć konie krok za krokiem mozolnie ciągnęły pod górę, podróżni, kiedy im przychodziła ochota, wysiadali i zwolna szli boczną ścieżyną, porośłą bujną jesienną trawą.

Z pierwszego powozu wysiadł smukły, wysoki, silny mężczyzna i podał ramię kobiecie, której twarz okrywał gęsty niebieski jedwabny welon. Z drugiego wy dostał się z trudnością po deszły już jegomość; nogi miał w wielkich sukiennych kaloszach, na szyi szeroki szal, pokrywający i długą brodę. Pan ów po daremnym namawianiu swego towarzysza podróży do wyjścia z powozu, rad nierad musiał wreszcie zdecydować się iść sam obok drzwiczek, zachował wszakże tę ostrożność, że wciąż trzymał ręką klamki, by czasem pocztylionowi nie przyszła

do głowy myśl przewrotna zacięcia nagle koni i popędzenia galopem pozostawiając go na pastwę rozbójnikom w lasach morawskich.

Skoro wszakże jegomość ów spostrzegł pana z pierwszego powozu, zmienił widocznie swój zamiar, opuścił własny powóz i podążył ku idącemu przodem zadyszany z wyciągniętymi ramionami, o ile tylko na pośpiech dozwalały jego nagniotki i kalosze, zdala już wołając:

— Ah! baron Balvandy.

Ale cofnął się przelękły, spostrzegwszy młodą damę opartą na ramieniu barona.

Smukły ów pan jednak uprzejmie podał mu rękę.

— Servus, kuzynku Beni! — a potem pośpieszył go zaprezentować swej żonie hrabinie.

Odtąd też kuzynek Beni konsekwentnie już tytułował go „panem hrabią“ bo przecież nie mógł popelnąć takiego grubiaństwa, aby małżonka hrabianki lżyć tytułem „barona“.

— Dokądże to droga, kuzynku Beni?

— Do Paryża! — zawołał Beni z wielce dumną miną, tak zupełnie jak by to była najbliższa na drodze do Brna stacya.

— O! to pięknie. W takim razie jedziemy razem.

— Państwo także do Paryża?

O, jakże rozradował się tą wieścią Beni!

— Weźcież mnie państwo do swego powozu, — błagał dziecinnym tonem. — Pomieścimy się przecież... Panna służąca może przejść do mego powozu. Ja państwu sobą nie zrobię ambarasu.

Baron szepnął coś na ucho swej towarzysze, na co ta odpowiedziała „yes“.

— Dobrze, kuzynku Beni, jedź z nami.

— Bo wiesz pan, kochana mama dodała mi za towarzysza jakiegoś adwokata, a tego, do prawdy, się boję.

— Czemu się pan go boisz?

— Bo jest kulawy.

— Bo jest kulawy? alboż to powód!

— Z pewnością. Bo gdyby tak, przypuścimy, napadli nas w lesie rozbójnicy, kulawy mnie nie obroni przecież, przeciwnie, wiedząc gdzie są ukryte moje pieniądze wyda im wszystko skoro mu strachu napędzą.

Młode małżeństwo ubawiło się wybornie tą uzasadnioną obawą kuzynka Beni i postanowieniem zostało zabrać go do swego powozu. Przez całą drogę będzie dla nich pysznym przedmiotem zabawy. Panna służąca mimo to może pozostać w powozie: miejsca jest na czworo:

Kuzynek Beni pobiegł pierwaj jeszcze do pozostałego w tyle powozu i oświadczył kulawemu adwokatowi jak niesłychane spotkało go szczę-

Droga M. PODSONS
Zakopane
PENSJONAT CZERNICHOVIAN
Tel. 600

ście, że będzie mógł podróżować w jednym powozie z hrabiostwem Balvandy!

I Biroczy uznał, iż to wielkie szczęście; ale tam Beni nie mógł już palić, lub, broń Boże, zasnąć.

— No to będę zażywał tabakę, aby czasem nie zdrzemnąć.

— To nie zaszkodzi, rzeczywiście.

Jednego jeszcze ciekaw był kuzynek Beni.

— Czy to ta sama panna hrabianka, z którą miał się żenić Koloman?

— Ta samiuteńka.

— Aj, to mój synowiec Koloman strasznie głupio zrobił, że się z nią nie ożenił!

— Wtedy ty, ośle, nie byłbyś ordynatem! — pomyślał Biroczy.

Potem przewiesił Beniemu torbę jego na szyi; niechajże teraz sam daje na nią baczenie, bo tam jest jego paszport, a tego będą od niego żądali.

Wydstawszy się na wierzchołek góry, państwo Balvandy pozwolili wsiąść do swego powozu Beniemu; hrabina bawiła się nim jak najdoskonalej aż do Hohenstadtu, gdzie zanocowali i Biroczy znowu wziął w posiadanie swego pupila.

Kuzynek Beni nie krył się z tem bynajmniej, że z tego powodu głównie tak mu jest przyjemnie podróżować z Balvandymi, iż się straszli-

wie boi rozbójników. Ze *Zbójców* Schillera wiedział jeszcze, że Czeskie góry pełne są rozbójników. Wprawdzie on się nie boi, bo dukaty jego tak są zaszyte i zachowane dobrze, że ich z pewnością nikt nie znajdzie, resztę pieniędzy zaś ma w wekslach. Czy też Balvandy widział kiedy weksel? Tłumaczył mu jakto taki weksel wygląda... Potem wbił sobie nieszczęśliwiec w głowę, iż należy mu hrabinie prawić komplemента; jednym tchem powinszował jej, iż tak dzielnego człowieka dostała za męża i wyraził ubolewanie, że jej nie może powitać jako swą bratową. Zapoznał ją z nawyknięciami swej mamy i zawiadomił, że obecnie jest posiadaczem majoratu, który ufundowała mama wydziedziczywszy poprzednio Kolomana; gdyby dozwalało mu na to dobre jego serce, rozum nie byłby mu z pewnością przeszkodził odmałować młodej parze i obecnego smutnego położenia Kolomana. Ale gdy już to chciał uczynić, pocziwemu chłopcu ścisnęło coś gardło; przyszło mu na myśl, że ilekroć teraz siada do stołu zjada zawsze i część swego synowca, zawsze też ile razy rozkroił beefsteak, pozostawiał mniejszą część na talerzu.

Balvandy'ego bawił niesłychanie śmieszny stary kawaler, jego wieczysta obawa, jego naiwność bezradna, dobroduszna jego głupota. I hrabina Dorota nabrała zwyczaju żartowania z niego, co Beniemu wydawało się wielce pochlebne.

Wieczorem opowiadał zaś zawsze wszystko wicznie Biroczy'emu, z którym sypiał w jednym pokoju.

— Ale czyż pan tego nie spostrzegasz, — rzekł mu raz grubijańsko Biroczy, — że ci państwo mają cię za dudka?

Tu już na seryo pogniewał się na Biroczy'ego; wymówił sobie aby względem niego takich wyrażań nie używano, bo czegoś podobnego od nikogo nie ścierpi.

Było to tak zabawne patrzeć jak się gniewa! Cała twarz jego wyglądała tak jak gdyby wynurzyła się z głębin morza, którego fale stanowią sam sok buraczany.

I gniew ten wciąż już żywił. Przybywszy do Pragi kazał sobie dać osobny pokój i oświadczył wprost Biroczy'emu, że nie potrzebuje mu wszędzie następować na pięty, bo on przecież już nie dziecko. W hotelach jadał zawsze w towarzystwie Balvandy'ch i przymuszał się do tych wszystkich dziwacznych potraw, które oni zamawiali dla siebie.

W Berlinie wymówił już formalnie swą przyjaźń Biroczy'emu.

— Poco pan wszędzie włóczysz się za mną?... Wracaj pan sobie napowrót do Pesztu. Mnie nie potrzeba drabanta mieć wciąż za plecami. Poco pan łazisz za mną jak drabant? Napisałem już list do mamy, że nie potrzebuję pańskiego to-

warzystwa. I otrzymałem już nawet od mamy odpowiedź, ot tu jest, dotyczy ona pana, przeczytaj ją pan; w liście tym mama oznajmia, że nie masz potrzeby dozorować mnie na każdym kroku; że mogę robić co chcę i udawać się do kąd zechcę. A więc nie włócz się pan za mną wszędzie jak drabant.

Ale Biroczy odpowiedział mu z krwią zimną, biorąc z rąk jego list staruszki

— Ja też nie towarzyszę nigdzie panu, jeżdżę również tylko gdzie mi się podoba. Jadę tam gdzie mam co do czynienia.

— Ja zaś jadę teraz właśnie wprost do Homburga.

I Beni wyrwał się z tem dlaczego chciał się pozbyć Biroczy'ego z karku.

— To dobrze; i ja mam także zajęcie w Homburgu.

Proszę nie sądzić by kuzynka Beniego gnała zdrożna namiętność do zwiedzenia razem z Balvandy'mi kąpieli Homburga; ale, że mu serdeczny jego teraz przyjaciel, baron, tyle opowiadał cudów o tamtejszym domu gry, więc też okropnie był ciekaw zobaczyć, jakim to sposobem ludzie wygrywają tam takie niezmierne sumy pieniędzy! On sam wprawdzie niema zamiaru w grze uczestniczyć, jego dukaty są dobrze zaszyte, nikt nie wie gdzie, resztę zaś pieniędzy ma w wekslach, ale radby zobaczyć jak też to

grają inni. I baron graó będzie i hrabina powiedziała również, że chce także spróbować szczęścia. To przecież szlachetna namiętność.

Ale ten niewygodny Biroczy i tam za nim pojechał i cisnął się nawet bezwstydnie do świętych salonów gry...

Zaraz pierwszego wieczora kuzynek Beni ujrzał rzeczy zdumiewające. Widział jak hrabina Dorota z uśmiechem na twarzy przegrała sto luidorów w ruletę i przytem nie drgnęła jej nawet powieka, ale kuzynek Beni za to omal z podziwu nie zostawił głowy na zielonym stole.

Jeszcze godniejszemi podziwu były przygody, które oglądał przy stole *rouge-et-noir*; tam Balvandy zwrócił na siebie powszechną uwagę. Jak też to obojętnie, jak chłodno wymówił „*Mille francs!*“ i położył rulon złota na czerwony kolor. Wygrał stawkę i pozostawił to wszystko dalej na czerwonym polu. Stawka pierwotna wzrosła w czwórnasób, zrobiło się z niej ośm tysięcy, szesnaście tysięcy, trzydzieści dwa tysiące franków, potem przyszło *noir* i krupier zgarnął wszystko razem. Kuzynek Beni omal nie wybuchnął płaczem... Balvandy zaś powtarzał to z brawurą niezliczone jeszcze razy. Ilekroć kuzynek Beni zobaczył, jak oślepiający stos złota wciąż rośnie i rośnie, rad był zawołać: „Toż zdejm je pan! Schowaj raz już!“ — i myślał, że gdyby tak przed nim kiedy leżało trzydzieści dwa tysiące

franków, za nie w świecie nie chciałby ryzykować już dłużej, ale raczej co tchu napchałby sobie kieszenie, wziął ekstrapocztę i tak stąd uciekał, żeby go Homburg nigdy nie zobaczył więcej. Raz istotnie udał się Balvandy'emu taki manewr; stawkę cztery razy jedną po drugiej pozostawił na *rouge*; potem przerzucił się z całą wygraną na *noir*, tu znowu wygrał cztery razy; tym sposobem wygrał już sześćdziesiąt cztery tysiące franków; te zabrał i powiedział, że przed kolacją dość będzie tego...

Kuzynek Beni począł teraz podziwiać Balvandy'ego. Toć to wielki człowiek! Niedziw, że wszystkie lornetki zwracają się w jego stronę, zwłaszcza też pięknych panien, mówiących po francusku i grających również. Czyż też i to są hrabianki?

Po kolacyi, przy której nawiasem mówiąc, Beni jadł ostrygi i popijał je szampanem, ponieważ baron go ugaszczał, — powrócili wszyscy do stołu *rouge* i *noir* napowrót.

Tym razem kuzynek Beni kompletnie dostał febry, dygotał i pocił się na przemiany na widok gry Balvandy'ego. Ha! gdyby to on tak miał odwagę choć jeden z tych ukrytych dukatów wypruć i tak samo postawić na kartę barona! Cóż jednak, gdyby go miał stracić? Bo byłoby to dobrze gdyby człowiek wiedział na

pewno, że wygra, wówczas gra nie byłaby już tak znów wielkim grzechem...

Nie mógł już dłużej temu się przyglądać. Balvandy tracił całe kupy pieniędzy i zgarniał znów całe góry napowrót. Widok ten nabawił naszego Beniaminka lunatyzmu. Poszedł do swego numeru i położył się do łóżka z przeświadczeniem, że Balvandy do jutra cały bank rozbije. Nie był wstanie zasnąć; choć z całej siły zamykał oczy, widział wciąż przed sobą wspaniałe salony z łaknącemi złota tłumami ludzkich stworzeń, przed niemi zaś roztaczającą się zieloną łąkę, na niej porozsypywane złoto tak jak tam w domu ziarnka kukurydzy. A kiedy nakoniec udało mu się zasnąć, wyobrażał się zanurzonym w złocie po szyję. Wtem jednak rozsypywać się poczynają na wsze strony stosy złota i pozostaje w jednej tylko koszuli i boso...

Zrana spotkał znów Biroczy'ego. Był tak łaskawym, że raczył go spostrzedz.

— No, nieprawdaż, widziałeś pan jakie to dziecko szczęścia ten baron? Raz wygrał już tyle złota, że było z cetnar chyba.

— Prawda — odpowiedział Biroczy, — tej nooy przegrał około dwakroć pięćdziesięciu tysięcy franków.

Tu już tchu zabrakło Beniemu. Jest to coś tak wielkiego, że po jednorazowem powiedzeniu ozłowiek nie jest w stanie tego pojąć.

Dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków stracić odrazu! Coby on począł gdyby go spotkało coś takiego? Coby zrobił? Przed goleniem zażyłby potężny niuch tabaki a potem kiedy brzytwa przesuwalaby się po jego gardle, kichnąłby nagle, a wtedy głowa stoczyłaby mu się pod nogi na podłogę. W jaki też sposób Balvandy odbierze sobie życie?

Może jednak cała ta historia jest bajką? Ten kulawy adwokat prawdopodobnie chce go zirytować tylko. Bo w jaki sposób możnaby stracić tyle pieniędzy! Tożby to była kradzież po prostu!

Niezawodnie w tem wszystkim niema ani słowa prawdy! Ot, właśnie baron wychodzi ze swego pokoju z hrabiną pod rękę i oboje tak są swobodni, tacy weseli, jak nie sposób być gdy się poprzedniej nocy przegrało dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków. Zapraszają jeszcze Beniego z sobą na śniadanie, baron każe podać pasztet z truflami i pije do tego sherry. To niemożliwe! Ktoby stracił dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków, ten nie jadłby truflowego pasztetu i nie piłby sherry, ten nie żartowałby sobie tak z kuzynkiem Beni a ukradkiem nie ściszałby tak ręki hrabinie; ten niema tak zarumienionej twarzy i oczu tak błyszczących, ten nie daje garsonowi dukata na piwo. To była bajka, pusz-

czona przez adwokata, który sobie wyobrażał, że on w coś podobnego uwierzy.

Kuzynek Beni nie odważyłby się za żadną cenę spytać kogo innego czy to prawda, co mu mówił adwokat.

A przecież było to najczystsza prawdą.

Ale w Homburgu państwo Balvandy nie zostali też już ani jednego dnia dłużej. A razem z nimi wyjechał i kuzynek Beni, boć to i dosyć! Raz spróbować szczęścia, zgarnąć do worka co szczęście to dało człowiekowi a potem już i nie obrócić się na dom gry; to najrozuśniejsza zasada! I nasz Beni święcie był przekonany, że baron Balvandy wiezie z sobą ów cetnar złota, który w oczach jego był wygrał. Gdzie on też schował tyle pieniędzy aby go w drodze nie okradli?

Równocześnie jednak dowiedzieć się musiał, że kulawy adwokat wszędzie z nimi jedną jedzie drogą.

Miał nadzieję, że Biroczy w Paryżu przynajmniej ślad ich zgubi. Gdzie zaś! i tam wciąż uczepiony był u jednego kołnierza; gdzie stanęli tam i on stanął; gdzie na jaką szli zabawę tam i on się pojawiał; a Beni przecież dość pogardliwie chyba z nim się obchodził, udawał nawet zawsze, że go nie widzi. Jeśli Biroczy tego nie rozumie, to już doprawdy jest gruboskórym i ma okropnie strawny żołądek.

Państwo Balvandy zaś byli zawsze niesłychanie grzecznymi dla nowo kreowanego ordynata; pieścili go formalnie jak dziecko. Prawdziwa to była przyjemność z nimi zwiedzać Paryż. Baron był tu już kilkakrotnie i umiał wszystkich przyjemności używać kolejno, z pewnym systematem; teatra i sale balowe dostarczały Beniemu aż do zbytku pola zabawy. Przedewszystkiem podobało mu się to, że baron i hrabina nie naśladują inne nudne małżeństwa, które wzajem żądają od siebie rachunku ze spędzonego czasu: „Dokąd idziesz? Gdzie byłeś? — ale jedno szuka przyjemności tu, drugie gdzie indziej, potem schodzą się znów z sobą i zadowoleni są z dnia dobrze użytego. Kiedy np. hrabina w swej łoży w *Théâtre Francais* przyjmuje wizyty znajomych, Balvandy w *foyer* idzie zabawić się ze znajomymi paniami, w lekkich, powiewnych strojach, lub zabiera z sobą kuzynka Beni do *Closerie de Lilas*, gdzie ładne dziewczęta tak się uprzejmie uśmiechają, iż naszemu Beni aż się jakoś słodko robi na sercu i czuje, że mu z tem bardzo dobrze. Ale jeśli sercu z tem dobrze, nie tak za to woreczkowi, któremu bynajmniej nie służy ta zabawa. W ukryciu przywiezione dukaty dziwnie szybko się rozleciały, jakby w drodze wpadły w ręce jakiemu Rinaldiniemu. Ale to nic nie szkodzi, od tego są przecież weksle. Te można zawsze zamienić na pieniądź.

Ale w jaki sposób z takiego weksłu robi się pieniądź? To nie mogło żadną miarą pomieścić się w głowie Beniego. Bo jako taki, który złożył egzamin z prawa, wiedział iż skoro ktoś znajomemu swemu daje pieniędzy, bierze od niego rewers, papier ten podpisuje dwóch świadków, że w ich oczach wypłacono taką a taką kwotę; na rewersie kładzie się trzy pieczęcie, potem kapitał wypowiada się pół roku naprzód, a wtedy jedna strona jest obowiązana drugiej wypłacić pieniądze w takiej samej monecie, jeśli zaś nie wypłaci, musi to odpokutować dwudziestoletnim procesem. Jednakże aby ktoś z nad granic Azji przyjechał do Paryża ze skrawkiem papieru tak wielkim jak fidybus ledwie, bez podpisu świadków, bez pieczęci, papierek ten ukazał całkiem obcemu sobie człowiekowi, którego nigdy w życiu nie widział poczem ten obcy człowiek sięgnąć ma do szuflady i złożone dla niego w Pieszczu pieniądze wypłacić mu tutaj w szczerozłotyach luidorach, — to wydawało mu się po prostu baśnią. Czyż za takie żądanie nie wyśmieje go bankier? Czy nie każe go czasem wyrzucić za drzwi? a może nawet — kto to wie! — każe go zamknąć w wieży? Do kulawego adwokata nie chciał się udać po radę, skutkiem tego też rad nierad zdecydował się wziąć fiakra i kazać mu zawieść się w to miejsce, które na wekslu ukazał mu palcem, a następnie przywieść tu na-

powrót. To co mu wskazał, była to firma bankiera.

Kuzynek Beni szczęśliwie dostał się do biura bankiera, pokazał tam swój weksel, przyczem jeden róg jego trzymał mocno, aby czasem ten człowiek siedzący tam za kratką nie wyrwał mu go z ręki i nie połknął natychmiast.

Człowiek ów wszakże za kratką obejrzał tylko podpisy i powiedziawszy, iż wszystko jest w porządku, zapytał: czy pan życzy sobie otrzymać pieniądze w złotych czy też w banknotach?

Kuzynek Beni poprosił najprzód, aby mówiono z nim po niemiecku, a potem wielce mądrze wymówił sobie połowę pieniędzy w złotych, połowę zaś w banknotach.

Kasyer banku poprosił go następnie bardzo uprzejmie aby był tak dobry i położył na wekslu swe żyro, skoro odbiera pieniądze. Podówczas taką była forma; nie wiem czy i dziś jeszcze nie istnieje.

Kuzynka Beni wyraz ten przeraził okropnie. Co tu miał pisać? „Swoje żyro“. Cóż to za zwierzę? Z pewnością nie to dobrego... W domu jeszcze surowo zabroniła mu mama aby za granicą na żadnym papierze nie kładł swego podpisu pod żadnym pozorem. Nie, on nigdzie nie podpisze swego nazwiska.

W takim razie może sobie weksel swój zabrać z powrotem, pieniędzy nie dostanie.

Beni zrozpaczony powrócił do swego mieszkania. Ledwie miał tyle pieniędzy jeszcze, by zapłacić fiakra. Co tu począć teraz, kiedy mu na weksel nie chcą dać pieniędzy? Trzeba teraz ohyba umierać z głodu w tym obcym kraju lub piechotą wracać do Węgier a to jeszcze z tylu odciskami! Poszedł do swego protektora, barona Balvandy'ego i począł mu wykladać w jakim znajduje się niebezpieczeństwie. Podówczas mówili sobie „ty“ i tytułowali się wzajem „najdroższy przyjacielu“.

— Co mam robić, najdroższy przyjacielu?

Daremnie Balvandy uraczył go całą prelekcją o naturze wekslu; „żyro“ nie chciało żadną miarą wejść Beniemu w głowę. Woli umrzeć z głodu ale swego nazwiska nie podpiszę na żadnym wekslu

— No, to dajże go, ja własne na nim umieszczę, — powiedział, mu Balvandy, — a potem będziesz sobie mógł już podnieść u bankiera pieniądze, skoro bankier peszteński wystawił go na swe imię.

Tego już zgoła Beni nie zrozumiał.

Jakżeby mógł dopuścić aby na jego wekslu Balvandy pisał swoje nazwisko! A co będzie jeżeli zepsuje ten cały weksel i potem rzeczywiście nic już na niego nie będzie mógł dostać?

— No, to daj go, ja ci wypłacę wartość weksla, — mówił baron, — a potem go już so-

bie zainkasuję. — Na jakąż kwotę wystawiony? — Pięć tysięcy franków... Masz tu twoje pięć tysięcy franków.

Nie poszedł po nie daleko, tylko do swej szkatułki, którą dość mu było otworzyć. Sięgnął do niej, wyjął pięć tysięcy frankowych biletów, i rzucił je na stół.

— Masz pieniądze; gdzie weksel?..

Beni schował tę bajecznie wielką, wedle jego zapatrywań, sumę i był niesłychanie zdumiony, gdy baron zadzwonił na posługacza podpisał się na wekslu a następnie oddał go całkowicie obcemu służącemu, poczem tenże całkiem obcy sługus po upływie dziesięciu minut wrócił z pieniędzmi i wręczył je Balvandyemu w takichże samych banknotach, bez najmniejszej dla barona straty.

Kuzynek Beni oszołomiony był tem swobodnem obchodzeniem się z pieniędzmi. Ten Balvandy to człowiek wyższy!

Od tego dnia Beni nie miał już gorętszego życzenia nad to by los dał mu sposobność wywzajemnienia się kiedykolwiek Balvandy'emu za wielką przysługę przyjacielską, co w dodatku pozwoliłoby mu okazać arystokratyczną obojętność w sprawach pieniężnych. Pragnienie to wyraził mu też kilkakrotnie. Balvandy podziękował mu pięknie, ale dodał, że tego nie potrzebuje.

Pewnego dnia wszakże nadarzyła się taka szczęśliwa sposobność.

— Kochany przyjacielu — mówił Balvandy, — zmuszony jestem śpiesznie podjąć małą sumkę; ja sam na wekslu jestem akceptantem i brak mi tylko żyra. Gdybyś zechciał wyświadczyć mi tę przyjacielską przysługę.

Jakżeby on miał nie choieć?... Ależ oczywiście, cieszył się bardzo, że może na jednym papierze z Balvandym położyć swe nazwisko. Tyle już nauczył się od niego, że takie na wekslu podpisane żyro żadnego złego skutku nie może pociągnąć za sobą; to przecież znaczy nie więcej niż podpis na bileciku miłosnym; to przecież każdy może zrobić każdemu bez żadnej dla siebie szkody; to tylko taka kupiecka formalność. Dla czegoż nie miałby podpisać swego nazwiska, kiedy nic więcej od niego nie żądają? Nie spojrział nawet o jak wysoką sumę chodzi i kiedy ma być płatną? To nie jego już kłopot.

A potem zapomniał z kretesem o całej sprawie, i tak przeszły dwa miesiące, w ciągu których ani razu nie przyszła mu do głowy myśl o wekslu.

Dwa te miesiące wypełniał nieprzerwanemi studjami. Obserwołał piękne gryzетки i uczył się od nich mówić po francusku.

Jedno tylko było mu dziwnie nie na rękę, to, że kulawego adwokata wszędzie spotkać musiał.

Pewnego ranka wszakże, kiedy kuzynek Beni właśnie spożywał jaja na miękko do herbaty, wszedł do niego jakiś pan, nigdy w życiu nie widziany, i spytał go czy nie ma ochoty, za to tylko że mu pokaże długi świstek papieru, zapłacić mu zaraz siedmdziesiąt pięć tysięcy franków?

Kuzynek Beni umiał tyle właśnie po francusku, by zgoła nic z tego nie zrozumieć. On miał płacić siedmdziesiąt pięć tysięcy franków? za ten świstek? i to zaraz? On nigdy w życiu przecież nie widział siedmdziesięciu pięciu tysięcy franków razem!

Nieprzyjemny ów gość spytał, czy to nie jego nazwisko napisane na tym długim fidybusie?

Teraz dopiero zrozumiał Beni o co chodzi.

— Tak, mój kochany „mosje“, to jest tylko „żyro“, to się nazywa „żyro“, ja tu jestem tylko „żyro“. Pieniądze winien jest baron Balvandy, mąż bogatej hrabianki Decsery, wiesz pan?..

Ale natrętny „mosje“ zapewnił pana Beniego, że o tem wszystkim wie doskonale; ponieważ jednak akceptant nie zapłacił długu w terminie, więc teraz przychodzi kolej na „żyro“, i żyrant musi zapłacić owe siedmdziesiąt pięć tysięcy franków, jeśli zaś nie zapłaci, zechce być tak dobrym pofatygować się za tymi dwoma panami, stojącymi u drzwi, do powozu, bo zarzą-

dzono areszt osobisty zarówno na żyranta jak na akceptanta.

Na te słowa biedny Beni zapomniał całej swej francuzczyzny, począł łkać głośno i mówił po łacinie:

— *Tamen ego nihil feci, iste Balvandy omne fecit. Ego nihil scio, iste Balvandy scit...*

Ale ożemu „mosje“ wszelkie „scio“ — „nescio“, — „fecit — non feci“ były całkiem obojętne. Raz jeszcze spytał Beniego czy zapłaci? No, skoro nie... I oddał go owym dwom jego-mościom przy drzwiach stojącym, z których każdy zaopatrzony był w kij dwustopowy z ołowianemi gałkami. Ci panowie włożyli na Beniego palto, woisnęli mu kapelusz na głowę, wzięli go pod ręce i sprowadzili na dół do powozu; tam wsiedli z nim obaj, jeden obok niego, drugi naprzeciw, i pilnie nań uważali, aby im czasem nie zemknął.

— Dokąd mnie panowie wieziecie?—bąkał kuzynek Beni.

— Do Clichy, — odpowiedział jeden z nieubłaganych.

Kuzynkowi Beniemu zaś przyszło na myśl, że z tych paryskich więzień idzie się wprost na gilotynę; słyszał już nieraz opowieści z czasów wielkiej rewolucyi, i w tej chwili za własną głowę nie dałby trzech groszy.

Wyjechano z nim z miasta, i po niejkiej chwili powóz wtoczył się w dziedziniec ponurego budynku, który na zewnątrz miał ledwo kilka okienek. Było to Clichy. Tam oddano Beniego nadzorcy więzienia, i wymieniono numer celi, w której jeniec miał być osadzony. Nadzorca poprowadził uwięzionego długim korytarzem do izby, w której był już jakiś pan drugi.

Owym panem okazał się baron Balvandy.

Baron był wściekle zły, wąsy jego nie były dziś wyfiksaturowane, włosy nie były ufryzowane; ale skoro zobaczył we drzwiach Beniego z twarzą ciemno-błądą z rozpacz, kiedy ten z łkaniem rzucił mu się na szyję i począł go błagać, aby mu nie dał zginąć marną śmiercią, nie mógł powstrzymać się od głośnego śmiechu i odtąd powrócił mu też dawny humor.

— Po coś mi pan kazał podpisywać to „żyro“? — złościł się Beni jak dziecko.

Balvandy przecież śmiał się...

— No, po to stary dzieciaku, żebym tu sam nie siedział, skoro tu będę siedzieć zmuszony, ażebyśmy przynajmniej razem we dwóch czas jakoś zabili. No, czyś nie rad być tam gdzie ja jestem?

Kuzynek Beni, pomimo płaczu musiał mimo woli się roześmiać; potem jednakże spytał szeptem:

— Ale czy nas stąd nie poprowadzą na gilotynę? lub nie skazą na deportacyą do Algieru?

— Tego coprawda nie wiem, — mówił Balvandy, którego wzięła ochota zażartować z biedaka.

Beni westchnął z rozpaczony.

— No, nie poddawaj się znowu tak wielkiej rozpachy — pocieszał go Balvandy; — skoro spostrzeżemy, że już kuso z nami, to w noocy pozabijamy dozorców i spuścimy się na dół po prześcieradłach.

Ale przeciw temu zaprotestował Beni stanowczo za siebie. On nie myśli mordować, tem mniej zaś spuszczać się z okien po linie. Woli kazać się zaraz przenieść do innego pokoju niż w takich hazardach być współwinowajcą.

— No, nie bój się już, stary dzieciaku — łagodził Balvandy; — toż to wszystko był żart... Za kilka dni będziemy wolni. Coś takiego nie raz przecie przytrafia się gentlemanom. To po prostu figiel gentlemański i nic więcej. Jużem kazał powiedzieć notaryuszowi, aby mi tu przysłał wierzyciela. Musi to być jakiś głupi filister. Dwoma słowy załagodzę z nim rzecz całą. A tymczasem załatwimy się ze śniadaniem. Dozorca przyniesie nam zaraz.

Można sobie wyobrazić, jak mało miał ochoty do jedzenia Beni, zwłaszcza też skoro sobie wyobraził, jakie to śniadanie można dostać

w więzieniu. Brał miarę z tego, co widział w kraju w więzieniu komitatowem: wodzianka i chleb owsiany, a dla odmiany kiedy niekiedy chłosta. — Czy też i tu odmierzają ludziom porcy kijów?

Jakże jednak się zdumiał, zobaczywszy, że dozorca wnosi wspaniałą *luncheon* dla więźniów! Nie brak przy nim było truflowego pasztetu i sherry.

Ah! miły Boże, jeśli ten i tu jeszcze pozwala sobie pasztetów i sherry, to już widocznie kulawy Biroczy mówił prawdę! Ach, bodajby nigdy nie był zamienił kulawego Biroczy'ego na barona!.. Teraz uważał go już za zdolnego przegrać w wieczór dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków. Tym sposobem oczywiście i Wielki Mogół musi się wreszcie dostać do więzienia za długi. Ach, gdyby choć raz jeszcze mógł zobaczyć tego kulawego adwokata!

Beni nie mógł przełknąć ani kęska, mimo wszelkich przynagieł barona.

Dozorca po niejakięj chwili zameldował, że przyszedł adwokat, który wyrobił na nich wyrok aresztu.

— Niech wejdzie!

Kulawy Biroczy wszedł do pokoju.

Kuzynek Beni wybiegł naprzeciw aniołowi wybawicielowi, objął go za szyję, uściskał, nazywał najdroższym kuzynkiem.

— Patrz pan co się ze mną stało! — wołał — wyswobodź mnie na miłość boską!

Ale Biroczy usiłował tylko sam siebie wyswobodzić z objęć Beniego, a potem powiedział mu zimno:

— Należało nie starać się o to by się tu dostać. Skoro jednak już pan tu jesteś, to siadaj i siedź spokojnie, podeprzyj ręką głowę i poczekaj, aż się z tym drugim panem załatwię.

— A, więc to pan kazałeś mię uwieźć? — spytał Balvandy, zarzucając nogę na nogę i wykluwając sobie zęby.

Biroczy za to założył ze swej znów strony nogę na poręcz krzesła i w tej pozycyi dalej prowadził rozmowę.

— Tak jest, jestem pełnomocnikiem posiadacza pańskiego weksłu.

— Krótko mówiąc, ile ma kosztować, abym stąd wyszedł zaraz?

— Ale ze mną razem! — wtrącił coprędzej Beni.

— Pan sam to wiedzieć powinienes. Dług wekslowy wynosi siedmdziesiąt pięć tysięcy franków.

— Wiem; teraz przecie nie mam pieniędzy. Dochód roczny z dóbr moich wynosi dziesięć razy tyle co ten dług cały. Ale czekać nie mogę, aż moi rządoy przyszlą mi pieniądze. Pan znasz moje położenie. Dziś jeszcze muszę być wolny.

Oczy wystarczy, jeśli pańskiemu mocodawcy wystawię obligę na sto pięćdziesiąt tysięcy franków, którą to sumę może sobie natychmiast zainstalować na jednym z moich majątków?

— On nie potrzebuje obligi. Musi mieć pieniądze lub pan pozostaniesz w więzieniu.

— Ale skoro mu przyrzekam dwa razy tyle, obok zupełnego bezpieczeństwa? Sto za sto zysku!

— On nie chce żadnego zysku.

— Któż u diabła jest tym wierzycielem?

— Kobieta.

— Jak się nazywa?

— Katarzyna Satory-Csollan.

— Aha! — zawołał Balvandy i aż podskoczył z krzesła. — Teraz rozumiem wszystko. Nie prawdaż, że pan z polecenia pani Csollan ścigałeś mnie wszędzie?

— Prawdopodobnie tak było.

— Teraz wszystko się wyjaśnia. A więc zemsta kobieca. Widzisz pan, raz tak samo właśnie puściłem się w podróż serdeczną z tą piękną panią, tak samo przegrałem wszystkie pieniądze w Hamburgu, tak samo dostałem się do Clichy; podówczas ona stąd mnie wydobyła, uwolniła od wierzycieli, ja zaś pozwoliłem sobie figla, że ją tu pozostawiłem na koszu, a sam uciekłem. Teraz atuty są w jej ręku. Czyż nie tak?... Ułożono, abyś wszędzie jeździł za mną

skupował moje weksle, a potem właśnie w miodowych miesiącach wziął za kołnierz i kazał od żony wlec do więzienia! W tem poznaję piękną panią. Mściwa bogini!

Biroczy skinieniem głowy potwierdzał słuszność domysłów Balvandy'ego. Kuzynek Beni zaś przy tem mało zrozumiałem dla niego wyjaśnieniu smutnej sprawy, szeroko otwarł usta. Nie mógł pojąć, jakim sposobem tak tęga głowa jak barona, dała się uwikłać w taką intrygę?

— Kiedy tak, kolego Beni — wyrzekł śmiejąc się Balvandy, — to rozbijmyż tu sobie namioty i starajmy się możliwie najwygodniej urządzić to życie, bo ta, która nas złapała w pułapkę, dopóty z niej nie wypuści, aż żona w domu zbierze pieniądze, i albo ona mnie, albo twoja matka ciebie, jakoś stąd wydostaną...

Na te słowa Beni począł znów szlochać.

— Ach! mama! Biedna, kochana mama! Co to będzie, kiedy się dowie, że syn jej dostał się do więzienia w obcym kraju! Kochany, dobry Biroczy, nie opuszczaj mnie.. Zostań tu przy mnie... Spiesz do kraju, opowiedz mamie wszystko, ale nie mów ani słówka o tem gdzie teraz jestem Niech mnie zabiorą do domu, niech mnie tu nie zostawiają. Niechaj oddadzą majorat synowcowi memu Kolomanowi a potem niech on tu przyjeżdża siedzieć za mnie... Pragnę coprędzej wrócić do domu, do pokoiku gdzie wisi

moja ceratowa czapka. Nie chcę tego obrzydłego Paryża!

Potem napadł go kaszel i kichanie tak gwałtowne, że nie mógł mówić dalej.

Biroczy tymczasem recytował Balvandy'emu ultimatum:

— U notaryusza leży plenipotencya. Skoro się tylko spodoba panu zapłacić, możesz pan ją odebrać. Ja dziś jeszcze odjeżdżam do Pesztu.

— „Re quasi optime gesta“!

— Oczywiście; skoro rzecz jak najlepiej załatwiona.

— Ukłony dla pańskiej pięknej klientki.

.
Kiedy Biroczy wrócił do Pesztu, nie miał nic pilniejszego nad odwiedzenie zaraz pani Csollan.

Twarz pięknej pani promieniała tryumfem kiedy się dowiedziała, jak wykonano dokładnie plan jej... Dobrze znała ona Balvandy'ego, wiedziała, że z całą lekkomyślnością niezadługo rzuci się w długie; była pewną, że się jej uda w miódowy jego miesiąc wtrącić taki humorystyczny epizodzik.

— Ha! — zawołała zacinając piękne ząbki i uderzając o drobną pięść pięścią: — „jeden“ już dostał na co zasłużył.

Biroczy podniósł wychudłą twarz mumii ku butnie zarumienionemu obliczu bogini, i pomyślał sobie: „Wiem kto ów drugi“.

Równocześnie niemal z Biroczym przybyła hrabina Dorota do Pesztu.

Katinka dowiedziała się, że hrabina w towarzystwach wyrażała się o niej obelżywie, nazywała ją złą kobietą, ponieważ męża jej wtrąciła do więzienia.

— Ha, ha! — zaśmiała się Katinka, — jakże dopiero złościć się będzie, kiedy go uwolnię z kozy!

Katinka wybornie znała stosunki. Mogła była przepowiedzieć z góry, co stary Decsery powie ukochanej wnuczce, kiedy z płaczem rozwodzić się będzie przed nim nad nieszczęściem, które ją spotkało, a dzięki któremu z poślubnej podróży wracać musi sama jedna, bo pan małżonek pozostał w Clichy.

— Wygodnie mu tam i bezpiecznie. Niechże sobie tam zostanie.

Takie a nie inne w istocie było mniemanie starego hrabi. Żadne błagania nie były w stanie go poruszyć, aby otworzył szufladę biurka ku oswobodzeniu pana zięcia.

Księżnie sprawa ta była wysoce nieprzyjemną; jej to dziełem bowiem było doprowadzenie do skutku małżeństwa Doroty z Balvandy'm. Ale i ona nie miała tyle pieniędzy do rozporządzenia. Musiała szukać pożyczki. Zabłysła im myśl ratunku. Księżna wybrała się z Dorotą w drogę i nie ulękły się długiej podróży zimo-

wej przez mgły i śniegi, z Wiednia aż do Aföldzkiej pusty, by się zobaczyó z panem Mateuszem Tothem.

Jakaż była radość wieśniaczej rodziny, że znowu mogła przyjąć dostojnych gości w ubogim swoim domku! Teraz się dopiero dowiedziano w tej ustroni, że Dorota jest mężatką. Lecz ach! jakaż blada...

Księżna opowiedziała potem całkiem otwarcie, że wnuczka jej jest bardzo zmartwiona, mąż jej bowiem ma długi, które potrzeba spłacić koniecznie, od dziadka przecież żądać tego nie chciano, lepiejby już pożyczyć u obcych. Z tą propozycją przeto przyjechały tu do pana Totha.

Ograniczony wieśniak sądził, że na tym świecie każdy dochodzi tam, dokąd dąży, i dlatego też nie mógł sobie wyobrazić, aby Dorota wyszła za kogo innego, niż za Kolomana, boć oboje kochali się tak bardzo. Jejmość pani Jenői jest zapewne skąpą, nie daje im pieniędzy, i dlatego młode małżeństwo jest teraz w kłopotach. Skutkiem tego zapewnił panie, że zwracając się do niego trafiły najlepiej; gotów jest ostatni grosz swój oddać mężowi hrabianki Doroty, niechaj przeto panie rozkazują. A było to wielkie słowo, bo panu Mateuszowi Tothowi wystarczało sięgnąć tylko do jedyne go schowka skoro zechciał wytrząsnąć z rękawa swego dolmanu marne siedmdziesiąt pięć tysięcy franków.

Prosiła go też i żona, aby im dał tyle ile tylko zechcą.

Księżna przyrzekała całkowite zabezpieczenie. Nietylko ona i wnuczka podpisze oblig, ale i sam baron również to uczyni.

— Jaki baron? — spytał pan Toth zdziwiony.

— No, baron Balvandy, mąż Doroty.

— Baron — Balvandy — mąż — hrabianki? powtórzył pan Mateusz, rozdzielając zdanie na składowe jego części, i twarz jego naraz przeciągnęła się strasznie, gdy oczy jego żony przybrały taki wyraz, jak gdyby przed chwilą asystowaó były zmuszone przy tarcu chrzanu.

— A ileżto paniom potrzeba tych pieniędzy? — spytał pan Mateusz z kwaśnią miną.

— Siedmdziesiąt pięć tysięcy franków.

Pan Toth bardzo pokornie wcisnął głowę między ramiona.

— Skądżeby biedny chłop jak ja, mógł mieć tyle pieniędzy...

I chłopskim obyczajem począł biadaó, że dziś nic nie płaci, nie mógł sprzedać ani pszenicy ani bydła, wełna i len zostały mu na karku, do tego jeszcze między bydłem panowała tego roku zaraza, zmuszony będzie dokupić wołów. W końcu wyszło na to, że sam pożyczylby pieniądze, gdyby tylko wiedział skąd wziąć... Jed-

nem słowem: nagle zapanowała straszna nęcza w jego domu.

Czy panie się domyśliły powodu tej zmiany frontu? Tyle tylko pewna, że z próżnemi rękoma wróciły do Wiednia.

Nie większem szczęściem uwieńczyły się starania rządów dóbr Balvandy'ego. Instytucyj kredytowych, kas pożyczkowych nie było wówczas jeszcze w kraju. Bank wiedeński nie dawał pożyczek na dobra w Węgrzech; nie mógł tego czynić z powodu niedostatecznej buhalteryi ksiąg gospodarskich w wielkich dobrach i częstokroć niedokonanych nawet jeszcze pomiarów. Prywatny kapitalista zaś zamykał skrzynię wyłękły, kiedy posłyszał, że pożyczony pieniądz ma iść na uwolnienie z więzienia zamkniętego za długi magnata. W istocie, przekleście zła rekomendacya! Ciężko jest bardzo wyciągnąć od kogoś pieniądze, gdy wie, że jego groszem ma być zaspokojony inny wierzyciel; nie można bowiem wiedzieć, czy znajdzie się trzeci taki, którego pieniędzmi jego z czasem zaspokoją. Dotychczasowy zbiór zaś oddawna już sprzedany i najmniejszego znikąd widoku aby przed upływem trzech lub czterech miesięcy udało się wycisnąć owe siedmdziesiąt pięć tysięcy franków. Co za okropne czasy! i to jeszcze wbite klinem w miodowe miesiące!

Jedna była jeszcze możliwość, że pani Jenöi

pod wpływem strapienia i tęsknoty, aby syna swego sprowadzić do domu, spłaci pani Csollan ten dług fatalny, a potem z Balvandy'm się skwituje.

Ale Biroczy od powrotu z Paryża unikał pani Jenői, a kiedy staruszka raz go napadła domagając się od niego zdania sprawy co zrobił z jej synem, Biroczy odegrał jeszcze rolę obrażonego. Pokazył jej list własnoręczny, w którym mu polecała, aby pozostawił Beniemu zupełną swobodę i pozwolił mu postępować jak się podoba. Od Berlina przeto nie troszczył się już o niego zupełnie; on sam zaś jeździł z polecenia i kosztem pani Csollan. Nie jego to wina, że pan Beniamin zamieszał się w awantury barona Balvandy'ego. Teraz może sobie siedzieć w więzieniu dopóki nie wykupią stamtąd barona.

— Ależ to wstyd i hańba! — rozpacziała matrona.

— Skądże znowu? To tylko brawura. Skoro powróci od razu stanie się sławnym człowiekiem.

— Idź pan do dyabła! Ile też było tych pieniędzy, za które ich zamknięto!

— Bagatelka! Siedmdziesiąt pięć tysięcy...

— Co! Siedmdziesiąt pięć tysięcy? Ależ to wartość całych dóbr!

— Zdaje mi się, że gdyby łaskawa pani zechciała sprzedać majątek Garmand, otrzymałaby zań tyle, ile potrzeba na wykupienie pana Benjamina.

— Ach, co jeszcze! Tego sprzedać nie mogę; to nasz majątek rodowy, który spadnie na Kolomana po mojej śmierci.

— Ale cóż łaskawą panią Koloman obchodzi? On z pewnością nie dożyje śmierci pani.

— Jesteś pan niegodziwym człowiekiem! Ostrze noża obracasz w mojem sercu.

— Jestem tylko adwokatem, który udziela rady. Łaskawa pani może spokojnie sprzedać dziedziczny majątek Kolomana i za tę cenę uwolnić syna z więzienia.

Pani Jenöi wpadła we wściekłość na tę dobrą radę. Wiedziała, że to tylko gorzkie szyderstwo; zwinęła haftowaną torebkę tak gwałtownie, jak gdyby w niej chciała zamknąć swe serce, i zwróciła się ku drzwiom. Kiedy już miała w rękę klamkę, rzekła Biroczy'emu.

— Otóż nie, na złość nie myślę ich uwolnić, żadnego z nich obu... Kto jest durniem niech durniem pozostanie. Niech jeden z nich umiera z głodu, drugi w więzieniu, a ty, ty dyable kulawy na stryczku!

I zatrasnęła drzwi za sobą.

Biroczy przecież odtąd co trzeci dzień odbierał listy z Paryża od kuzynka Beniego; bru-

dne, poplamione, pogniecione, zakleksane, składowane po dwa razy, popalone lakiem, bezsensowne, których wiersze biegały w gzygzaki; potem znów istne liściki miłosne na eleganckim papierze, okrażonym girlandami z niezapominajek z koronkowymi brzegami, w których błagano o wyswobodzenie z tego okropnego więzienia, bo piszący nie wytrzyma tu już dłużej i chyba się powiesi. Biroczy posyłał wszystkie te listy do pani Jenöi.

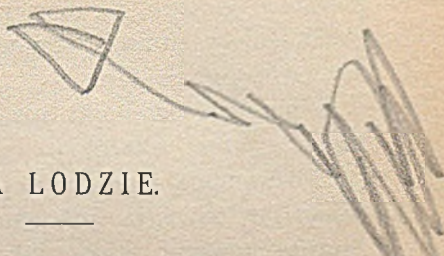
Sam Balvandy mniej się może niecierpliwił w ciasnej kwaterze. A jednak i on pukał wszędzie swymi listami: pisał do żony, do teścia, do starego Decsery'ego, do swoich rządców, do peszteńskich lichwiarzy, do Biroczy'ego, bez najmniejszego wszakże skutku. Nikt nie chciał mu dopomódz.

Kiedy wszakże niewesoła ta zabawka zbyt długo już trwała, kiedy dwa, trzy miesiące upływały na daremnem oczekiwaniu, wówczas Balvandy rozważył sobie dobrze całą sprawę i zdecydował się napisać jeszcze list jeden.

List ten był do Katinki..

W dziesięć dni po jego wysłaniu Balvandy był już w domu.

Ale od chwili jego powrotu, oczy hrabiny Doroty były ciągle czerwone od płaczu.



NA LODZIE.

Szlachetni pionierowie sztuki węgierskiej, którzyście „podówczas“ przechodzili po lodzie Dunaju, by na ołtarzu tej sztuki składać ofiary! — składaliście je nie na żarty.

Nie mieliście przybytku: węgierski dramat w stolicy Węgier nie miał jeszcze własnego domu. Przybytek obcej sztuki przyjął was jak paryasów — z łaski, cudzoziemski dyrektor teatru pozostawił wam, jak z litości jeden dzień w tygodniu, najgorszy dzień, najmizerniejszy — piątek.

Nie czeka na was kareta z kryształowemi szybami, by z Budy przewieźć do Pesztu; ale bo też niema jeszcze, jak dziś, stałego mostu, po którym mogłaby przejechać kareta, most zaś łyżwowy rozbiera się zimą. Nie czeka na was, kiedy powracacie z widowiska, pokój ciepły, ani ciepła strawa.

A przecież wyście torowali drogę; przebywaliście spieniony nurt Dunaju naprzód w wątlęm

czólnie, a potem po lodzie, wśród mrozu i śniegu, pieszko, o głodzie, ziębnać, z rumieńcem wstydu, zarumienieni dumą i zapalem, czerwoni od chłosty mroźnego wichru.

A przecież dzienniki nie zapełniały się gorzkiemi waszemi skargami.

Późną nocą, po długim przedstawieniu, kiedy wszystko co żyje już zasypia, nawet olejne lampy miejskie, widać jak długim, bezładnym szeregiem gromadka zębami dzwoniących ludzi przemyka się po skrzypiącym śniegu lodem Dunaju, niektórzy z tobołkami przewieszonymi na kiju, inni parami niosący kosze. Zimny wichor północny zamiata swawolnie lodową skorupę i pędzi im śnieg rozpylony prosto w oczy.

To królowie i królowe, niosący korony swe pod pachą, a purpurę płaszczów w tobołkach...

Wiatr śniegiem zasypuje ich ślady, a nazajutrz — cóż dopiero po latach pięćdziesięciu! — nikt nie będzie nawet wiedział, że tędy przechodzili.

A przecież chodzili! I z zazdrością wyczekiwali bolesnego tego piątku, aby jak banda złodziei, co dla swego narodu przychodzi *wykraść sławę*, jak banda cyganów, co nasz podziurawiony honor narodowy połatać pragnie, we wspólniejszej sali obcego domu, z wiecznie świeżym zapalem móż występować i składać dowody światu, że „Węgier jeszcze żyje!

I jakież dowód świetny!

Każdy ich żałował; tak jest, żałowano ich, — takie właśnie panowało uczucie. Że też tak wielkie talenta ginąć muszą bez sławy, marnie, w tak ciasnym, nieznanym, mglistym świecie! Gdyby byli artystami innego narodu, sława ich rozbiegłaby się po całym świecie, żyliby w pośrodku przepychu, w zbytku!

Przybywali do nich cudzoziemscy dyrektorowie, którzy czynili im ponętne propozycje, powoływali do Wiednia, Drezna, Medyolanu, chcąc zawierać na świetnych warunkach kontrakt. A mieli po temu zdolności, aby się kształcić dalej w języku jakiegokolwiek bądź innego narodu, bo z próżności i dlatego, jak pisali na afiszach „aby świat zobaczył, co Węgier zdoła“, grali z okoliczności różnych uroczystości narodowych, niektóre sztuki w Fünfkirchen po niemiecku, w Raczkeve po serbsku, w Bukareszcie po rumuńsku. Mogli byli przeto stąd odejść, wszystkie drzwi świata stały im otworem.

Ale ich serce przyrosło do tego kraju, z którym nie mogli się rozstać; ponęty bogactwa, sławy nie były wstanie serc ich oderwać od tej ziemi; obojętność, przykre stosunki, cierpienia nie mogły ich wyziębnić.

Co piątek tedy nieśli wytarte ubrania i znakomite zdolności po przez ten lód rzeki do „obcego“ Pesztu.

Pewnego piątku obiegił Aszalyi po kolei wszystkie garderoby, przybyłych na widowisko aktorów i aktorek węgierskich, zapraszając ich na wieczór dzisiejszy po przedstawieniu na kolacyą do pani Csollan.

Czemże Aszalyi był u pani Csollan? Chłopcem od posylek, fagasem do wszystkiego, sekretarzem prywatnym. Dla aktorów był krytykiem teatralnym, żebrakiem biletów, pieczeniarem.

Zaproszenie takie oczywiście z radością przyjęto. Doprawdy, rzecz to wcale nie zła, skoro po przedstawieniu zamiast wędrować po lodzie do Budy, do nieopalonej ciupy, wsiąść sobie do oszklonej karety, pojechać na wspaniałe salony, zasiąść do wytwornej uczyty i zabawić się w kielichy do rana, a kto wie może w jakiejś gierce wygrać coś jeszcze od panów na drogę. Wszyscy oświadczyli wdzięczność za spotykający ich zaszczyt, i przyrzekli, że się stawić nie omieszkają.

Cilly tylko podziękowała bardzo pięknie za pochlebne wezwanie, ale przepraszając zarazem, że z niego skorzystać nie może, bo śpieszyć musi do domu, gdzie jej maleńki pozostał sam z mamką. Był to w istocie powód dostatecznie ważny. Ale Banyavary mimo to niech tam idzie i bawi się jak najlepiej. Odprowadzi ją woźny teatralny, który też za nią kosz zaniesie.

Cilly zresztą, i tak już przyzwyczajona była do tego; często bardzo sama powracała przez

Dunaj do Budy. Banyavary w takie wieczory pozostawał zwykle u pani Csollan na herbacie, ale Cilly cieszyła się z tego, że tam chodził; było tam przyzwoite towarzystwo; stamtąd mąż jej powracał trzeźwym do domu; dotrzymywał swego ślubu i nie pił teraz wina zupełnie, tylko herbatę, a to napój niewinny.

Cilly nie znajdowała też nic w tem niepokojącego, że sama, odprowadzona tylko przez służącego powracać będzie musiała do domu. Aszalyi też nie nastawał długo na zmianę jej postanowienia.

Dawano właśnie nową sztukę Kolomana Jenői; on sam obecnym był na scenie. Aszalyi i jego zaprosił do pani Csollan, na co odpowiedział Koloman, że jeśli tylko znajdzie możliwość, przyjść nie omieszka.

Ale nie było to rzeczą możliwą.

Nagle bowiem pogoda zmieniła się zupełnie, silny wiatr południowy przyniósł z sobą odwilż; odrazu powiało wiosenne tobnienie, lód na Dunaju był bardzo osłabiony, wozami nie wolno było od kilku dni już przejeżdżać po nim; do tego jeszcze przez ciąg całego widowiska padał deszcz, który lód do reszty osłabił lub roztopił. Następstwem tego było, że kiedy Cilly po przedstawieniu wyszła z garderoby i poprosiła inspiocyenta teatralnego, by za nią ułożone w koszu suknie odniósł do Budy, ten wręcz oświadczył,

że za cenę zbawienia duszy nie podjąłby się dziś iść do Budy, bo lód pęka, a on ma tylko jedną głowę, której na szwank wystawiać nie myśli. Nie wdawał się też z nikim w dalsze rozprawy, ale wysliznął się cichaczem bocznemi drzwiami, pozostawiając Cilly kłopot starania się o towarzysza.

Biedna kobieta przerażona była niezmiernie. Scena była już całkowicie pusta, aktorowie śpieszyli się wszyscy na ucztę i Banyavary między nimi; tylko lampiarz jeszcze był na stanowisku, lecz i ten dał jej radę, że najlepiej zrobi, jeśli pójdzie za innymi. Powóz pani Csollan stoi jeszcze przed teatrem. Któżby na tak piekielną niepogodę odważył się puścić lodem po Dunaju!

Ale Cilly musiała iść do domu, bo w domu czeka małeńka jej dziecina.

Na dworze było ciemno, deszcz lał strumieniami; zegary wybiły jedenastą, a ona postanowiła choćby sama jedna iść do Budy. O, bo odwaga matki jest tak wielką, jak dzikiej wilczycy w trwodze o swe dziecko. Czemże jej noc? czem burza? czem strachy?

Zabrała się, by iść sama.

Kiedy przechodziła przedsionek, z po za filaru wysunęła się ku niej postać mężczyzny.

Był to Koloman.

— Czekałem na ciebie. Wiedziałem, że nie

znajdziesz nikogo, coby zechciał w taką nie pogodę odprowadzić cię do domu. Ty zaś bądź co bądź będziesz chciała tam iść... Podajże mi rękę i trzymaj się mocno mego ramienia.

O! jakaż to była pociecha dla biednej kobiety!

Jest więc na ziemi bodaj jedna istota, która z jej duszą razem myśli i czuje, która odgaduje jej życzenia, na której ramieniu może się wesprzeć, która ją kocha — brat...

Ujęła ramię Kolomana, przytuliła się do niego, aby się lepiej oboje osłonić mogli parasolem i wyszeptala: „Niech ci to Bóg nagrodzi!“ i poszli samotni pośród strumieni zimnego deszczu.

Tak szły dwa promienne geniusze Węgier...

Doszedłszy do brzegu Dunaju, spotkali nadbrzeżnego strażnika, który zwrócił ich uwagę, że w tej chwili niebezpieczeństwem życia grozi puszczanie się na lód rzeki, lada chwila bowiem spodziewają się, że kra płynąć pocznie.

— Ja przejść muszę! ja z tamtej strony mam małe dziecko! — zawołała namiętnie kobieta, i pociągnęła za sobą towarzysza.

Była lekko ubrana, na nogach miała cienkie prunelowe trzewiki, — wtedy nie były jeszcze wynalezione kalosze, — a cały jej ubiór nie nadawał się ani do tego powietrza, ani do tej drogi.

Wiatr pędził im krople deszczu w twarze,

na nie się nie zdał parasol; ponad lodem stała już miejscami woda wysoko i nie można było wiedzieć, czy to woda zebrana z deszczu, czy też może rozpadlina. W pośród ciemności blask żadnej latarni nie rozświecał niebezpiecznej przeprawy; musieli krok za krokiem szukać drogi po omacku.

W jednym miejscu lód już pękł i wzdęte jego bryły barykadowały drogę. Koloman wziął Celinę na ręce i ponosił ją poprzez lodowy szaniec.

Szli wciąż naprzód.

Suknie i nogi kobiety ociekały już wodą; nagle deszcz ustał, wiatr zmienił kierunek i powiał przenikającym chłodem. Przemokłe ubranie przymarzało na nich i sztywniało.

Na budeńskim brzegu na lodzie były już szerokie szpary; do przejścia pokładzione na nie deski.

Cienka skorupa lodowa uginała się pod przechodzącymi i trzeszczała złowrogo.

O! moje dziecko, o, mój chłopczyzna maleńki! — szeptała z cicha matka...

Nie drzyjcie! Gdyby lód ten był tak cieniutki jak papier, nie załamałby się wszakże: każdej z głów waszych strzeże gwiazda, która nie da wam zginać!

W przystani budeńskiej lód już odłączył się zupełnie od brzegu, lecz była tam przywiązana

łódka na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa. Koloman przyciągnął ową łódź za pomocą swego parasola do skraju skorupy lodowej; po łodzi dostali się na brzeg.

Stamtąd podążyli ooprdziej do mieszkania aktorki. Pośpiech miał tę dobrą stronę, że rozgrzewał.

Dotarli szczęśliwie do domu.

— Nic się nie stało? — spytała Cilly słuchającej jeszcze przed otwarciem bramy.

— Nic, mały śpi.

Teraz już była całkowicie spokojną.

— Dobranoc ci! — wymówił Koloman, skoro zobaczył, że Cilly jest w bezpiecznem miejscu. — Śpieszę z powrotem.

— Z powrotem! — wymówiła Cilly — z powrotem tą samą drogą? Ja cię nie puszcę!

— Muszę powracać.

— Nie, nie! ja cię nie puszcę. Może cię spotkać nieszczęście, możesz nabawić się śmiertelnej choroby. Pozostań tu u nas...

— Nie pozostanę u was, nic mi się nie stanie, muszę powrócić.

I delikatnie odwiódł ją za bramę, sam zaś podążył z powrotem ku Dunajowi.

Wiatr tymczasem odmienił już całkowicie kierunek i zamienił się w gwałtowny wicher północny! ten zaś przyspiesza zwykle puszczenie lodów.

Na jego szczęście u budeńskiego brzegu nie było wart, gotowych zatrzymać i aresztować ludzi, chcących urągać śmierci.

Łódź ratunkowa wciąż chwiała się jeszcze na wodzie; z dzioba jej można było przejść na lód, i dalej odbywać tę samą drogę, którą się tu przybyło.

Migotliwe światło latarni na brzegu wskazywało mu kierunek, w którym miał dążyć.

Miał zaś podwójny powód do pośpiechu.

Ledwie wdarł się na brzeg peszteński, nagle trzy jeden po drugim następujące błyski rozproszyły na chwilę ciemność nocy, a trzykrotny huk przerwał ciszę głęboką:

Były to strzały armatnie z Bloksbergu dające sygnał, że kra płynie.

W pobliżu wyspy św. Małgorzaty, na ciemnej powierzchni lodu powstała biała linia, rozszerzająca się z każdą chwilą, głuchy huczący szum rozlegał się w dali.

Wkrótce potem zagrzmiały i na peszteńskim brzegu trzy strzały z dział, i tam więc lody ruszają.

Koloman pobiegł do domu; gdyby się był o kwadrans opóźnił znalazłby się między połamanymi lodami u obu brzegów.

Wróciwszy do domu zdjął z siebie przemo-
kłą odzież i przebrał się, aby pójść na wieczo-
rek do pani Csollan.

Byłoby z jego strony nieprzyzwoitością nie przyjąć zaproszenia. Czemuż miałby unikać tej kobiety? Przecież jej już nie kochał!

Salony Katinki podówczas stały zawsze otworem ojczystym uczonym i artystom, i nie był to z jej strony zwykły kaprys.

Kiedy ukazał się Koloman, zastał wszystkich gości już zebranych. Było już nawet po herbacie, lecz miano jeszcze podać kolacją.

Katinka przyjęła ostatniego przybysza uprzejmie, nie spytała nawet, gdzie tak długo bawił.

— Teraz brak tylko Balvandy'ego — odezwał się Aszalyi, który u Katinki był majordomem, kuchcikiem, pierwszym krawcem i kluźnikiem.

— O, na niego nie będziemy czekali — odrzuciła Katinka.

— On też dziś wcale nie przyjdzie; teraz w dobrym jest miejscu! — mówił znów Aszalyi, wybuchając śmiechem wprost w twarz Kolomani.

Dlaczegożby Balvandy nie miał być teraz w dobrym miejscu? — pomyślał Koloman, mimo to wszakże ów śmiech Aszalyi'ego wydał mu się tak obrażającym, tak nieznośnym, że nie mógł obronić się myśli, iż trzeba go w jakiś drastyczny sposób stamtąd wypłoszyć:

Lecz wesółą zabawą ogólną sprawiła, że zapomniał o tym epizodzie. Podano wspaniałą ko-

lacyę, podczas której Aszalyi, będący u Katinki podczaszym, generalnym głosicielem toastów i facecyonistą, umiał całe towarzystwo utrzymać w wesołym nastroju.

Ten lub ów z biesiadników wyrażał ubolewanie, że Balvandy nie przybył.

— O! jest mu tam lepiej, gdzie się teraz znajduje, niżby było tutaj! — odpowiadał za każdym razem Aszalyi i dawał do zrozumienia mruganiem oczu, że mógłby powiedzieć, gdzie to tak mu jest dobrze.

Koloman pomyślał sobie, że to wszystko mówi się tylko na złość jemu i nie zwracał już dalej na to uwagi.

Myślał tylko, że dobrze zrobił, powróciwszy przez łód do Pesztu. Gdyby był się dał zatrzymać, ludzie ci mogliby z jego powodu oczernić imię Cecylki.

Znowu rozległy się armatnie strzały z fortecznego bastyonu Budy; wszystkie szyby w sali jadalnej zadrżały.

Ktoś z pośród wesołego towarzystwa powiedział:

— Teraz zaczęły już kry płynąć.

Ktoś inny odpowiedział na to:

— Jak to dobrze, żeśmy nie na rzece...

Lecz o tej, która przed kilku godzinami przez ten łód biegła, aby móż być przy swej dzieciźnie, nikt nie pomyślał.

Jest już zapewne w bezpiecznem miejscu.

Koloman obserwował twarz Banyavary'ego. Nie pił dziś wina wcale. Dotrzymywał słowa. Jednakże mimo to rysy jego promieniały dziwnie.

Po kolacyi zebrali się aktorowie celem odśpiewania kwartetu. Potem gospodyni domu porwała wszystkich artystyczną grą swoją na fortepianie. Aszalyi począł w imieniu towarzystwa nakłaniać Banyavary'ego, żeby zaśpiewał jaką piękną pieśń niemiecką. Dał się skłonić i zaśpiewał „Króla Olch“. Katinka sama akompaniowała jego śpiewowi.

Koloman pomyślał wówczas: Może w tej samej chwili Cecylka tę samą pieśnią usypia swe dziecię; uderzenie wiatru o szyby jest tam akompaniamentem.

Koloman nie oddalał się z salonu i wtedy nawet, kiedy większa część gości przeszła do pokoi, w których rozstawiono zielone stoliki gry; nieprzestannie śledził z uwagą dwie twarze. A im dłużej je obserwował, tem bardziej ścisnęło mu się serce.

Potem rozpoczęły się tańce przy dźwiękach fortepianu. Katinka tańczyła z ochoczemi aktorami w zawody. Kolomana pozostawiono w spokoju. Ktoś o nim rozpuścił pogłoskę, że jest chory na piersi.

Ranek zastał jeszcze całe towarzystwo na zabawie.

Z rana przyszedł Katince pomysł, że dobrze byłoby pojechać nad brzeg Dunaju i zobaczyć jak wody jego krą, płyną i szaleją. Natychmiast kazala sprowadzić doróżki Aszalyi'emu, który był u niej stajennym i koniuszym i pojechała z całym orszakiem gości nad brzeg Dunaju.

Koloman udał się tam razem z innymi.

Rozszalały Dunaj był straszliwy. Całe góry kry pędziły z błyskawiczną szybkością, nurtem wezbranej rzeki; z hukiem roztrącały się o siebie, to znów piętrzyły na wysokość kamienio i przewalały na fal grzbiecie.

— Czy też Cilly dostała się dziś w nocy do domu? — rzuciła pytanie ciekawa jakaś subretka.

— O, z pewnością jest w domu, — pocieszył pytającą Banyavary.

I znowu komuś przyszło do głowy wspomnieć Balvandy'ego. Co za szkoda, że go tu niema teraz!

— Ależ on teraz przedostać się tu nie może! — odpowiedział Aszalyi z filuterną miną.

Sama już myśl przedostania się z jednego brzegu na drugi, była szaleństwem. To też Katincka zrobiła kochanym swym gościom następną uprzejmą propozycję: skoro już wszyscy dla niej skazali się na wygnanie w Peszcie, to niechże teraz powrócą do jej domu i pozostaną tam,

dopóki nie można będzie przebyć Dunaju. Przyjemna ta propozycja była oczywiście przyjęta z powszechnym zapalem. Koloman tylko podziękował za zaproszenie, on bowiem w Peszcie jest w domu, i może iść do siebie. Poszedł też, nie-naglony przez nikogo do pozostania.

Kiedy wszakże szedł Wajcneńską ulicą, spotkał z przeciwnej strony nadchodzącego Balvandy'ego. Unikać go dla tego, że się ożenił z kobietą, którą on kochał, nie było zasady; to też Koloman nie unikał go nigdy, przeciwnie, przy każdym spotkaniu zaczepiał go i rozmawiał z nim jako dawnym znajomym.

— Dzisiejszej nocy wspominaliśmy cię bardzo często u pani Csollan, — odezwał się Koloman, — dlaczegoż się nie pojawił?

Balvandy wzruszył ramionami.

— Nic o tem nie wiedziałem, że u pani Csollan jest jakie zebranie; nie byłem proszony,

Koloman zdziwił się; nie rozumiał tej zagadki. Podali sobie wzajem ręce, jeden poszedł w tę, drugi w ową stronę.

NIEWINNA HERBATA.

Znowu zwolna wróciła wiosna, co poznać można było najlepiej po tem, że „pod ślimakiem“ rzodkiewkę już sprzedawano.

Ten „ślimak“ jest narożnym domem po jednej stronie Placu Św. Sebastyana. Kto zada sobie pracę poszukania go, znajdzie go takim samym dziś jeszcze, jakim był przed czterdziestu z górą laty, dom stary z niskim piętrem, wązkimi kurytarzami i drewnianymi schodami. Między obecnym a owoczesnym „ślimakiem“ ta tylko zachodzi różnica, że podówczas był on ogniskiem, w którym gromadzili się literaci, uczeni i artyści stolicy.

W owych czasach przodownicy duchowego życia Węgiei byli jeszcze ludźmi towarzyskimi. Jeden szukał towarzystwa drugiego, umieli bawić się z sobą.

Tu zaznajomili się późniejsi matadorowie literatury, tu odczytywali wzajem swoje poezye, tu opowiadali o swoich wybuchających marze-

niach i łączyli się ku wspólnemu podejmowaniu trudnych przedsięwzięć, jakim było naprzykład wydawanie almanachu belletrystycznego ze stalorytami. Olbrzymi to był hazard jak na ówczesne stosunki.

I Koloman wchodził często w to kółko towarzyskie, a młodsza generacja uważała go za swego przywódcę, skąd też starsi panowie niebardzo nań chętnie spoglądali.

Mieli go za niezbyt uczonego. Naganiali, że pracował pośpiesznie, za dużo. Jego wielki wpływ na publiczność, nazywali ubieganiem się o popularność. Umiarkowańszych raziła wolnomyślność Kolomana. Literaci, urzędujący albo dążący do urzędu, starali się zdala trzymać od niego.

W niektórych literatach, którzy czuli, że ich przerósł duch Kolomana, przeradzała się złota żyłka poetyczna w salonową żyłkę krytyki. Hrabowie zaś i książęta literatury węgierskiej, tworzący akademię umiejętności, udawali, że nigdy nie słyszeli o nazwisku Kolomana.

Ale Kolomana nie zrażało to wszystko. Był on poetą z bożej łaski, i tem się cieszył, że jest takim.

Do regularnych gości „ślimaka“ należał Birczy, który ogłaszał niegdyś drukiem szacowne rozprawy prawne i był tak szalenie śmiały, że poważał się krytykować zasady prawa Węgier.

Następnie o każdej dnia porze można było tam zastać Aszalyi'ego.

Ten należy również do literatury. Pisywał ukryty pod pseudonimem krytyki, układał dla opasłego księgarza kalendarze i kuł wiersze ludowe, niezwykle nędzne, niezwykle cieszące się powodzeniem i niezwykle skromnie opłacane przez wydawcę. Mimo to Aszalyi zawsze przechwalał się wysokimi honoraryami; — mimo to swoją drogą co chwila pożyczal od każdego po guldenie; — i mimo to wszyscy lubili go niezmiernie. Trzy zestawione tu zdania wyglądają z pozoru na paradoks. Niechże będą paradoksem.

Aszalyi cierpiany był nawet w arystokratycznych kołach; w kołach dam i panów peszteńskich zbierał plotki; skoro mu zaś ich zabrakło. umiał na poczekaniu sam sfabrykować a potem produkować tak zabawnie!

Plotek najchętniej się słucha nie na kawkach damskich, jakby kto sądził, lecz na zebraniach mężów uczonych. Niema tak wdzięcznego pola dla bajarstwa, jak uprawiane przez uczonych i artystów.

Dlatego to pod „ślimakiem“ Aszalyi daleko większymi cieszy się względami niż Koloman, jakkolwiek o pierwszym każdy powiada, że to ladaco, — „mnie winien guldena“, — „mnie dwa nawet“, — kłamię przytem na potęgę, ale jest w tem niewymownie zabawny. Natomiast Jenöi

jest zamknięty w sobie, obojętny, może nawet zarozumiały.

Raz wpadło to nawet w oczy Kolomanowi, że kiedy wszedł do sali zebrań kolegów z zawodu, wesołość w jednej chwili ustała, jak gdyby obecnemu tam towarzystwu coś nagle w niesmak poszło; Aszalyi, który głośno opowiadał, umilkł natychmiast i oprzedziej odszedł na ubocze.

Koloman nie mógł się powstrzymać, aby nie spytał Biroczy'ego o powód takiego postępowania.

— Czem to być może, że głośna wesołość całego towarzystwa nagle ustaje z mojem wnijsciem?

— Chcesz wiedzieć przyczynę? Oddawna czekałem na to pytanie, — odpowiedział Biroczy. — Siadajże tu ze mną w rogu.

Odkąd Biroczy zajmował się interesami jego babki, a między niemi sprawą jego wydziedzi-czenia, Koloman demonstracyjnie okazywał przychylność dla Biroczy'ego. Był tak dumnym, że nawet jakąś kwaśną miną nie chciał okazać, że strata majątku zrobiła na nim wrażenie.

— Proszę cię o to, — rzekł — siadając na framudze okna obok Biroczy'ego.

— No, to słuchajże wszystkiego. Przypominasz sobie ową noc, kiedy to pękły lody na Dunaju i budańscy aktorowie z tego powodu przez

dwa dni musieli tu pozostać, a pośród nich i szwagier twój Banyavary?

— Tę noc spędziliśmy razem, — pośpieszył odpowiedzieć Koloman.

— Tak, u pani Csollan. Czy przypominasz sobie, że wówczas ktoś zapytał: Czemu to niema barona Balvandy'ego? na co nasz przyjaciel Aszalyi odpowiedział: „O! on jest w bezpiecznem miejscu!” Czy przypominasz sobie ten uśmiech, z którym popatrzył wówczas na ciebie?

— Z pewnością.

— No, to wiedzże, iż wspólny nasz przyjaciel od tego czasu po dziś dzień rozsiewa wieści, jakoby baron Balvandy owej nocy, późno już po widowisku, odprowadzał pod rękę do domu twoją siostrę, panią Banyavary, a przez ten czas kiedy mąż jej zatrzymany w Peszcie, nie mógł powrócić do domu, pozostawał u niej w Budzie. To właśnie miało oznaczać owo: „jest w bezpiecznem miejscu”.

Koloman nie czekał już dalszego ciągu opowiadania, zerwał się z krzesła, blady jak posąg, wstąpił w pośrodek zgromadzonego towarzystwa i stanął wprost przed Aszalyi'm.

— Słuchaj pan — odezwał się do niego drżącym głosem a całe ciało jego drżało tak samo jak głos... — Utrzymałeś, że owej nocy kiedy kra puściła na Dunaju, widziałeś siostrę moją,

panią Banyavary, idącą pod rękę z baronem Balvandym.

Aszalyi przyparty był do muru, nie było innego wyjścia tylko być bezczelnym.

— A tak! Utrzymuję tak, ponieważ widziałem, — mówił z bezwstydnem czołem. — Byłem przed teatrem w powozie pani Csollan, aby panią Banyavary zabrać na wieczorek. Obok stangreta siedział przecież lokaj pani Csollan. Ten widział to samo co ja... Pani Banyavary wyszła z przysionka; wtem z po za filaru wysunął się mężczyzna, który czekał na nią, i poszli razem pod rękę przez lód Dunaju. Nie raz, ale dwa razy zajrzałem im w twarz... Kobieta była twoja siostra, mężczyzną zaś owym był baron Balvandy...

— Tym mężczyzną byłem ja sam, łajdaku! — zawołał Koloman i wymierzył oszczercy policzek, tak potężny, głośny, uczciwy policzek, że wybornie starczyć mógł za sankcyę ostatniego wyrazu.

Spoliczkowany rzucił się, — nie domagać się zadośćuczynienia, lecz — do lustra, jak gdyby chciał się przekonać naocznie, czy rzeczywiście jedna połowa jego twarzy jest czerwieńszą od drugiej. Wtedy dopiero przyszło mu na myśl oburzać się: „To wymaga krwi!“ — zawołał, ale dopiero wtedy, kiedy się przekonał, że Jenői włożył kapelusz na głowę i opuścił salę.

Potem obejrzał się do koła, kogoby tu z towarzystwa wybrać na sekundanta? Oczywiście wynalazł najumiarkowanego ze wszystkich starszych uczonych, słynnego z najlepszych usiłowań wywodzenia imion wszystkich perskich i asyryjskich królów starożytności z języka węgierskiego, aby tym sposobem dowieść, że świat cały od Węgrów pochodzi... Na tego tedy poczciwego staruszka napadł Aszalyi z żądaniem, aby przy krwawem spotkaniu był sekundantem, na co mu tenże odpowiedział tyle tylko:

— Nie robiłbyś głupstw!

Za Kolomanem, który wybiegł, podążył jeden tylko kolega: Biroczy. Jakkolwiek śpieszył się bardzo, kulawemi swemi nogami nie mógł go dognać; musiał głośno wołać, aby poczekał nań trochę. Koloman stanął i czekał.

— Czym dobrze zrobił, że mu dał policzek? — spytał Biroczy'ego.

— Złeś zrobił. Dwa dać należało.

— Czy zechcesz być moim sekundantem, potem co teraz nastąpić musi?

— Twoim sekundantem? Przecież nie sądzisz, aby ten dureń wyzwał cię na pojedynek? Jeżeli on będzie się pojedynkował, to ja zostanę lauffrem u sultana. Ty do tego domu nie pójdziesz już nigdy.

Koloman z goryczą skinął głową.

— Ale on jutro tu już będzie, przyjdzie tam

z ręką na temblaku i będzie opowiadał jak z tobą stoczył pojedynek; jak oszczędzał cię, bo nie chciał narodu pozbawić tak wielkiego ozłowieka. Twoja kula przecież przeszła mu ramię, uczony uwierzy we wszystko, co nie jest abstrakcyjną teorią, a żadnemu z nich na myśl nie przyjdzie obejrzeć owej rany. W najgorszym zaś razie kawałek wizykatoryi za dwa krajcary zrobi swoje i ten błazen paradować będzie jako bohater. Ty zaś nie przyjdiesz tu nigdy, by go za kłamstwo ukarać.

— Nie.

— Ale nie mówmy już o tym błaznie. Natomiast zadajmy sobie pytanie, w jakim celu rozsiewał ten gałgan oszczerstwo? boć darmo nikt nie złego nie robi. Jaką miał korzyść z oszczerstwa? Sprawa ta ma z pewnością swoją genezę.

— Nie mogę odgadnąć.

— Zestaw z sobą wszystkie okoliczności. Gałgan ten wiedział bardzo dobrze, że to ty odprowadzałeś siostrę przez łód rzeki. Nawiasem mówiąc: było to szaleństwo z twej strony przez taki łód słaby iść tam i z powrotem, a potem jeszcze przychodzić na wieczorek, jak gdybyś przez ten czas tylko poszedł kazać sobie ufryzować włosy. Ale o tem pomówimy innym razem. Ten łotr więc wiedział wybornie, że to ty byłeś, a jednak głosił, że to był Balvandy; a jeszcze czynił to tak jawnie, że spodziewać się mógł,

iż to dojdzie do twoich uszu. W takim wypadku mógł przecież być tak pewien policzka, że na-przód już w lombardzie mógłby go był zastawić za pięć guldenów. Czyby serce jego tak spragnione było tej pociechy? Temu nie wierzę. A zatem ktoś inny musiał w tem mieć interes.

Koloman stanął nagle, jak gdyby naraz wielka skała stanęła mu na drodze, której przejść nie-podobna.

— Co ty wiesz?

— Posłuchaj mnie i nie wyczekuj tu darmo po ulicy. Idź spokojnie do Budy i zobacz się z panią Banyavary, a od niej otrzymasz wyjaśnienie.

— A skądże ona to wie?

— Odemnie.

— Słuchajno, jakiż interes ty masz w tej sprawie, że się w nią mieszasz?

— Interes? ależ prawda, masz słusność. Toż powiedziałem sam, że nic na świecie nie dzieje się bez interesu. Tym razem osobiście dla mnie rzecz jest obojętną; lecz jestem adwokatem i mam klienta, którego interes znagła mnie do dzia-łania.

— Któż to taki?

— I tego dowiesz się, skoro pomówisz z pa-nią Banyavary. Idź tylko wprost do niej zaraz, ale to zaraz i prędko, bo jeśli natychmiast z nią

się nie rozmówisz, możliwem jest, że nigdy już w życiu z nią nie będziesz mówił.

— Przerażasz mnie!

— Przerażaj się jak tylko możesz najmocniej; wyobrażaj sobie co tylko możesz wyobrazić najgorszego, a potem śpiesz ile tylko zdołasz.

Koloman nie tracił już ani chwili na rozmowę, ale podążył do łodzi, która go przewiozła na drugi brzeg rzeki śpieszniej niż gdyby się udał mostem.

Dopóki nie dostał się do Budy, w mózgu jego zmieniały się niby w złowrogim jakimś kalejdoskopie wszystkie czynniki tej zagadki. Wszystkich, których kochał i nienawidził, starał się postawić obok siebie lub przeciw sobie, porównywał interesa, namiętności, możliwe i nieprzypuszczalne rzeczy, ale nie był w stanie wykrzesać światła.

Kiedy wszedł do mieszkania Cecylki, zastał ją zajętą pakowaniem kufrów.

— Co to ma znaczyć? — spytał Koloman i straszny ciężar wtoczył mu się na piersi.

— Wyjeżdżam, — wymówiła kobieta, której twarz zarumienioną była od pracy a oczy od płaczu.

— Dokąd? — spytał Koloman.

— Świat szeroki... — brzmiała odpowiedź.

Koloman pochwycił ją gwałtownie za rękę.

— Cilly, co ci się stało?

— Najgorsze co się stać mogło.

— Mów wyraźnie, bo rozum stracę!

Wtedy kobieta padła mu na piersi, wybuchnęła płaczem i wyjąkała zdławionym głosem:

— On mnie już nie kocha!

— Kto? Banyavary?

— Kocha inną.

— Kogo?

— „Tę kobietę“.

A kiedy przez łzy zabłysły jej oczy, szukając oczu Kolomana, kiedy twarz jej zapłonęła krwawym jak łuna rumieńcem, z tego spojrzenia, z tego rumieńca Koloman musiał zrozumieć kto była „ta kobieta“.

— Panią Csollan?

Cilly z obrzydzeniem obrażonego dziewiczego uczucia odwróciła twarz... Była to potakująca odpowiedź.

— Czy ten człowiek oszalał?

— A jam głupia, — mówiła kobieta, obie ręce przyciskając do twarzy, — cieszyła się, że go z jednej wyleczyła namiętności! Kiedy codzień przychodził do domu pijany, budził wstręt i litość, ale był jeszcze moim! Wstydziałam się za niego, ale on mnie kochał przecie! Teraz jest trzeźwy, ale należy do innej. Towarzysze pijatyk obdzierali go tylko z pieniędzy, herbaciane wieczory zaś wydarły mi jego serce.

Teraz jest piękny i szczęśliwy; alem ja pogrzebiona.

— Ależ to niepodobna! możesz się mylić, — pocieszał ją Koloman; a jednak dla niego zagadka nie była już tajną; pojął i przejrzał teraz ocalą intrygę tej kobiety. Dlatego trzeba było rozsiać oszczerstwo na Cecylkę, że jest kochanką Balvandy'ego, aby jeszcze więcej zobojętnić męża do żony. Toż to takie prawdopodobne! Balvandy szaleje za teatrem i zaleca się każdej ładnej aktorce. To wszyscy wiedzą

Cilly otarła łzy, westchnęła raz jeszcze głęboko i gorzko, a potem mówiła już spokojnym głosem:

— Co ci powiedziałam, jest prawdą. I nie to jeszcze jest najsmutniejszym w całej sprawie, co mnie najwięcej boli i dotyka. Własną moją boleść jakoś już przenieść zdołam. Mówią, że to los nasz... Podobno stadła aktorkie nie starzeją się z sobą razem nigdy. Ale na tym nożu, którym zadano mi ranę, jest jeszcze trucizna i to mnie zabija. O, czemuż przyszedłeś tu teraz do mnie?! Czemu chcesz odemnie to pośłyszec? Idź stąd, i pozwól mi uciec. Jutro i bezemnie wszystkiego się dowiesz, bo ludzie na ulicach mówić już o tem będą.

Kobieta w rozpaczycy ukryła twarz w poduszkach sofyc; ale nie mogła już płakać.

— Na miłość boską, cóż to takiego? Toż po-

wiedz mi, — prosił Koloman, pochylając się nad nią drżąc całym. Wreszcie łagodnie zmusił Cecylkę aby usiadła obok niego i gorące swe czoło wsparła na jego ramieniu.

— Dowiedz się więc, czego nie przebaczysz mi nigdy, żem ci opowiedziała, jak sobie nie wybaczysz, żeś mnie o to pytał. Tyś znał tego człowieka. Dzieckiem jeszcze razem z tobą przejęty gorącą miłością ojczyzny dopuścił się kroku, za który wytracono go z obranej życia kolei. Z płomienną namiętnością wstąpił później na drogę najopłakańszą ze wszystkich dróg życia, najbardziej odartą z pooiech i radości. Zdobywał sobie na niej laury i wieńce cierniowe i nosił dumnie oboje. Pamiętasz, jak ten człowiek z cichego domku twoich rodziców, gdzie przemieszkiwały tylko spokój i szczęście, uprowadził ukochane dziecię rodziny, które potem razem z nim pielgrzymowało, dzieliło sławę i nędzę i nigdy nie pomyślało o tem, by powrócić do dawnego życia. Z tym człowiekiem tyś ręką w rękę stawiał czoło całemu światu; urągaliście możnych potędze, razem założyliście sobie pokonać szyderczą obojętność tłumów, zbudzić kraj uśpiony. Tyś znał tego człowieka, dla którego wyparli się ciebie twoi opiekunowie, dla którego wydziedziczyła cię babka, opuściła kochanka. Pamiętką, ów dzień niezapomniany, kiedy ten człowiek na szczycie góry przemawiał do ciebie jak

duch opiekuńczy narodu. Ten osłowiek teraz dla pięknych oczu kobiety zapomina nas, porzuca ojczyznę i wyjeżdża za granicę, aby zostać artystą obcego narodu...

Kolomanowi opadły ręce, patrzył przed siebie osłupiałym wzrokiem i szepnął:

— To sen chyba, sen okropny!...

— O, nie, to nie sen, to najoczywistsza prawda. Adwokat tej kobiety opowiedział mi wszystko. Banyavary mawiał często jakie by to czekało go wynagrodzenie, jaka sława, gdyby nie był geniuszem tego nędznego narodu, jakie świetne obietnice, jakie ponętne propozycje ze wszech stron świata go spotykają, że mógłby przecież grać w tylu językach! Dziś mam już w ręku klucz do tego uganiania się za sławą. Przyjaciel nasz, który mi to wszystko opowiedział, przyznał się przedemną, że owe ponętne wezwania za granicę były tylko intrygą tej kobiety. Zawarła ona z zagranicznym dyrektorem układ, aby ofiarował Banyavary'emu znaczne wynagrodzenie, które ona zobowiązywała się w dwójnasób impressariowi zwrócić. Gdy on wyjedzie, wtedy i ona osiadzie w tymże mieście zagranicznym. Adwokat powiedział, że w interesie swej klientki musi temu przeszkodzić, krok taki bowiem rozstrzygnąłby proces rozwodowy na jej niekorzyść. Lecz Banyavary opuści nas i pogoni za pięknymi oczyma pięknej pani za granicę

i poprzysięże u obcego ołtarza służyć oboemu bogu!...

Teraz na Kolomana przyszła kolej zapłakać, tak jak tylko mężczyzna dotknięty w najgłębszych uczuciach duszy, płakać może, mężczyzna zraniony w tem co ma najświętszego, który przepelniony goryczą nad zwaliskiem pracy i nadziei całego życia, wybucha łzami z przepelnionego serca.

O, cóż to za okropny był płacz!...

Nagle przecieź stłumił go; już przeszło. Powstał i ujął rękę Cecylki, uścisnęli się, Koloman złożył pocałunek na czole kobiety, a w uścisku tym, w tym pocałunku wyraźna była zapowiedź: „Nie zobaczymy się już nigdy!“...

Koloman wyszedł na ulicę jak lunatyk. Przed orszakami widm własnej duszy nie widział otaczającego zewnętrznego świata. Ani wiedział jak doszedł do siebie, ani dlaczego wrócił do domu.

— Co ja robię? Sam nie wiem... Z rana policzkowałem jednego człowieka; przed wieczorem mogę zamordować drugiego. Ale kogo? Może siebie, za to, że byłem takim głupcem, że ja właśnie zaprowadziłem go do tej kobiety, którą sam się brzydziłem. O, piękna myśliwa, nietylko zwierzyne umie trafiać w samo serce!

Przyszło mu na myśl napisać list do pięknej pani.

I rozpoczął go też...

„Pani! — Jakimś nielitościwym jesteś demonem, jakie złe masz serce! Jak umiałaś wyszukać jedyny podległy boleści zakątek mego serca, w który ugodzić można śmiertelnie! Ponieważ mnie samego nie boli już cios żaden, żadna strata, więc zabijasz pani tych, których kochałem. Pojęłaś, przed jakim ja klękam ołtarzem i burzysz na nim obraz święty. Tobie nie wystarcza żywcem nas pogrzebać, pragniesz jeszcze imiona nasze zatrutemi podać potomności? Czy masz ludzką duszę, ludzkie serce? Nie! Kto ciebie pozna, staje się bluźniercą, względem Boga i ojczyzny, nabiera do miłości obrzydzenia. Przeklętą niechaj będzie ta chwila, w której spojrzalem w szatańsko-piękne twe oczy. Żyj pani tak długo, dopóki życie cię nie zaboli! Żyj tak długo, dopóki uśmiech, którym cię dziś świat darzy, nie zamieni się w śmiech szyderstwa“.

A kiedy już napisał tyle, rozdarł list cały.

— O, jakież nierozsądek! Zwiększając jeszcze rokosz tej kobiety, pozwalając jej posłyszeć jęk ofiary. A przytem czemuż mi jest ta kobieta? Jakie ja do niej mam prawo? Czemuż miałbym jej czynić wyrzuty? Alboż tu nie mam przeciwnika, mężczyzny?

Koloman rzucił szczątki listu do kominka i pośpieszył do teatru.

Był to piątek; węgierskie towarzystwo dramatyczne gotowało się w peszteńskim teatrze

do widowiska. Tam pośpieszył, tam musiał spotkać tego, z którym należało się rozmówić.

Nie zwracał uwagi na ludzi spotykanych na ulicy; a tak słynnego człowieka przecież zna wielu i pokazują go sobie zaraz. Gdyby był mógł popatrzeć na nich, byłby zauważył, że wszyscy ustępowali przed nim z pewnym szacunkiem z drogi. Od dziś rana pogłoska olbrzymie rozgłosiła już rzeczy o cwym słynnym policzku, którym zamknął usta oszozerocy.

W teatrze oczywiście dowiedziano się o tem najprędzej. I tam też cieszą się najgoręcej z tego wypadku. Ha! bo cóż to za radość panuje w Izraelu, kiedy wypoliczują krytyka? Jest to coś w rodzaju powszechnego benefisu dla całego towarzystwa. Fakt ten podaje każdy dalej jako tryumf odniesiony nad wspólnym wrogiem. A jak to wnet przyozdabiają ładnie! Jak to Aszalyi wpadł pod stół po otrzymaniu wymierzonego ciosu etc. etc.

Ilu przeto aktorów, chórzystów, ilu posługaczy spotkał Koloman i spytał o Banyavary'ego, każdy naprzód patrzył mu w twarz z dziwnym uśmiechem, a potem na kij, który miał w ręce: sękaty kij z dzikiego winogrodu z taką rączką, jakie podówczas były w modzie. Każdy myślał sobie: ten kij dziś jeszcze będzie w robocie!

Odsyłali wszyscy Kolomana do pokoju reżysera; tam znajdzie Banyavary'ego.

Zastał go samego.

I Banyavary dowiedział się był już o scenie, odegranej „pod ślimakiem“ i dlatego też czuł się nieco w kłopotliwym położeniu wobec Kolomana. Od dawna powinien to być uczynić on sam, co teraz uczynił Koloman, plotka bowiem o Balvandy'm, którą puszczone w obieg doszła i do jego uszu. Ale on o to ani spytał nawet żony! Przy zamiarach, jakie obecnie układał w głowie, dla mężczyzny jest to jeszcze pewną ulgą sumienia, skoro i żonę jego obwiniają o coś podobnego... Skutkiem tego nie wiedział teraz, jaką twarzą ma powitać przyjaciela.

Ale Koloman szybko wyrwał go z tej niepewności.

Postąpił wprost ku niemu i zawołał:

— Hej, *Borcsay!*

Borcsay! Skoro posłyszał rzeczywiste swe nazwisko, aktor zbladł natychmiast i przeczuł o co rzecz chodzi, co dalej ma nastąpić.

— Borcsay! Dziś dowiedziałem się, że masz porzucić żonę i scenę węgierską. Żonę dla piękniejszej kobiety, ojczyznę dla szerszych horyzontów... — Żeś złamał wiarę żonie, załatw to z własnem sercem, jeżeli masz serce; ale z tego, iż chcesz zostać odstępcą sprawy swojego narodu, mnie musisz zdać rachunek. Nie przychoǳę tu prosić cię i błagać; tylko powiem: jeśli przენiewierzysz się ołtarzowi, któremu w doli

i niedoli poprzysięgaliśmy być wiernymi, zabiję cię! Zabiję cię podstępnie, bez walki, jak psa; zabiję pierwszym lepszym kamieniem, który mieć będę pod ręką; zabiję bez najmniejszego wyrzutu sumienia.

Banyavary posłyszał oddźwięk własnych słów swoich, które niegdyś mówił do Kolomana na szczycie góry. I naraz odnalazł serce w piersiach; dziwne bo też było to serce! Raz znajdowało się u siebie, to znowu gdzieś daleko, a wtedy potrzeba tylko było zawołać na nie właściwem słowem.

— Na Boga, masz słusność, — odrzekł Kolomanowi; — możesz mnie zabić, zasłużyłem na to... Jestem nędznym, nikczemnym zaprzańcem. Mógłbym wprowadzić na uniewinnienie moje powiedzieć, że rozgłos o niewierności żony przejął mnie taką goryczą, a chęć pomszczenia się skłoniła do nikczemnego kroku; ale człowiek podły, jakim byłem do tej chwili, nie zasługuje na to, iżby uczołwi, którym odtąd będę, bodaj jedno słowo tracił na jego usprawiedliwienie. Byłem nikczemnym, ohydny człowiekiem, masz słusność. Patrzaj!

I wyjął z wewnętrznej kieszeni tużurka kontrakt z cudzoziemskim impresariem, pokazał go Kolomanowi, a potem rozdarł na cztery kawały, które rzucił po za siebie.

— Skończone wszystko i nie powtórzy się więcej.

Potem wzruszony podał Kolomanowi rękę. Ale Koloman jej nie ujął.

— Jakto, nie podajesz mi ręki?

— Ani ja tobie, ani ty mnie!... Dopóki ręce nasze ścisnęły tylko brudne dłonie Berti Csollana, nie brukały się obustronnym uściskiem; dziś splamiłyby się obie. Nadal nie jesteśmy już dla siebie ani krewnymi, ani przyjaciółmi, tylko dłużnikami i wierzycielami, którzy wzajem wszystko sobie są winni do ostatniego tchnienia. Mów, czym ja ci co winien jeszcze?

— Nic... Tyś dla mnie poświęcił wszystko coś posiadał. Teraz dyktuj mnie com ci winien. Spłaoę. Jeśli nie uczynię tego, zabij mnie!

— Borcsay! Pamiętaj o tem, że to, co tu robimy teraz, nie jest komedya. Ja przez dwa lata uczyłem się w szkole Karbonarów; a wśród węglarzy takiego człowieka, jakim ty jesteś, nazywają „martwym węglem“.

— Nie dodawaj słowom twoim mocy groźbami. Większą trwogą przejmuje mnie spojrzenie na milczące usta żony, przeciw której ktyle zawiniłem, a która mi nigdy przecież nie zrobiła żadnego wyrzutu...

— Powrócisz do niej i pojedziesz z nią tam, dokąd ona jedzie.

— Kiedy to mam spełnić?

— Jutro.

— A moje towarzystwo?

— Dziś gra po raz ostatni w stolicy; dzisiejszej nocy pakuje swe manatki i rusza dalej.

— A to, cośmy zbudowali dotąd, runieź wszystko?

— Niechaj runie... Niech spada na moją głowę! Ty się ocalisz z tej ruiny.

— Dobrze.

— I nie powrócisz już do Pesztu nigdy.

— Łączy nas przecież ślub, który niezadługo spełnić potrzeba, że po upływie lat piętnastu spotkamy się wszyscy tu, w Peszoie.

— Tyś umarł, ty przybyć nie możesz.

— To prawda! Czego wymagasz jeszcze po mnie?

— Abyś mnie zapomniał.

Z temi słowy odwrócił się Koloman i wyszedł. — Banyavary podążył za nim i błagał gorąco:

— Z takimże słowem rozstajesz się ze mną? nie masz dla mnie nawet spojrzenia pokrzepiającego?

Koloman odwrócił się raz jeszcze i popatrzył nań chmurno.

— Pokąd jesteś w mieście; pamiętaj o mnie; skoro je opuścisz — zapomnij mnie...

I teraz jeszcze nie pozwolił pochwycić swej ręki.

Opuścił teatr ani się obejrzawszy na niego. Cała budowa, której wzniesienie tyle trudu go kosztowało, zapadła się pod jednym uderzeniem własnej jego pięści, rumowiskami przygniatając jego głowę.

Banyavary zawiadomił zaraz swe towarzystwo, że dzisiejsze widowisko jest w Peszcie ostatniem. Zadowoleni byli zupełnie z tej wiadomości. I oni tęsknili już w tej ziemi obiecanej do prowincjonalnej pieczeni!

Potem pośpieszył do żony. Dopomagał jej w pakowaniu kufrów i swój kostyum Romea włożył do jej garderoby.

Cilly popatrzyła na niego badawczo, zdumiona, niepewna, co ma sądzić.

Banyavary na to spojrzenie odpowiedział tylko:

— Koloman był u mnie... Dziś gramy po raz ostatni. Jutro pojedziemy wszyscy do Miskolca.

Cilly nic nie odrzekła, tylko kiedy niekiedy tajona łza spadła z jej oczu na teatralne szczychy, które układała.

Banyavary był nawróconym rzeczywiście. Miał serce dobre, lecz potrzebował wiecznie dozorca. Kiedy mu na myśl przyszło, jak bardzo zmartwił tę anielską Cilly, płakał niby dziecko, ale po chwili już bawił się jak to samo dziecko.

Nim wieczór zapadł, już wierzył głęboko, że

się z lepszą częścią swej istoty zupełnie pogodził, że uczynił Cilly całkowicie szczęśliwą, począł nawet być dumnym z szlachetnego swego postanowienia: Dziś podarł kontrakt na sześć tysięcy guldenów! A wszystko to uczynił dla swej ukochanej Cilly, dla uwielbianej sztuki narodowej!

Gdyby był wiedział, że kontrakt ten jest z góry zapłacony przez piękną panią, nie cenilby tak wielce swego zrzeczenia.

Ostatnie widowisko odbyło się z wielkiem powodzeniem. Dyrektor miał mowę pożegnalną do szanownej publiczności, której dziękował za jej niezmierną, patriotyczną ofiarność, iż za owancygiera przychodziła się bawić przez całe trzy godziny.

Następnie kobiety rozeszły się do domów, aby przysposobić się do drogi i wypocząć, nazajutrz bowiem raniuteńko trzeba wyruszyć. Mężczyźni wszakże pozostali razem, aby „pod czerwonym wołem“ jeszcze po jednym kieliszku wypić z dawnymi protektorami. Każdy uważał to za rzecz słuszną.

Cilly przystała na to, aby Banyavary poszedł z innymi; nie przystoi mu się przecież wyłączać. Banyavary poprzysiągł uroczyście, że przed północą jeszcze powróci do domu.

Cilly była znów tą samą wierzącą żoną; sama

najmocniej namawiała męża, aby bawił się do-
kład zechce i pił z przyjaciółmi.

Biedna kobieta; cieszyła się teraz już z tego,
że mąż jej „tylko“ pije!

Lecz Banyavary trwał w tem co postanowił;
skoro zatem raz już dał słowo, że nic innego
prócz herbaty pić nie będzie, dotrzymywał też
przyrzeczenia wiernie. Wprawdzie herbatę tak
zawsze zaprawiał arakiem, że wybornie mogła
uohodzić za poncz, ależ bądź co bądź trunek
taki działa inaczej na człowieka, - niż wino lub
piwo. Na pożegnalnej uczcie jemu osobno po-
dano herbatę zamiast wina; popijał ją zwolna,
ostentacyjnie; kiedy koledzy tręcali się kielisz-
kami, on do toastu podnosił swą filiżankę.

Zresztą był w najnajlepszym humorze. Przy-
niósł z sobą gitarę i do jej akompaniamentu na
prośby towarzystwa zaśpiewał jedną i drugą
śpiewkę miłosną. Opiewał stałość w miłości, a lzy
świeciły mu w oczach.

Bo też dobry był z Banyavary'ego chłopak!
Czuł zawsze to co mówił, ale całe nieszczęście
jego było, iż zrana czuł co innego a wieczorem
co innego; czuł co innego dla tej samej istoty,
gdy był zdala od niej, a co innego gdy był obok
niej i z nią mówił.

Kiedy Banyavary pił czwartą z kolei filiżankę
herbaty, przyszło mu na myśl, że aromatyczniej-

szą bez porównania jest owa herbata, którą nawykł był pijać gdzieindziej.

I rzeczywiście, herbata całkiem inną ma woń gdy pijemy ją sam na sam niż wówczas gdy ją pijemy w liczmem towarzystwie. Taka to już snadź właściwość herbaty!

Potem Banyavary bardzo się jakoś zamyślił.

Spojrzał na zegarek i zauważył, że jest już około północy; przypomniał sobie, że przyrzekł Cecylce przed północą być w domu. Pożegnał się więc z towarzyszami, z jednymi na zawsze, z innymi do jutra, zarzucił płaszcz na ramiona, osłonił nim gitarę i wyszedł na ulicę oblaną potokiem księżycowych blasków.

Wyszedł z sercem ściśnionem, nie drobnostka to bowiem dla człowieka wiedzieć, że o tej samej godzinie czekają na niego w dwóch miejscach, a w jedno stawić się nie może.

Prawda to, że i żona jest niewiastą zacną i piękną, druga przecież piękniejsza i ma dla niego czar większy. Jedna jest wielką artystką na scenie, ale w domu za to, wobec męża nie umie odgrywać komedyi. Tamta zaś ową sztukę posiada tak wybornie! A potem ta jedna jest moją, tamta zaś należy do innego; okoliczność wpływająca znacznie na różnicę wartości.

Może i teraz przechadza się jeszcze wśród klombów bzu, w śnieżno białej sukni powiewnej, jak wieszczka?

Wydało mu się nawet w tej chwili, że nocny wietrzyk niesie na swych skrzydłach wonie bzu...

Miał do wyboru pójść przez jedną z dwu ulic. Jedna szeroka, obszerna, jasna, prowadziła wprost do mostu, druga wązka, boczna, nie wiodła bynajmniej do niego.

Gdy stanął na rozstaju, zawahał się i począł rozumować.

— Jakże, czyż to wypada, alboż to po męsku tak uchodzić bez pożegnania? Byłoby to zbrodnią, gdyby człowiek raz jeszcze zjawił się na ostatnie pożegnanie? Nie, to przecież nie zbrodnia! Można czcić swą małżonkę i usiłować nie sprawiać jej zmartwienia, i kochać ją miłością wieczną, niewygasłą, lecz można zarazem wielbić piękną panią, która nie domaga się bynajmniej wieczności uczuć, żąda tylko chwili szczęścia. Alboż wieczność przestaje być wiecznością skoro się odejmie od niej jedną minutę? Ani śladu! Przecież człowiek bierze tylko, w zamian nic nie dając. Platon zapytany jak może kochać Fryne, skoro ona go nie kocha? — odpowiedział: „Wszak mnie nie lubi ryba a ja jednak lubię rybę“. A przecież Platon był mędrcom; któż ośmieliłby się utrzymywać przeciwnie? Byłoby to oszukaństwem, niewiarą? Bynajmniej. Skoro przyrzekłem, że wyjadę z Pesztu, że będę żył nadal z Cecylką, pozostanę aktorem, węgierskim aktorem, — dotrzymam. Ale ani słówkiem

nie przyrzekałem, że z uroczą panią mówić już nie będę i tego też dotrzymywałem nie jestem obowiązany. A nakoniec każda nieprzyjemna historia, nieprzyjemną jest wówczas tylko, gdy na jaw wyjdzie. O tem zaś nikt się dowiedzieć nie może a zatem to jest dozwolone.

Jak wiadomo, herbata ma właściwy rodzaj upajania i właściwą sobie filozofią w upojeniu.

Banyavary nagle zwrócił się i podążył w uliczkę nie prowadzącą wcale do mostu.

Byliśmy już raz na tej uliczce, przypomnimy więc sobie, że w owych czasach składały ją puste place; po większej części były one ogrodzone parkanami z desek. Wyjątkowo tylko, tuż naprzeciw siebie znajdowały się dwa mury ogrodowe, których furtki prowadziły do dwóch pałacowych ogrodów. Jeden z nich należał do hrabiego Decsery, drugi do pani Csollan. Fronty pałaców obu wychodziły na dwie różne, daleko ludniejsze ulice. Okna sypialnych pokojów jednak w obu pałacach były zwrócone na ogrody. Stąd to niegdyś Katinka obserwowała Kolomana wsiadającego do karety obok hrabianki Doroty.

Nadżupan Decsery przebywał właśnie czasowo w mieście, w tym swoim pałacyku i pewnego wieczoru kazał przywołać rządcę Féri Csuka.

— Kochany Csuka, — odezwał się nędzną węgierszczyzną, która była jego cechą. — Wiesz, że sen mam zawsze nieosobliwy. Budzę się za

najmniejszym szelestem a potem na próżno już kładę się, lepiejby mi było ubrać się od razu, bo nigdy nie usnę. A tu regularnie około godziny jedynastej w nocy zjawia się jakiś niemiecki aktor, felczer czy student, czy Bóg wie tam co, staje przed furtką tamtego ogrodu i poczyną śpiewać przy akompaniamencie gitary. Śpiewa bardzo ładnie zresztą; słuchałbym go nawet z przyjemnością gdyby to robił we dnie... Ale on jakby na złość śpiewa po nocy, i to tak długo, dopóki go nie wpuszczą furtką do ogrodu. Zapewne zaleca się do jakiejś panny służącej... Biedny chłopak! Ale ja nieszczęśliwy budzę się zawsze z pierwszego snu i nie mogę już potem zasnąć. Proszę cię, kochany Csuka, bądź tak dobry i odzwyczaj w jaki grzeczny sposób tego poczciwca od stawania przed mojem oknem.

— O, już ja go grzecznie stąd wyproszę, — przyrzekł Feri Csuka.

— Ale tylko znów nie po grubiańsku; nie chciałbym, żebyś tego biedaka miał obrazić, rozgniewać lub wyrzucić mu jaką przykrość; zrób to delikatnie...

— Niech pan hrabia zaufa mi zupełnie: bardzo delikatnie stąd go wypłoszę...

Banyavary z głośnem biciem serca stanął u znajomej sobie ogrodowej furtki. Jakiś duch tajemniczy do serca mu szeptał, że mimo wszystkie rozumowania conajmniej staje w istotnej

sprzeczności z trzema z dziesięciorga przykazań bożych.

Ale księżyc przyświecał tak pięknie a wonie hyacyntów i narcyzów, które płynęły na wilgotnych od rosy skrzydłach wietrzyku poprzez mur ogrodowy, przypominały mu chwil tyle i tak uroczych...

— Przecież to po raz ostatni! Dziś tylko jeszcze zgrzeszę, od jutra rozpocznie się pokuta. Dziś tylko jeszcze upoję się rozkoszą widoku tej nadziemskiej istoty; jutro wrócę do prozaicznego żywota i do chleba powszedniego.

Wiadomo, że każdy człowiek składa się z dwóch ludzi: dobrego i złego. Obaj ci ludzie staczają z sobą bój nieustanny, to jeden to drugi górą. Kwestya zaś w tem tylko leży: czy w ostatniej chwili dobry człowiek przeważy. Dzisiejszego wieczora zły tryumfuje, lecz jutro z pewnością dobry wszystkim zawładnie i osuwać będzie pilnie, aby zły człowiek ustąpił pod wyrzutami sumienia.

Skoro już tu przyszedł, nie odejdzie: nie puści go stąd głośnie bicie serca.

Odrzucił na bok płaszcz z ramienia, przyosił gitarę do piersi i zaintonował wedle zwyczaju pieśń miłości i tęsknoty, serenadę Schuberta, której akord ostatni otwierał mu zazwyczaj drzwi raju:

„Noc srebrzysta kryje gaje,
W trawie świetlak lśni,
Serce moje hasło daje,
Hasło znane ci!“ ...

M. PODSOŃSK
Zakopane
PENSJONAT CZERNICHOWIANKA
Tel ...

Zaledwie wszakże gorące tochnienie słowa po-
częło się w oiszy zlewać w jeden akord harmo-
nijny z wonią hyacyntów i narcyzów, z przeciw-
ległej furtki wyskoczyła ukryta w zasadzce po-
stać jakaś i stanęła poza śpiewakiem.

Był to oczywiście Feri Csuka.

Bez wszelkich poprzednich tłumaczeń i py-
tań wyrwał niefortunnemu trubaduirowi gitarę
z ręki, i tak go nią poczęstował po głowie, że
kapelusz i gitara przy tem niespodziewanem
zetknięciu popękały, następnie zaś wymierzył
tym samym instrumentem drugie uderzenie
w plecy, od którego z jękiem pękły wszystkie
struny, tak, że tylko szyja narzędzia pozostała
w dłoni napastnika.

Tę wzniósł groźnie Feri Csuka w górę, niby
zdobyte na nieprzyjacielu trofeum i zawołał
w ślad za minstrelem, który rzucił się do ucie-
czki:

— Czekał, przeklęty komedyancie, dam ja ci
śpiewać tu obrzydliwe twoje pieśni!

Banyavary uciekał co mu sił starczyło.

Księżyc świecił wprost w twarz Feri Csuki,
Banyavary zaś odwrócony był do niego plecami
i skutkiem tego poznał doskonale, z kim ma do

czynienia. Feri Csuka natomiast widział w ciemności przed sobą tylko jakiegoś śpiewaka z twarzą gładko ogoloną, śpiewającego po niemiecku; zatem musiał to być niemiecki jakiś aktor; tego zaś trzeba w grzeczny sposób oduczyc od tych nocnych serenad...

Banyavary'emu oczywiście w tej chwili nie stało tak równie jasno w pamięci jak owa groźba Kolomana o zemście Karbonaryuszów. Wierzył święcie, że teraz całe stowarzyszenie tajne Cytwarskiej kroniki czyha na niego, ściga go i zabije skoro tylko pochwyci na złamaniu danego słowa; że go Biroczy zadenuncyował, Jenöi osądził, a Feri Csuka chciał wyrok wykonać. Biegł tedy przez całą długą uliczkę i spodziewał się, że na jego rogu spotka go teraz chyba Paweł Barko, z Azyi przybyły i przetrzepie go jakimś z Chin przywiezionym bambusem tak, iż będzie mógł we wszystkich wschodnich językach naraz krzyczeć: gwałtu! Wówczas dopiero osmielił się obejrzeć kiedy stanął w szerokiej do mostu prowadzącej ulicy, która oświetloną była od początku do końca światłem księżyca. Tu dopiero bieg swój dotychczasowy zamienił w chód przyspieszony, pełny wszakże rozumnej przezorności, trzymał się środka ulicy i pilnie unikał każdej framugi drzwi lub bram, w obawie, by z której z nich nie wyskoczył jaki członek sprzysiężenia Karbonaryuszów.

Kiedy przemykał się przez plac przed teatrem niemieckim, żywo wystąpiło mu przed oczy wszystko, co przeżył w tem mieście: wszystkie tryumfy i cierpienia, i oi wierni, którzy z nim dzielili jedne i drugie.

Przyszło mu na myśl, że całe to powodzenie, które oni wszyscy zdobyli z takim tryumfem i taką boleścią, teraz w proch się rozsypie, wyłącznie tylko od ognia pięknych oczu kobiety i że inny teraz tę samą pracę będzie musiał rozpoczynać znów od początku.

To go wytrzeźwiło zupełnie.

— Nędznik z ciebie, niesłychany nędznik, mówił teraz dobry człowiek do złego, który nie usiłował nawet się bronić, ale wyglądał tylko załomy i krzywizny swego kapelusza, osłaniał starannie twarz płaszczem i niby złodziej przez most się przemykał. Śpieszył do swego mieszkania; miał klucz od bramy i mógł bez szmeru dostać się do pokoju. Tu panowała już głęboka cisza.

W sypialni Cecylki świeciła się nocna lampka... Anielskie stworzenie zasypiało spokojnie na swem wdowiem łożu; małeńka dziecina leżała obok niej i drobniutką rączynę podnosiła do ust matki. Wargi śpiącej, zdało się, opowiadały coś tej małej rączynie, coś wesołego snadź, bo twarz dziecka uśmiechała się we śnie... Banyavary nie miał odwagi ucałować tej uspiionej

twarży... Zdało mu się, że gitara szła tu na niewidzialnych nogach w trop za nim, i że jakaś niewidzialna ręka rozbije mu ją znów o głowę.

.

Nazajutrz nie było już teatru węgierskiego w Buda-Peszoie.

NA PUSTYNI.

Natychmiast po odjeździe aktorów zjawił się Biroczy u Kolomana.

— Babka twoja przysłała mnie tutaj. Życzy sobie zobaczyć się z tobą.

— Wiem dla czego. Chce mi przywrócić swoją łaskę, ponieważ rozstałem się z Banyavarym na zawsze. Mój Biroczy, biję czołem przed adwokackim twoim talentem. Zmusiłeś mnie, siostrę moją i Banyavary'ego, byśmy oderwali się od miejsca, w którym mogliśmy się spotkać z sobą kiedykolwiek; sprawiłeś więcej, dowodziłeś tego nawet, że pragnienie tego spotkania w nas zamarło zupełnie. To ci się udało. Myślałeś: „Uratuję klientce mojej majątek, znajdujący się w największem niebezpieczeństwie (znam wszakże ich proces rozwodowy) skoro przez kogoś trzeciego wygnam z miasta aktora, dla którego zamierza się skompromitować nieodwołalnie w obec całego świata, — a zarazem tego trzeciego uczynię szczęśliwym człowiekiem, babka jego bo-

wiem skutek tego z nim się pojedna⁴.. Dobry z ciebie adwokat, dobry i przyjaciel; nie przeczę. Podaj mi rękę, uściśnij mnie; ale potem wychodź coprędzej i nie pokazuj mi się nigdy na oczy. Nie pokazuj się, mówię ci, bo złym jesteś psychologiem. Ja nie pójdę do babki..

— Ach! tu rzeczywiście moja psychologia już nie wystarcza. Ty, dziecko, chcesz żywić gniew do starej niewiasty, do własnej babki?

— Nie, Biroczy. Kocham ją i szanuję. Na drodze wszakże, na którą wstąpiłem, nikt ze mną iść nie powinien prócz tych, którzy do jednego ze mną dążą, celu i na też same co ja gotowi są cierpienia. Zgóry odgadnąć mogę, coby mi powiedziała babka. Słyszałem to raz już od niej: „Bądź panem“! Oddałaby mi, jeśli już nic więcej, to moją ojcowiznę, a na porządne utrzymanie i toby już było wystarczające. Lecz przyjąć tego nie mógłbym zgoła. Nazwij mnie waryatem; może istotnie jam waryat. Nie znoszę darowanej pomyślności i nie mogę jej pragnąć. Gdybym był do tego dążył, byłbym teraz szczęśliwym, godnym zazdrości, sławnym, wysoko położonym człowiekiem. Posiadałbym szczęście rodzinne, wysoki urząd, miałbym na zawołanie przepych, przed sobą świetną karierę. Jam się tego wszystkiego wyrzekł. Poszedłem na pustynię, stokroć okropniejszą jeszcze niż ta, po której bezdrożach błądzi w Azji jeden z naszych

przyjaciół. On szuka dawnego, zaginionego narodu, ja szukam narodu przyszłego. Mógłżebyś uwierzyć temu, że ja za cenę codziennie nakrytego stołu wiejskiego szlachcica zawrócę w polowie drogi z tej pustyni? — Nie, mój kochany. Ani nędza, ani zawody, ani trud żaden nie cofną mnie z niej nigdy! Pragnę być ubogim i pracować nad dziełem, za które najnędzniejszą wynagradzają zapłatą. Jest nas więcej niż sądzisz zjednoczonych ku temu celowi. Wszyscy widzimy przed sobą kamienie na tej drodze, lecz one nas nie zastraszają. Wiem, że czeka nas niedostatek; częstokroć nędza, że dzień spełnienia naszych pragnień, powodzenia i nagrody nie zostanie nawet naszych mogił z ziemią zrównanych; wiemy, że pod ciężarem tej pracy musimy upaść. A jednak nie ustąpimy z drogi. Nędza jest naszym sprzymierzeńcem, a cierpienie dodaje siły. Poetę, choćby był geniuszem przesadź tylko na wieś a jest stracony dla literatury. W dobrym bycie nie byłbym już żyjącym człowiekiem. Mnie z piśmiennictwem tak jest jak temu, który nawykł do jadania arszeniku; jeśli przestanie zażywać trucizny, umiera. Skoro dzień jeden tylko nie mogę pracować, jestem nieszczęśliwy. Dusza moja codziennie zapełnia tę pustynię... W tym raj, do którego ty mnie prowadzisz musiałbym dostać pomieszczenia zmysłów... I ja miałbym teraz przystać na takie

szoczęśliwe życie, którego codziennem zadaniem jest ze strzelbą na ramieniu włóczyć się po lesie, prawie układne komplementa pięknym paniom, pić do rana w gwarnem towarzystwie sąsiadów lub gonić za ślepem szczęściem na karcianym stoliku! Dla mnie byłaby to wieczność rozpaczy! Więc też pozostaw mnie własnej woli i doli.

— Nie pierwej, aż na sofizmata twoje odpowiem. Pojednanie się z babką nie wytrąci cię z obranej życia kolei, przeciwnie, da ci tylko w ręce środki do kroczenia po niej z większem powodzeniem, środki do osiągnięcia donioślejszych skutków. Czyliż nie możesz nadal pozostać pisarzem, choć posiadać będziesz majątek?

— Nie! Znam siebie i cały mój rodzaj. Najlepszymi mojemi dziełami są te, które pisałem pod grozą głodu. Nieraz byłbym ustał w drodze, gdyby mi bodźcem nie była myśl, że na jutro chleba mi potrzeba. Szczęście tworzy łagodnych, słodkich poetów. Ciosy, zawody, rozczarowania, osamotnienie — to eter poety... Dobry byt jest dla niego tłuszczem, w którym tonie. Kocham świat, w którym nie mam nie i nikogo! Pozostawcie mnie sobie samemu. Mnie z tem dobrze, nie pragnę nic i nikogo. Być może, że cierpię, być może, że jestem ubogim. Ale przyroda jest tak delikatną, że chorym na

piersi odbiera świadomość, że jest ubogim. Kolego, odejdz i nie powracaj już nigdy do mnie...

Biroczy odszedł zwątpiony i rzekł stanawszy przed Korczym:

— Przepadłem! Zabieraj pan sobie napowrót swoje baby!

Zaiste, niebezpiecznie byłoby Biroczy'emu pokazać się tym paniom na oczy. Same napały pana Korczę i błagały go, by przyjął napowrót ich procesa, bo ten kulas — tu następował cały szereg epitetów — psuje tylko wszystko.

Ze staruszką było pół biedy jeszcze, ale pani Csollan psy na Biroczy'm wieszala!

Piękna pani nie mogła mu przebaczyć wypędzenia Banyavary'ego z miasta. Zajęta dziwnie jakoś tym aktorem, wściekła była na swego adwokata, że jej przeszkodził tracić na Banyavary'ego majątek.

Zemsta jej dotknęła w pierwszej linii Kolomana.

Katinka wynajęła Aszalyi'ego, ażeby czepiał się wszędy Kolomana jak csa. Dawała mu pieniądze aby mógł wydawać pismo, — było to pierwsze subwencyonowane pismo w Węgrzech! — które oprócz pobocznego zadania polegającego na tem aby próżniactwu, pustocie, lekkim obyczajom i próżności pomódz do pozyskania prawa obywatelstwa artykułami w stylu partackim,

miało za główny obowiązek wszystko cokolwiek Koloman napisał, nielitościwie, bez śladu sprawiedliwości wyszydzić; z błotem mieszać, ośmieszyć jego charakter literacki, podpatrywać, denuncyować przed władzami jako wichrzyciela, przed publicznością, jako zdrajcę, podszezuwać na niego przyjaciół, odświeżać najboleśniejże jego blizny. Mściwej kobiecie broń ta była dość dobrą, a Aszalyi był wysmianym zaciężnym do takiej broni.

A znalazła się zawsze publiczność, której się to podobało.

Była wszakże gromadka, która przeciw tej zarazie zbroiła czoła chryzmatem świętego natchnienia; mężów tych nazywać możemy apostołami poezyi. Wszyscy jednakim przejęci zapalem dla wzniosłej idei, jednako zdecydowani, że będą musieli pracować bez nagrody i poledz na polu walki duchów. Podziśdzień imiona ich są nam święte... To nasi bohaterowie stojący w jednym szeregu ze zdobywcami kraju.

O, jakież bo to było dzieło, które oni podejmowali się przeprowadzić wówczas!

Wydawać węgierskie czasopismo, bez publiczności i nakładcy! Szczęście jeszcze, że się znalazł dobroduszny topograf, który zdecydował się drukować pismo na kredyt, a potem dopiero zabierać prenumeracyjne pieniądze!

Pisali dla bardzo szczupłej liczby publiczności; zgłosiło się zaledwie czterystu prenumeratorów.

Jakże też wymagać było, aby szersze koło czytelników miało pismo, które nie dawało wzorów mód, nie rozgłaszało najświeższych plotek, nie pochlebiało wyższym klasom społecznym, nie zajmowało się skandalami i skandalikami, nie politykowało, ale chciało wyłącznie wpływać na naród siłą szlachetnych idei.

A przecież oddziaływało.

I ziemia poruszała się też skutkiem tej działalności! Każde ziarnko, które święty ten zastęp posiał wówczas, odtąd wyrosło już w palmę; a owo źródło, które na uderzenie Mojżeszowej ich łaski wytrysnęło ze skały, dziś już na grzbiecie swoim nosi ciężkie okręty.

Pracowali, zamieniając noc na dzień, a praca nie przynosiła im ani sławy, ani nagrody.

Sejm, komitaty, powstanie, towarzystwa naukowe, wszystko to razem wzięte nie wprawilo w taki ruch kraju jak ci ludzie uwielbianych dziś imion...

A jakież maluczkie kamyki zawałały im wówczas drogę! Dziś dla nas to kamienie tylko, podówczas były to istne Czimborasa.

Redaktor był równocześnie korektorem, a Koluman pisywał nietylko nowele i rozprawy estetyczne, ale z pomocą majstra Tseresnyes'a oble-

pisał paski i wypisywał na nich adresy. Oprócz tego przyjmował na siebie odpowiedzialność za przypuszczalny deficyt.

Teraz dopiero było to prawdziwe „*hic Rhodus, hic salta*”!

Przy zamknięciu rachunków pierwszego roku drukarz ku niemałemu zdumieniu wydawców zawiadomił ich, że pismo nietylko nie przynosi żadnych dochodów ale jeszcze z całego rachunku wypada deficyt stu guldenów, spowodowanych tą okolicznością, że wydawcy o jednej zapomnieli rzeczy, o tem, iż na miejsce tego, co cenzor wykreśli trzeba wstawiać coś nowego a strata ta rocznie dochodzi stu guldenów. O kosztach, spowodowanych przez cenzora nie pomyśleli; zwyczajnie niepraktyczni poeci!

Oczywiście kwota ta obciążyla przedsiębiorstwo.

Drukarz wprawdzie dostanie swoje sto guldenów z prenumeraty, ale dochody nowego kwartału za to o tyle się zmniejszą, przytem liczba prenumeratorów nietylko się nie zwiększyła, lecz owszem zmniejszyła się o 10%, a to skutkiem okoliczności, że ubiegła jesień była bardzo dżdżystą i kukurydza zgniła w polu. Tym sposobem można wprawdzie jeszcze przez jaki rok świeżą prenumeratą zatykać dziury i przedsiębiorstwo prowadzić dalej, ale iść będzie już strasznie kulawo.

Koloman uczuł boleśnie tę stratę; prócz tego majstrowi Tseresnyes'owi był już winien za kwartał i począł przychodzić do przeświadczenia, że wprawdzie głód i zimno bardzo wpływają na twórczą siłę poety, ale kiedy cięży na jego głowie dług jeszcze, kiedy wie, że cenę tego, co ma napisać tu na ćwiartce czystego papieru, zdawna już komuś jest winien, — myśl taka wpływa strasznie na osłabienie ramienia i ostudzenie poetycznego zapału.

Majster Tseresnyes, zda się, odgadywał przyczynę zmartwienia Kolomana.

Pewnego dnia rzekł mu:

— Kochany panie, zapomnisz zupełnie czegoś się nauczył w sztuce malarskiej. Czy mógłbym prosić pana abyś mi zrobił mój portret — oczywiście za odpowiedniemi wynagrodzeniem.

Koloman uśmiechnął się na tę propozycją; w tym czasie właśnie cierpiał na wstręt do liter. Osobliwsza to choroba, którą zna każdy, kto bezustannie zajmuje się literacką działalnością; co czas jakiś nabiera człowiek takiego obrzydzenia do liter, takiej niechęci do atramentu, że niepodobieństwem staje się dla niego zapisanie bodaj jednej tylko myśli, choćby się wiedziało nawet, że się tem uwolni od śmierci, choćby przyrzekano za każdy wiersz dukata. W takich chwilach wszelkie usiłowania są daremnemi; pierwsze słowo nie chce wyjść z pod

pióra albo gdy wyjdzie, gniewa nas tak, że je przekreślamy natychmiast.

W taki to dzień literowstrętu wystąpił majster Tseresnyes ze swoją propozycją.

— Masz pan słusność, majstrze, — odpowiedział mu Koloman, — dziś jeszcze kupuję płótna i farby; spróbujmy też drugiego rzemiosła.

Koloman przyszedł też niebawem do przekonania, że dobrze jest być świadomym dwu rzemiosł. We dnie mógł malować, w nocy pisać; malując odpoczywa po pisaniu, pisząc odpoczywa po malowaniu. Wypoczywa zatem ciągle... Kiedy maluje, rośnie w nim chęć do pisania, pisząc nabiera ochoty do malowania.

Portret majstra Tseresnyes'a udał się znakomicie. W węgierskim dolmanie, z wielkimi srebrnymi guzami był na nim jak żywy. Stara służąca zakradała się do pokoju ilekroć nie było Kolomana, podziwiała obraz i całowała drogą twarz pana. Wprawdzie przywarł jej czasem kawał farby do warg; ale to nie nie szkodzi, Koloman zamaluje napowrót ślad pocałunku.

Kiedy portret był gotów, rzekł majster Tseresnyes:

— Tym sposobem wyrównaliśmy jeden kwartał naszego rachunku.

Mówił o dwudziestu guldenach, które mu wienien był lokator.

— Doprawdy wcale nie zły interes, — prze-

mówił Koloman. — Tym sposobem możnaby łatwo zapracować na dogodzenie literackiej namiętności.

— A możnaby, — odpowiedział majster Tseresnyes.

I natychmiast zawiesił portret w warsztacie, ażeby każdy przymierzający buty mógł go zobaczyć i nabrać zaraz ochoty do zamówienia podobnej roboty.

Tylko że wielu jest ludzi potrzebujących butów a nie potrzebujących portretu. Majstrowi od pędzla, który pracował w drugim pokoju jakos żadną miarą nie zdarzały się zamówienia!

Pewnego dnia wszakże wpadła mu w więcierz ryba. Był to Sebastyan, który u majstra Tseresnyes'a kupował sobie buty i zobaczył tam zawieszony portret. Ha, jakże mu się podobał ten obraz! Ile też mógł kosztować? Pięćdziesiąt guldenów, skłamał mu majster Tseresnyes na oczekaniu. Kłamstwo w dobrym celu bywa przecież dozwolone.

Sebastyan był teraz człowiekiem, który mógł sobie pozwolić na podobny zbytek. Ożenił się z wdową po kupcu korzennym, i był właścicielem piętrowej kamienicy. Mimo to majster Tseresnyes zwał go poprostu Sebastyanem, tak jak za czasów, kiedy był jeszcze czeladnikiem u rzeźnika; tamten zaś zawsze z całym poważaniem tytułował go „panem majstrem“, i uważał za najwyższą powagę w mieście.

Sebastyan więc, posłyszawszy o pięćdziesięciu guldenach, oświadczył, że to wcale niedrogo, i spytał gdzie mieszka malarz?

Majster natychmiast odrzuciwszy kopyto i pościęgiel, poprowadził Sebastyana przez kuchnię do drugiego pokoju, stanowiącego pracownię Kolomana, i przedstawił zdobycz swoją Kolomani temi słowy:

— Prowadzę panu gościa. — Cóż, Sebastyanie, kogo to chcesz kazać odmalować, siebie czy żonę?

Sebastyan uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Siebie tylko. Żona moja ma portret swój z lat młodszych. Mnie tam nie zależy na tych pięćdziesięciu guldenach, które wydam na siebie.

W uszach Kolomana słowa te zabrzmiały bardzo przyjemnie! To znaczy umorzenie połowy deficytu.

— Ale chciałbym być odmalowany w całości — uważaj pan, — tak jak stoję.

— Nie bój się, ten pan odmaluje cię ze wszystkim co tylko masz na sobie, nawet doda ostrogi u butów i szamerowanie u bekieszy, wszystko mieć będziesz jak się patrzy.

— O, przeciwnie, jabym chciał właśnie mieć taki obraz, gdziebym był bez bekieszy i bez butów.

— Cóż znowu! — zawołał majster Tseres-

nyes zdziwiony, — chcesz być rozebrany w koszuli?

— A! i bez koszuli nawet, tylko z wieńcem zielonych liści, gdzie już koniecznie potrzeba.

— Kpisz chyba, Sebastyanie?

— Ani trochę.

Majster Tseresnyes nie spytał już Sebastyana po raz drugi, czy to są żarty, bo lękał się, że gotówby pytanie swe poprzeć jakimś zbyt wymownym a bolesnym dla zamawiającego gestem, ale zwrócił się do Kolomana:

— Ale czyż taka dziwaczna poza jest w użyciu?

— Owszem — uspakajał go Koloman: — zagranicą malarze za portret tak dobrze rozwiniętej herkulesowej postaci zwykli płacić nawet. Dla mnie to będzie cennem studyum.

Majster Tseresnyes wstrząsnął tylko głową.

— Ale cóż u Boga Ojca zrobisz Sebastyanie z tak nieprzyzwoitym obrazem? Toćby ci go żona wyrzuciła z pokoju.

— Ja też go nie myślę wieszać w pokoju.

— Więc go ukryjesz na strychu?

— Ale gdzieżby tam na strychu! Nasz handel ma firmę „pod dzikim człowiekiem“, i potrzeba mi obrazu na szyld uliczny; niech mi świat podziwia!

Majster Tseresnyes poczuł jak na ten wyraz

potrójnego bezwstydu krew mu zawrzała w żyłach.

— Więc ty sobie wyobrażasz, że ten pan jest takim gryzmołą, co to maluje szyldy? Dziś niby maluje czerwonego lwa, jutro białego słonia, pojutrze zaś ciebie jako dzikiego człowieka? Podziękuj panu Bogu, że nie zabrał z sobą pociągła, bo zaraz bym cię nauczył co to mores. Wynos mi się coprędzej, i nie pokazuj więcej w moim domu!

Przejęty wielkim gniewem, pochwycił majster Tseresnyes obiema rękami za kołnierz gościa, i tak go wypchnął na podwórze. Ale ten śmiał się wciąż tylko i prosił: „Ależ dajcie mi przynajmniej, panie majstrze buty, po które tu przyszedłem“!

— I butów już odemnie nie dostaniesz; kiedyś dziki człowiek, to chodź sobie boso.

Mocno wzruszony powrócił majster Tseresnyes do Kolomana.

— A to dopiero ordynarny człowiek! I myśmy mogli z nim rozmawiać!

— Ale szkoda, żeś go pan wypędził, — ozwał się Koloman, — bo on byłby nam w dom przyniósł pieniądze, a co do roboty, przecież wszystko jedno jaka.

— Co? Artyście nie wolno schodzić poniżej pewnego stopnia.

— Ależ pan sam mówiłeś, że dopóty nie

z nas nie będzie, dopóki będziemy się wstydzili przypasać fartuch rzemieślniczy.

Majster Tseresnyes tak był przyciśnięty do muru tem przypomnieniem, że musiał na jaw wyprowadzić wszystkie skryte uczucia swego serca.

— To prawda, że tak mówiłem. Nie powinniśmy wstydzić się skórzanego fartucha i żadnej pracy uczciwej — my, wszyscy. Ale pan nie podpasz pod jedną z nami kategorię. Kiedy król Abdolonymus sam zmuszony był chodzić za pługiem, było to wstydem dla całego kraju. Jeśli pan się poniżasz, my poniżeni jesteśmy przez to, — my reszta, którzy cię czcimy i podziwiamy, i wolę pracować dziennie dwie godziny więcej, aniżeli słyszeć urągania zawistnych: „Patrzajcie! Wasz wielki człowiek maluje szyldy“! Nie, do tego nie dopuszczę; wiem o lepszem zajęciu dla pana. Mamy tu kupca obrazów i innych dzieł sztuki. Maluj pan krajobrazy! Znajomy mój kupi je z pewnością. Są przecież bogaci mieszczanie, którzy radzi zdobią swe ściany pejzażami; takie obrazy znajdują zbyt niewątpliwie.

Koloman dał się nakłonić szewcowi do malowania krajobrazów.

Wykonał dwa piękne płótna. Jedno wyobrażało rozsiadłą na płaszczyźnie węgierską pustę pod jasnym wesołym niebem. Żuraw u stu-

dni widniał w oddali, nizkie domeczki wznosiły się pośrodku, o okienkach zastawionych doniczkami kwiatów, w okienkach strychu wisiały pęki papryki, przed domem stał wózek wieśniaczy gotów do drogi. Ponad całym obrazkiem unosiło się błogosławione jakieś ciepło, takie czarodziejskie jak ciepło cichego letniego popołudnia na puście. Drugie malowidło miało za przedmiot również pustą, ale wśród nocy. Na drugim planie szarzał wiejski dworek; w jednym tylko okienku jeszcze, świeciła lampka; na klepisku odpoczywały trzy męskie postacie, u nóg ich pies się rozciągał; po tarczy księżycy płynęła czarna o srebrnym rąbku chmurka i załomy Cisy w oddali migotały odblaskiem księżycowego światła na mglistym widnokręgu.

Sam Koloman zadowolony był z tych utworów. Majster Tseresnyes powiedział, że są wspaniałe; przyszedł mu wszakże na myśl szewc Apellesa i nie dopowiedział swego zdania, nie dodał, że obrazy te mają błąd wielki: publiczność ich nie zrozumie i nie odczuje.

Mimo to jednak poniósł je, otuliwszy płaszczem do handlarza.

Jakże głęboko rozczarowany wrócił z nimi do domu!

— Terażniejsi ludzie nie znają się na podobnych obrazach, — mówił, odwijając ostrożnie oba malowidła z wielkiego sukna, w które były

zawinięte. — Głupi handlarz, rozśmiał się zobaczywszy te obrazy. Co to jest? spytał. Równina, na której niema nawet krzaczka? I to ma być pejzażem? Kiedy kto chce namalować krajobraz, musi na nim umieścić skałę, drzewa z zielonymi, żółtymi i czerwonymi liśćmi, wodospady, w których się kąpią nagie nimfy, na szczycie góry jakiś starożytny zamek, a na wieży zamku zegar ażeby można było tam umieścić zegar rzeczywisty, który chodzi i gra jakąś melodyę. Na taki obraz łatwo znajdzie się nabywca. Gdy kto chce malować pejzaż noony, to nie powinien szczędzić efektu; księżyc niech świeci uocziwie, niech chmury przeryniają błyskawice, w oddali powinien być dom płonący, a przy blasku płomieni jakaś mordercza bójka. Taki obraz, być może, kupią. Jeżeli wszakże chcesz pan dostać pracę opłacającą się zaraz, to handlarz ma wszelkiego rodzaju cudackie bohomy, jak twierdzi, holenderskiej szkoły, rozmaite Magdaleny w wielkich holenderskich czepcach i Piłaty w długich sukniach i kryżach. Takie rzeczy każe sobie kupiec kopiować, ale wymaga, żeby o tem żywa dusza nie wiedziała, obrazy te bowiem zawieszają w kominie u rzeźnika, a gdy zczernieją nalezycie sprzedaje węgierskim magnatom jako antyki... Taką robotę możesz pandostać natychmiast.

Koloman rzucił swój pędzel na ziemię i ozwał się do majstra Tseresnyes.

— Panie, czy nie mógłbym jeszcze wyuczyć się szewctwa? Zostanę u pana terminatorem.

Majster Tseresnyes wstrząsnął na to bardzo poważnie głową. Nie podobało mu się, że jego rzemiosło uważają za ostateczną ucieczkę. To przecież ładna umiejętność dla tego, kto ją właściwie pojmuje.

— Pozostańmy każdy przy swoim rzemiośle. Czego dziś niema, jutro być może... I na to kiedyś czas przyjdzie. Co do szewctwa, nie trzeba będzie długo czekać. Niebawem będzie jarmark w Szolnoku, pięćdziesiąt par wisi gotowych w komorze, z temi pojedę na jarmark, a wtedy będziemy mieć dosyć pieniędzy. A kiedy ja mam to i pan ma... Zwrócisz mi pan pieniądze, gdy będę w wielkiej potrzebie. Jednego razu szewc dopomoże artyście do wybrnięcia z błota, innym razem z kolei artysta podźwignie szewca. Czy to nie będzie wyśmienicie?

Koloman uściskał namuloną dłoń gospodarza, podjął z ziemi pędzel i zabrał się do szkicowania pejzażu z zegarem, którego myśl podsuwał mu handlarz. Malując mógł spokojnie układać w głowie opowiadanie, które w nocy wyleje na papier dla swego pisma.

Pismo to wszakże żadną miarą wypłynąć nie chciało. Chwalili je każdy. Były tam rzeczy prawdziwie wspaniałe, odblaski wielkich idei, uznawano też to wszystko, lecz nie prenumero-

wano pisma. Współpracownicy, którzy wkładali w nie tyle talentu, tyle nauki, tyle śmiałych podniet i pomysłów, pracowali co do jednego za darmo, z uszczerbkiem godzin poświęconych pracy na chleb powszedni, lub spoczynek nocny. Nowy kwartał zbliżał się do końca a na horyzoncie na nowo piętrzył się groźny deficyt, jak na owe czasy, olbrzymi — stu kilkudziesięciu guldenów.

Skąd to wziąć? Kolomanowi płonęła głowa, kiedy o tem pomyślał.

— Nie chmurz pan tak czoła, jarmark szolnokski za pasem, wszystko będzie dobrze.

W tem na trzy dni przed szolnokskim jarmarkiem przytrafił się wypadek. Majster Tseresnyes gdy podawał starej służącej pozawieszane w komorze buty ażeby je z wypróbowaną zręcznością upakowała w wielkiej drewnianej skrzyni, upadł z ohwiejnego krzeselka i wywichnął nogę w kostce. Przywołany felczer nastawił wprawdzie nogę, lecz ostrzegał, że niebezpieczeństwo nie minęło, że z tydzień przynajmniej trzeba poleżeć w łóżku.

— Żegnaj mi więc jarmarku szolnokski — westchnął majster Tseresnyes ze stoickim spokojem.

Jeden oios zburzył od razu wszystkie rachuby ludzkie...

Na cóż mu teraz zdadzą się wszystkie te buty w komorze, kiedy z nimi nie może jechać na jarmark? W Peszcie chodzą wszyscy w kamazkach; nikt nie kupi butów śpiczasto zakończonych z pofałdowanymi cholewami i grubymi podeszwami, a innemu nie można powierzyć drogiego towaru. I jarmark szolnokski minął rzeczywiście a buty majstra Tseresnyes nie figurowały na nim...

Było to fatalne zdarzenie, a tuż przybywało więcej: jednego dnia stara służąca oznajmiła, że ostatni czeladnik zażądał swej wędrownej książeczki, wikt bowiem zdał mu się być za skąpym; następnego dnia oznajmiła znów, że pan Jenöi po obiedzie nie chciał pić kawy czarnej powiadając, że mu to szkodzi na piersi. A przecież wiadomo, że jedynie kawa czarna trzyma go jako tako na nogach, bo je tak mało, iż tego nawet jedzeniem nazwać nie można.

Ta wiadomość do reszty zatruła humor majstrowi Tseresnyes'owi. Mruczał gwałtownie, ale nic nie mówił.

— A przecież dziś jeszcze — mówiła stara sługa, — widziałam na ulicy pana Beniego, tego z wielką głową, jak parą prześlicznych siwków jabłkowatych jechał do miejskiego parku.

Tu już uniósł się majster Tseresnyes.

— Mogłaś sobie widzieć Beniego, ale niepotrzeba, abys do tego dodawała: „a przecież“.

Bo to jest spójnik, a konie pana Beniego z czarną kawą pana Kolomana nie mają żadnej łączności. Otwórz więc szafę, wyjmij stamtąd dolman z srebrnymi guzami i zanieś go do lombardu; jak wstanę to go wykupię. A pan Koloman niech ma zawsze po obiedzie czarną kawę, bo mu to potrzebne do zdrowia.

Służąca wyjęła odświętny dolman ze srebrnymi guzami, wyniosła go jednemi drzwiami, ale przyniosła zaraz drugimi. Jakże bo mogłaby go zanieść do lombardu! Miała trochę własnego zaoszczędzonego grosza i wyciągała potrochu, tak, aby ani pan, ani gość jego nie dostrzegli niedostatku w domu.

Gospodarz też nie widział niczego, ale poci to ludzie podejrzliwi, jasnowidzący, chiromanci. Koloman tedy powiedział sobie pewnego ranka: „Pójdę i wymaluję ów szyld sklepowy“.

Chodź wiedział, że majster Tseresnyes strasznie tem się zgryzie, poszedł na poszukiwanie dzikiego człowieka. Boć to byłoby dziwnem, niesłychanem ze strony artysty, skoro już raz się zdecydował na tak demokratyczny sposób życia, aby był jeszcze wybredny w wyborze przedmiotów do obrazu, kiedy mu za to ofiarują pięćdziesiąt guldenów!

Szukajmyż tedy owej wyspy Fidzi.

Ach! ale poszukiwania na nic: dowiedział się bowiem, że kiedy on się wahał, inny szczę-

śliwszy Magellan odkrył już wyspę Fidzi i przed handlem korzennym Sebastjana straszyl przechodniów taki olbrzym, jaskrawo malowany dziki człowiek, jaki się tylko pomieścić zdołał na półtora sążniowem płótnie zamazanem farbą najmniej za pięć guldenów. Wprawdzie wielkie palce u obu nóg dzikiego człowieka zwrócone są na zewnątrz, nie zaś na wewnątrz jak u innych śmiertelników, ale to właśnie jest ozdobą u dzikiego człowieka!

Tym sposobem ostatnia nadzieja Kolomana spełzła na niczem. Smutny zawrócił ku domowi. Że też nawet tak malowany dziki człowiek może przygnębić białego człowieka!

Kiedy tak, włożywszy obie ręce w puste kieszenie, włókł się ulicą, począł czuć teraz Koloman, czem to jest człowiek, który jest niczem tylko szubrawcem i wyrzutkiem, który niema nic własnego prócz tych sprzętów, co na nim, który przecież pod tymi strzępami, ma w duszy skarby, który czuje, że geniusz w nim przebywa, że w mózgu ma całe pokłady wiedzy, a w palcach twórczość sztuki, który jednak bądź co bądź jest tylko obdartusem, tylko szubrawcem!...

Skarbów owych, geniuszu, uczoności, sztuki nikt nie widzi, a każdy widzi tylko to co na zewnątrz — łachmany.

.

Jak gdyby czuł nad czem Koloman łamie głowę, niecierpliwił się majster Tseresnyes na łóżku.

— Wstanę — mruknął rozdrażniony. — Nie wytrzymam dłużej. Nodze mojej nic już się nie stanie. Zresztą będę chodził o krukwi.

I nie dał sobie wyperswadować, wywlókł się z ciasnej alkowy, aby zobaczyć co się dzieje w warsztacie.

To, co tam zobaczył przejęło go smutkiem. Czeladnicy rozeszli się na różne strony, kiedy on był chorym; jeden pozostał tylko terminator. No, mniejsza o to, ci powrócą, — pocieszał się majster. Ale i drzwi warsztatu były zamknięte; nie przychodzili kupujący!

— Cóż znowu? Nie przychodzą! Ot teraz właśnie ktoś się dobija do drzwi. Otwórz-no chłopcze. To pewnie jakiś psotny ulicznik, co z figłów wali do drzwi, i nim się wyjdzie otworzyć, ucieknie.

Ale to nie był ulicznik wcale, tylko pan Mateusz Toth we własnej osobie, który wszedł do warsztatu, zdejmując zakurzony kapelusz z ociekłego potem czoła.

— Dzień dobry, panie majstrze — zawołał ze zwykłym sobie wesołym humorem wieśniak, — nie byłeś pan w Szolnoku na jarmarku?

— Oczywiście nie; jak raz na tę porę wy-

wichnąłem sobie tę przeklętą nogę. Wolalbym ją lepiej złamać, ale w tydzień później.

— Ale teraz już wszystko dobrze, nie prawdaż? Możesz pan już chodzić? A i but możesz już włożyć?

— To wszystko co widzisz, mogę obuwać, i to pięćdziesiąt par od razu, bo mi wszystkie zostały na karku, dzięki temu, że nie mogłem zawieść na jarmark szolnocki.

— To się doskonale układa. Ja właśnie po to przyjechałem do pana majstra! Skoro pan nie przywiózł nam butów, pomyślałem sobie, to przyjdę ja po nie i zabiorę sobie; zabiorę więc panu wszystkie, bo mi potrzebne dla czeladzi.

— Co? — zawołał zadziwiony majster Tseresnys, — i pan od nikogo innego nie kupiłeś butów, nie zastawszy mnie na szolnockim jarmarku?

— Jakże mógłbym kupić od innego, kiedy od lat trzydziestu chodzę w pańskich butach ja i cała moja czeladź! Toćby mnie każdy z parobków przeklął w żywe kamienie, gdyby miał nosić nie majstra Tseresnysa skórę, ja zaś w innych butach okulałbym bezwarunkowo. To ci nie każdy tak do nóg utrafi! Umiejętność to i do tego niemała! Żeby but leżał jak ulany na nodze i żebyś mógł w nim chodzić dzień cały ani go czując nawet, ho! ho! nie każdy tak zrobić potrafi! Powiadają but butowi równy! Dya-

bla tam but równy butowi! Dla mnie nie jest butem taki but, który codzień muszę wbijać na prawidła; to mnie ciśnie w pięcie, to znowu gwoździe przebijają podeszwę, to skrzywi się obcas, to podeszwa odstanie, że się w tem chodzi jak kot w łupinie od orzecha. Ledwo zamoknie, już szew się rozłazi, a kto chce nie schodzić podeszew, musi je chyba na kijku nosić na ramieniu. Taki but u mnie nie jest butem i szewc, który takie klepie obuwie, byłby lepiej zrobił, gdyby się poświęcił za młodu stanowi duchownemu i został sobie kanonikiem. Dlatego to, gdybym nawet mieszkał w Ameryce, i tam jeszcze kazałbym przysyłać sobie buty majstra Tseresnyes'a, bo to są prawdziwe buty.

Ta butograficzna prelekcyja nadzwyczaj podniosła ducha majstra Tseresnyes'a. Wszystko to święta prawda! Prócz tego pan Toth motywował przybycie swe do Pesztu tem, że musiał tu odstawić tak coś ze trzysta cetnarów wełny kupcowi, za które wziął teraz pieniądze; ale to już powód mniejszej wagi — głównym pozostaną zawsze buty.

Majster Tseresnyes wyjął potem klucz od komory i pokukał do drzwi... Jakże też kukał okropnie! Ale zapomniał o wszystkim: toć nodze nie już nie będzie! Ten golarz zadrwił sobie z niego po prostu.

Pan Toth przywołał z ulicy woźnicę, żeby wyniosione z komory buty na wóz włożył. A kiedy go szewc poprosił na kieliszek nalewki do paradnego pokoju, chętnie na to przyzwolił. Tam też zaraz porachunek się załatwi.

Majster Tseresnyes objaśnił, że pokój ten oddany jest pewnemu młodemu panu; teraz wszakże niema go w domu, wejść zatem można; a zresztą to bardzo dobry człowiek.

Kiedy pan Toth wszedł do paradnego pokoju i spostrzegł tam dwa zawieszzone krajobrazy, zdziwiony wskazał na jeden z nich palcem:

— Do licha! toć to mój dom!...

— To miałby być pański dom, panie Toth?

— Oczywiście, i te konie, to moje konie, a ten chłopak tam na wozie, to mój malec. Przypatrzmyż się teraz drugiemu obrazowi.

— Ale tych ludzi co tu śpią na klepisku, nie poznasz pan przecież?

— A jeślibym ich poznał? A któż to malował te obrazy?

— Mój lokator. Daremnie wymienilibym panu jego nazwisko. Nie znasz go, panie Toht...

Mateusz przymrużył przebiegle jedno oko...

— Ano, to dobrze, nie znam go... A w jakimż celu malowane były te obrazy?

— Po to tylko, by je sprzedać, jeśli kto na być zechce.

— To znaczy, że i ja równie dobrze mógł-

bym je kupić jak każdy inny? Ale patrzcież — nawet pstra kotka siedzi przed domem!

— Z pewnością możesz kupić panie Toth, jeśli zechcesz zapłacić cenę naznaczoną.

— A jakaż to cena?

— Nabyć je można za sto guldenów.

— To wcale nie dużo. Chętnie dam za nie sto guldenów. Aj, aj! jak się to moja stara ucieszy!

Majster Tseresnyes nie chciał własnym oczom wierzyć. Nigdy nie widział, aby Mateusz Toth wydał bodaj grosz jeden na coś niepotrzebnego, a dziś sto guldenów za dwa obrazy nie wydaje mu się za wiele.

Nie sto wszakże, ale dwieście guldenów wyjął pan Toth ze swej sakwy.

— Ja sto tylko powiedziałem. — wzdragał się majster.

— No tak; za jeden sto, za dwa dwieście; a ja zabieram obadwa, to jest, jeśli są do sprzedania. Malarza wprawdzie nie znam, ale mój dom poznaję. Oto są pieniądze, oba obrazy do mnie należą.

Majster Tseresnyes przekonał się, że to nie żarty.

— Teraz wszakże musisz się pan już zapoznać z malarzem. Zostań pan umnie na obiad, bo malarz regularnie na obiad przychodzi do domu.

Pan Toth nie dał się prosić dłużej; gotów

był pozostać; zresztą w jednym z nabytych obrazów jest błąd, na który musi zwrócić malarzowi uwagę, a jeśli można, to i zażądać poprawek.

— Patrzcie, to mi szewc Apellesa! -- pomyślał sobie majster Tseresnyes.

— Cóż to za błąd miałby być w tym obrazie?

— Pan tego nie zrozumiesz, panie majstrze, — odrzekł Toth z tajemniczym uśmiechem, — bo pan tylko jesteś szewcem. Ale malarz to rozumie. Błąd jest ten, że na obrazie drzwi mego domu są zamknięte. Otóż ja chciałbym powiedzieć malarzowi: *drzwi tego domu nigdy nie są zamknięte...* Malarz to już rozumie.

Majster Tseresnyes poprosił więc gościa, aby zajął miejsce w oczekiwaniu przybycia malarza. Aby skrócić czas i przyjemniej oczekiwać na obiad, kazał pan Toth przynieść z wozu torbę podróżną i beczułkę drewnianą. W torbie była szynka i chleb biały, w drewnianym zaś naczyniu było czerwone wino. Nieźle to tem zaspokoić nieco głód przed obiadem. Obadwaj też dzielnie zabrali się do roboty.

Tymczasem pan Toth podziwiał z kolei wszystko co ujrzał w pokoju: stalugi, paletę, pendzle z długimi trzonkami, farby. Nagle wzrok jego spoczął na wielkiej pace druków, które wysokim stosem zalegały jeden kąt pokoju.

— A to co takiego ta kupa papieru?

— A! bo to mój lokator nie tylko jest malarzem, ale i autorem. Wydaje pismo, którego więcej kazał drukować niż mógł sprzedać, i tym sposobem reszta tu pozostała.

— A cóż się z tem stanie?

— Może to zakupi jaki handlujący serem lub pieprzem na funty.

— I cóż to tam takiego było w tych zeszytach?

Majster Tseresnyes pochwycił radośnie sposobność, którą mu nastręczało pytanie gościa; wyjął jeden z zeszytów, włożył okulary, i począł panu Tothowi odczytywać to jedno, to drugie.

Panu Tothowi wszystko się ogromnie podobało. Rad był, że słyszał wiersze, które każdy może zrozumieć, a proza była tak piękna jak wiersze. Ileż to tam nowych rzeczy! ile zdań pouczających! Człowiek słuchałby tego całymi dniami.

Ale i majster Tseresnyes gotów był dodaj dzień cały czytać a czytać...

I bez tego czas obiadu już minął, a Koloman nie powracał do domu. Ani gospodarz zaś, ani gość, ani kucharka za nic w świecie nie dopuściliby, aby przed jego przyjściem podano na stół zupę. Trzeba z jedzeniem czekać na niego,

choćby nawet na nic się popsuć miały wszystkie potrawy.

A czas leciał po swojemu jak strzała. To gospodarz ukroił sobie kawał szynki, to znowu gość z kolei uczynił to samo. Kiedy jeden zeszyt, był skończony, majster brał drugi do ręki i czytał. Pana Totha rozgrzewały coraz bardziej te utwory w wiązanej i niewiązanej mowie.

Nakoniec szynka i chleb były już na schyłku, baryłka oschła po winie, i z tego faktu dopiero zmiarkowano, że zmrok poczyna zapadać. Gospodarz i gość syci byli obładwaj jakkolwiek nie podawano obiadu.

Teraz dopiero pan Mateusz Toth pomyślał o odwrocie.

— Dłużej nie mogę już czekać na pańskiego lokatora; niezawodnie gdzieś został na obiedzie. Ja dziś jeszcze muszę odjechać. Ale powiem panu coś: ile też kosztuje taki zeszyt?

— Cztery guldeny!

— Tylko? No to ja kupię cały ten stos papierów. Będziemy liczyli zeszyt po cztery guldeny i zabiorę z sobą wszystko do domu. Śliczne tu są rzeczy.

— Tak! ale cóż pan zrobisz z czterdziestu egzemplarzami pisma, w którym czterdzieści razy powtórzono jedno i to samo?

— O to niech pana głowa nie boli! Chłop ma własny olej w głowie. Wiesz co, majstrze?

mój dom leży tuż przy trakcie i staje w nim do stu różnych przejezdnych państwa w ciągu roku, którzy tak sobie w nim się zakwaterowują, jakby to była, nieprzyrównywając, karczma. Kiedy więc takiego gościa podejmę serdecznie, naówczas jest wdzięczny za doznaną gościnność i rad był dowiedzieć się co mi winien. Zwykle odpowiadam krótko: „Nie“. Podejmowaliśmy tylko z prostej węgierskiej gościnności. Na przyszłość zatem każdemu kto u mnie znajdzie chwilowe schronienie, gdy mię zapyta co winien? wcisnę taki zeszyt w rękę. Masz tu panie coś ciekawego, zapłać za to cztery guldenty, i jedź z Bogiem. Ja to wszystko sprzedam co do jednego, aż do ostatniego zeszytu, który zatrzymam dla siebie. Córka będzie mi z tego czytywała wieczorami.

Majster Tseresnyes nie miał nic do nadmienienia przeciw tak praktycznemu sposobowi pozyskiwania prenumeratorów; więc też przyjął od pana Mateusza z czystym sumieniem zapłatę za wszystkie pozostałe egzemplarze i całą pakę kazał mu zanieść na brykę. Pomyślał sobie tylko: „Teraz już doprawdy chyba koniec świata bliżki. Nigdy pan Mateusz Toth nie wyrzucił złotych na coś drukowanego, prócz chyba na kalendarzyk za pięć groszy, a teraz kupuje całą furę papierów.

Koloman wciąż jeszcze nie wracał do domu.

Pan Mateusz powrócił raz jeszcze do majstra.

— Proszę was, panie majstrze, nie zapomnieć powiedzieć malarzowi, że w jednym z tych obrazów jest niedokładność. Drzwi mego domu są otwarte! Ale czekaj pan! powiem panu coś jeszcze innego. Wełnę sprzedałem o sześćset guldenów drożej niż mi kazała żona. Te pieniądze zostawię tutaj, a za nie zamówię sobie u tego malarza obraz. Wprawdzie nie wiem kto on jest, ani domyślam się nawet tego, ale taki człowiek musi być okrutnie domyślny i mądry o! mądry! — umie odgadnąć wszystko. A więc niech mi wasz malarz za te sześćset guldenów wymaluje wnętrze mojego domu, kiedy wszyscy siedzimy w pokoju u stołu: moja żona i ja, i mój syn dorosły, i moja dorosła córka, i mój mały chłopak, i moja małeńka córeczka. Potem niechaj wasz malarz wymaluje i siebie z nami przy stole; już mnie pan rozumiesz. To ci będzie obraz zdumiewający! A więc powiedz mu pan tylko, a on zrozumie o co mi chodzi.

Pocziwemu majstrowiaż pociemniało w oczach od tylu naraz pieniędzy, które mu włożono w rękę i od tylu zleceń, które mu pamiętać kazano. Nie, to pewno, że koniec świata bliski! kometa przyjdzie niezawodnie. Z opasłego chłopca robi się mecenas literatury i sztuki, a ten, który

we śnie nawet nie zamarzył o literach i obrazach, uwalnia Kolomana od wszystkich kłopotów.

Tak to zrządził Bóg Wszechmogący, bo niezbadane a cudowne są drogi jego!

Żebyż tylko pan Jenöi raz powrócił.

Obiad spóźniony popsuł się do szczętu; kucharka naderemnie raz po raz wybiega przed drzwi kuchni, by wyjrzyć czy Koloman nie nadchodzi — a jego jak niema, tak niema.

On błąka się po pustyni. Jakaż pustynią bez granic jest wielkie miasto dla człowieka niemającego dachu nad głową!

Przechodzi ulice. Wszystkie także są puste! pełne ludzi, ale ci go albo nigdy nie znali, albo już nie znają.

Mija pałac, gdzie mieszkało niegdyś piękne dziewczę z obliczem madonny; może i teraz zamieszkuje go jeszcze; z okien płyną dźwięki fortepianu; może to ona przygrywa. Jakaż pustynią dziś to wszystko jest dla niego.

Przechodzi obok domu modnej piękności, do której niegdyś ciągnęło go bijące serce; z okien wychylają się rozkwitające kwiaty. Jakaż tu pustynia!

Przemyka się przed domem, w którym niegdyś był wielkim panem, dawał świetne wieczory, a którego brama teraz zamknięta i zapuszczone

u okien franki; tu mieszka jego babka. Jakaż tu pustynia!

Mija kawiarnie, gdzie niegdyś młodzież o krwi gorącej, pełna ognia miłości słuchała natchnionych mów jego. Nowa generacya dziś je zapelnia, generacya, która chyli przed magnatami giętkie karki. Jakaż tu pustynia!

Mija wspaniałe teatr, który niedys był świadkiem jego tryumfów, na którego bocznej ścianie dziś jeszcze porwany w strzępy kawałek węgierskiego afisza żółknie, pokryty już nowymi. Jakaż tu pustynia!

Przechadza się bezmyślnie nad brzegiem Dunaju i spogląda ku Budzie, gdzie niegdyś najwyższy pan z panów tego kraju przyjmował go u siebie. Jakaż tu pustynia!

I w pośród tej pustyni on błąka się sam jeden, sam „jedynie obcy“, poeta węgierski, artysta węgierski...

Późny wieczór zapędza go wreszcie napowrót w ciasną uliczkę, gdzie znalazł ciasne mieszkanie. Nie myśli o tem czy to pora obiadowa, czy już po obiedzie; ciemność tylko mówi mu, że już wieczór.

Drzwi od ulicy już zamknięte jak zazwyczaj, a tylko drzwi warsztatu stoją jeszcze otworem i przez nie wydobywa się wążki pasek światła.

Koloman ukradkiem podszedł do drzwi, jak ten, który już wie o sobie, że jest tylko sz ubrawcem

Podgląda i słucha.

Na środku warsztatu przy stole, siedzi szewc, mecenas poety; przed nim wszakże leży nie robota, ale książka z pieniami religijnymi.

W cichy wieczoru szewc śpiewa, z twarzą rozpromienioną w modlitwie:

„Wielbię i sławię Pana! albowiem wysłuchał modłów moich. Niech mu cześć i chwała będzie po wszystkie wieki“!

SPRAWY KORTEZÓW I NIESZCZĘSCIA DOMOWE.

Nikt u nas się nie zadziwi, że dwie tak różnej natury rzeczy pomieściliśmy w jednym wierszu. Zwłaszcza w dawniejszych czasach, obie te rzeczy bardzo często plątały się z sobą.

W komitacie **skim, którego nadzupanem był hrabia Decsery, jak tylko sięgnąć pamięcią, nigdy nie było żadnego stronnictwa zachowawczego. A ponieważ wysokim stanom nikt nigdy nie stawiał opozycji, więc skutkiem tego posiedzenia ich odbywały się wielce spokojnie, obrady były wielce rozważne a uchwały w najprzystojnym tonie redagowane. Nadzupan — solo — był w kongregacji stronnictwem rządu; wszakże jako prezydujący, nie mógł staczać bójek z całą kongregacją; ilekroć zaś pokusił się o protest w najwytworniejszych okresach, zawsze tylko niezmierna wesołość bywała skutkiem jego wystąpień. Zresztą był to zawsze bardzo poczciwy nadzupan...

Naraz przecież w wiedeńskiej kancelaryi nadwornej zapadło postanowienie, że w każdym komitacie musi być utworzone stronnictwo rządowe zachowawcze; od tego zaś są nadżupani, żeby wykonywali co napiszą z Wiednia.

Hrabia Decsery otrzymał takiż sam nakaz jak inni, i niemało nałamał sobie nad nim głowy. Skąd tu wziąć w komitacie ^{***}skim stronnictwo zachowawcze? Gdybyż mu choć byli przysłali na ten specymen nasienia!.. Jeśli zaś nie uczyni tego, grożą komitatowi królewskim komisarzem. Piękne rzeczy!

Potężnym sprzymierzeńcem w tej sprawie mógłby mu być zięć jego Balvandy, na którego liczył jak na cztery tuzy, kiedy mu oddawał córkę, ale dzięki paryzkim przygodom stało się właśnie coś wprost przeciwnego owym obliczeniom. Że bogaci nababowie rodziny Decserych wahali się tak długo z wykupieniem zięcia z więzienia za długi, aż ten zwrócić się musiał do pięknej prześladowczyni i od niej dopiero uzyskać swobodę, z faktu tego wynikły dwie przykrości: nieszczęście domowe i zatarg polityczny.

Nieszczęście domowe jeszczeby jakoś znieść się dało, to mianowicie nieszczęście, że Balvandy od swego wyzwolenia wyraz swojej wdzięczności względem pani Csollan posuwał może zbyt daleko, że pośpieszył zwrócić jej nietylko pieniądze, ale załatwić inne nie pieniężnej już tylko

natury długi i że daleko usilniej starał się o to, aby piękna słomiana wdówka prędzej niż własna żona jego zapomniała Kolomana. Wprawdzie wielkie to nieszczęście dla hrabiny Doroty, ale koniec końców zawsze to tylko prywatne nieszczęście. Daleko większą szkodą jest to, że z powodu owego zaniedbania, baron, taki gniew powziął do całej rodziny Decserych, że od swego przyjazdu nie odwiedził nawet ani dziadka, ani babki żony; z nadżupanem zaś spotykał się zazwyczaj tylko na komitatowych zebraniach, a i tam na to tylko, aby być „młotem“ pana hrabiego

„Młot“ zaś u zielonego stołu obrad jest tytułem takiego potężnego, wysoko postawionego albo dowcipnego, albo też wyjątkowo gburowatego mówcy, który bierze sobie za zadanie inną, równie ukwalifikowaną znakomitość zbijać krok za krokiem, a który, skoro tylko przeciwnik jego utworzy usta, natychmiast po nim zapisuje się do głosu, a potem śpieszy „szanownego poprzednika“ zaplązować na śmierć wszystkimi środkami retoryki. Stąd ta nazwa „młota“.

Na takiego zaś Balvandy trojakię miał kwalifikacye: był bowiem wysoko postawionym wśród panów, był dowcipnym i był grubianinem.

Tego wszystkiego nadżupan wcale nie lubił. Raz po skończonem posiedzeniu powiedział nawet do zięcia, że nie przystoi, aby bliźcy krewni obchodzili się z sobą w tak okrutny spo-

sób, Balvandy na to oświadczył: że w polityce nie zna nawet rodzzonego brata...

Ale stronnictwo zachowawcze musiało być bądź co bądź utworzone w komitacie **skim.

Skoro ogół jest z tego zadowolony, że wszystko „jest jak bywało“, toć łatwo będzie utworzyć takie stronnictwo! Toż była pod ręką cała wiązka prałatów, kilku oficyalistów magnackich, bywali i notaryusze, żyjący ze swemi gminami w niezgodzie, cała sfera polującej na urzędy młodzieży, dotknięta próżność może dostarczyć pewnego kontyngensu, a nakoniec zrekrutować ich można trochę z innych komitatów z pośród przyjaciół, którzy i w tym komitacie mają dobra; niechaj i oni u zielonego stołu spełniają swą powinność. Z takich to żywiołów sformuje się koniec końców jeśli już nie zastęp, to przynajmniej falanga, która znajdzie przyjemność w nadstawianiu grzbietu na wszystkie słowne ciosy całego komitatu.

Manipulacya ta była przyczyną, że między innymi i pan Benjamin Jenöi otrzymał upomnienie: iż nie dla tego najwyższe władze zezwoliły na oddanie mu ordynacyi, aby u siebie w domu pielęgnował własne nagniotki, ale na to, aby skoro tego zachodzi potrzeba, we właściwym czasie pojawiał się w komitacie **skim i dopomagał pomnożyć swą cenną osobą stronnictwo rozsądne. Czyniąc temu wezwaniu zadość, prze-

niósł on się w towarzystwie mamy do dóbr Iva-
nes, skąd pilnie uczęszczał do stolicy komitatu
i na narady stronnictwa. Niemaló wzbijało go
też to w dumę, że wreszcie trafił na ludzi, któ-
rzy i jego pyteją o radę i uznają za coś rozu-
mnego to, co on mówi.

W ten sposób utworzona partya potrzebowała
jakiejś świetnej manifestacyi, któraby istnienie
jej ujawniło się wobec całego świata, a do ta-
kiej właśnie nadarzała się wyborna sposobność.

Sąsiednia kraju prowincya miała podówczas
niezbyt popularnego książęcego namiestnika,
któremu powierzono misję objeżdżania komita-
tów węgierskich w towarzystwie nadzupanów
i przyjmowania na cześć przybycia namiestnika
przysposobionych dla niego owacyj, słowem inau-
gurowania nowego systemu politycznego.

Tryumfalną tę podróż rozpocząć miał właśnie
od komitatu **skiego. Książę miał przybyć z nad-
zupanem, a na granicy komitatu musiała go przy-
jąć deputacya stronnictwa umiarkowanego.

Deputacya byłaby, ale chodzi o to, kto się
zechce podjąć przyjęcia?

Wprawdzie stronnictwo liczy wśród swoich
biskupa, który jest wielkim mówcą, ten mógłby
przyjąć jego excellencyą, o ile to naturalnie do-
tyczy przemówienia; ponieważ zaś pod wyrazem
przyjęcie rozumiemy nietylko piękne retoryczne
przenośnie, ale zarazem i wspaniałe ugoszczenie

całego towarzystwa, pospołu z całą świtą, to zaś kosztowałyby ze dwa tysiące guldenów, i ponieważ w owych już czasach biskupi wiedzieli, że dwa tysiące guldenów jest darem bożym, który wyrzucać za okno byłoby śmiertelnym grzechem, przeto odznaczony zaufaniem stronnictwa mówca zrzekł się tego zaszczytu pod pozorem, że cierpi na uderzenie krwi do głowy, nie pozwalające mu mieć dłuższej mowy. I inny z panów nie miał wprawdzie kongestyj do głowy, ale, szczerze mówiąc, nie miał odpowiedniego lokalu na pomieszczenie tylu dostojnych gości. Trzeci wprawdzie w tym kierunku zaopatrzony był dobrze, ten przecież tak się wszelkich mów lęka, że raczej wolalby opuścić komitet, niż zdecydować się na przemówkę. I póty każdy zrzekał się zaszczytu przyjęcia ekszelleneyi, aż w końcu przyszło komuś na myśl zawołać: „Ależ toó mamy przecie kuzynka Beniego!“ W samej rzeczy, toó tu jest kuzynek Beni! — zawołało wówczas jednogłośnie całe zgromadzenie; lepszego nadeń mieć byśmy nie mogli.

Kuzynek Beni śmiał się tylko z początku; potem jednak począł nadymać się na myśl, że on ma być przywódcą korporacyi, złożonej z tak dostojnych mężów. Cokolwieczek wzdragał się i pozwolił prosić, ale ostatecznie zgodził się na przyjęcie odznaczenia.

Dopiero kiedy w drodze do domu, nadzwyczaj-

czaj dumny zaszczytem, którego nikt przyjąć nie chciał, pochwalił się nim przed Andraszem, uliberyowanym służącym swoim, wtedy dopiero stary służący oświecił go, że ten zaszczyt kosztować będzie strasznie dużo pieniędzy; trzeba będzie całą czeredę gości, panów, służby, stan-gretów podejmować hojnie; a cóż dopiero długa łacińska mowa!...

Oba te zadania znacznie ochłodziły radość kuzynka Beniego. A, to przekłęcie, nie powinien był przyjmować tego zaszczytu, dopóki by nie spytał mamy co na to powie? Bo cóż, jeżeli teraz mama oświadczy, że całemu temu zastępowi nie jeść nie da?... Byłaby to szkaradna historia!

Kuzynek Beni nie odważyłby się sam nigdy wyznać całej sprawy kochanej mamie, gdyby nie to, że poczciwy, dobroduszny Andrasz od razu wytoczył ją na stół i oznajmił, jaki to zaszczyt spotkał dom Benich.

Ordynat czekał z bijącym sercem, oświadczenia mamy...

No, cóż miała powiedzieć? Nie posiadała się z radości, że nareszcie i kochaną jej latorośl spotyka zaszczyt tak wielki. Natychmiast postanowiła orszak książęcy ugościć po książęcemu. Niech kosztuje co chce... Dla kuzynka Beniego zamówiono w Peszcie świeży strój galowy, który miał wyjść z pod klasycznych nożyc Klaszy'ego, a przytem kutą srebrem uprząż dla jego rumaka.

O biada! I do tego jeszcze przyszło! Kuzynek Beni ma księcia powitać na koniu, on, który nigdy w życiu nie siedział na końskim grzbiecie!

A nareszcie łacińska mowa! Wprawdzie napisał mu ją pastor miejscowy a kuzynek Beni uczył się jej dniem i nocą i bywały chwile, w których wierzył w to święcie, że już ją umie na pamięć; ale mimo to wszystko, kiedy mu z rana w dzień uroczysty podano złotem haftowany dolman i buty ze złotymi ostrogami, kiedy go na przystrojonego konia podsadzono i kiedy towarzyszący mu hajduk przypominał, że mowa jego poczyna się od słów „*excelsissime princeps*“, wtedy już kuzynek Beni nie wiedział co go właściwie tak ciśnie, czy wspaniały but, czy koń, czy ta mowa łacińska i miał jakieś dziwnie wyraźne przeczuć, że coś go z tego wyniosłego stanowiska zrzuci koniecznie albo koń, albo mowa, albo księżę...

Koniec końców wszakże takie niebezpieczeństwo nigdy nie kończy się tak strasznie, jak to sobie człowiek wyobraża. Kuzynek Beni znakomicie reprezentował powierzoną mu rolę; podjechał do powozu księcia; a kiedy spostrzegł jadącego i przekonał się, że to nie jest taki księżę, jakiego nawykł był widzieć w sztuce: „Angelo, tyran Padwy“, ale zwyczajny sobie Niemiec z długą twarzą, w płaszczyku od kurzu z krótką pelerynką, tak się tem zmieszał, że z całej ła-

oińskiej mowy ani jedno słowo nie przyszło mu na myśl... Daremnie suflerował mu z tyłu Andrasz: „*Excellissime princeps!*“ On w miejsce tego wystąpił z następującem praktycznem powitaniem:

— Kochana moja mama kazała mi pięknie się pokłonić, i bardzo jej będzie przyjemnie, jeżeli ujrzy pana w swoim domu na skromnej kolacyjce...

Książę śmiał się serdecznie, banderya pokryła całą sprawę olbrzymim wiwatem, siedzący obok księcia nadżupan, gniewny dał znak stangretowi, żeby ruszył, i powóz, banderya, wszystko ruszyło w kierunku dworu Jenöich. Kuzynka Beniego uniósł także jego rumak w szalonym galopie, tak, że nikt nie mógł go dognać, nawet Andrasz. Tym sposobem szanowny ordynat przybył do domu pierwiej niż cała banderya, ba, pierwiej niż własny koń jego, albowiem przed samą werandą przeleciał koniowi przez głowę i tym sposobem wyprzedził nawet angielskiego folbluta o pół długości konia.

Nic wielkiego mu się nie stało, tylko karmazynowe obcisłe spodnie pękły na kolanach, za to zaś epizod ten miał tę dobrą stronę, że teraz mógł nadjeżdżającego do dworu księcia przyjąć wyjętą z kieszeni i odczytaną rzeczywistą mową łacińską, która teraz kiedy już stał na

ziemi i trzymał ją mocno z obu rogów przy odczytaniu nie mogła mu uciec.

W urzędowym dzienniku, ukazał się później tekst tej mowy proboszczowskiej nie zaś tamtej improwizowanej! A przecież pierwsza była lepszą, bo prawdziwą. Gospodyni przyjęła księcia i jego orszak takim obiadem, że istotnie zrobiła się z tego kolacya, jak to przyrzekł był kuzynek Beni. Podczas bankietu, kuzynek Beni, mimo swego ciasnego kostyumu, tyle używał wszystkiego dobrego, że pod koniec obiadu w nadmiarze dobrego humoru począł już tytułować księcia „panem kuzynem“. Excoelsissimus bawił się tem znakomicie i raz nawet zapytał gospodarza, czy jeszcze nie jest żonatym? na co kuzynek Beni odpowiedział:

— *Non, sum adhuc virgo*, — co ogólną wywołało wesołość. Książę zachował sobie te wyrazy na wieczną rzeczy pamiątkę.

Pani domu nie posiadała się z radości, że jej syn tak umie poufale obcować z hrabiami i książętami.

Byli jednakże ludzie, którzy na tę sprawę nie tak łaskawemi patrzyli oczyma, a w stolicy komitatu omal nie pękano ze złości.

W takich razach ludzie zwykle powiadają sobie: „*Opportet, ut fiant scandala!*“ (Potrzeba wymaga zrobić skandal).

Aczkolwiek jednakże wszelaki człowiek lubi

skandale, skoro już się spełniły, bardzo niewielu jest takich, którzyby się na zrobienie skandalu z góry zdecydowali.

A przecież coś w rodzaju skromniutkiej kocięj muzyki, przydałoby się bardzo w dzień przyjazdu ekscellencyi do stolicy komitatu.

W wielkiem mieście taka historyjka nie sprawia urzędzicielom najmniejszego ambarasu: stosownego materiału dość jest pod ręką; potrzeba tylko świstawek i poprzepalanych patelni; ludzi znajdzie się aż nadto. Ale w niewielkiem prowincjonalnem miasteczku urządzić awanturkę nie jest rzeczą łatwą; tam każdy zna każdego; słuchających i studentów pochwycają zaraz za ucho panowie i profesorowie, dojrzały człowiek zaś wstydzi się na ulicy wyó i wywijać koziolki.

Mimo to wszakże potrafiąno urządzić rzeczy.

Kiedy na jednym końcu komitatu kuzynek Beni usiłował zrehabilitować honor imienia Jenöich, które synowiec jego Koloman tak bardzo był skompromitował, od drugiej granicy komitatu zbliża się ze trzydzieści wozów, naładowanych najwyborowszymi egzemplarzami Borsodskich i Heveskich kortezów. Zebrał ich Balvandy i aż z trzeciego komitatu sprowadził dla urządzenia demonstraacyi. Figiel ten kosztuje go parę tysięcy guldenów; ale też wart użytych nań pieniędzy. Ci ludzie będą wiedzieli jak potraktować pana nadżupana, z którym szlachta własnego

jego komitatu zwykle za delikatnie się obchodzi. Ci narobią porządnego skandalu, jeśli się tylko zechce.

Dostojnemu podróżującemu towarzystwu leżał majątek Berti Csollana na drodze, Balvandy żyje z nim teraz w jaknajwiększej przyjaźni! Berti Csollan przychodzi do Balvandy'ego ilekroć jest w mieście, zasiada u jego stołu i zabawia hrabinę Dorotę swą oryginalnością, woniejącą dziegiem. Mimo tę przyjaźń, panowie nie przestają sobie nawzajem płatać figłów.

Berti Csollan dowiedziawszy się, że Balvandy z sąsiedniego komitatu sprowadza do komitatu **skiego bandę korteżów, oświadczył się z gotowością przyjęcia jej na jeden dzień u siebie, na swej puście.

Były to zaprosiny nie do pogardzenia: przez jeden dzień karmić darmo ośmdziesiąt koni i do półtorasta dobrze jedzących a jeszcze lepiej pijących ludzi — to zawsze nie żarty.

Balvandy zatem wydał prowodyrowi rozkaz (sam był tyle ostrożnym by z tą hordą nie zetknąć się nigdy), ażeby z tej strony Cisy zrobili sobie wypoczynek w Gödenylak u pana Csollana.

Przybyli też w najwzorowszym porządku, poprzywiązywali konie w stajniach, a potem poszli do dworu złożyć Bertiemu czołobitność.

Berti przyjął ich nadzwyczaj grzecznie, do-

wcipkował z nimi, gawędził i śmiał się z ich żartów. Tymczasem jednak choć pora obiadowa dawno już przeszła, nikt nie pomyślał o pożywieniu całej hordy. Wreszcie jakiś śmielszy za-interpelował pana domu w tej ważnej kwestyi. Gospodarz na tak uzasadnione żądanie okazał wielkie zdziwienie, mówiąc wprost, że ich zaprosił wyłącznie tylko na odpoczynek.

Szlachetni panowie przypuszczali z początku, że znany ze swych facecyj Berti żartuje z nich tylko i poczęli oglądać się po domu, czyby w ostateczności nie wziąć sobie tego przemocą, czego im odmawiano dobrowolnie; bo jeśli tylko parę cieląt lub jagniąt znajdzie się w oborze to obiad gotów będzie w mgnieniu oka, dość tylko zwierzęta obedrzeć ze skóry, a reszta pójdzie prędko. Ale w całym domu Bertiego nie znalaziono ani na lekarstwo służącego ani zwierzęcia o jadalnem mięsie, ani kartofla, ani chleba! Berti dniem pierwszej wszystko ruchome i jadalne wysłał przed nimi na wyspę Cisę.

Naówczas uprzejmy zastęp począł szukać gospodarza, w chwalebny zamiarze obicia go jak należy; ale Berti przepadł gdzieś jak kamień w wodę i ani śladu po nim nie pozostało.

Rozwścieczona horda chciała mu dom podpalić, ale przywódzca uspokoił ich zapewnieniem: „Berti drogo ten obiad zapłaci!“

Tak więc głodni i spragnieni musieli w dalszą puścić się drogę...

Wieczorem tegoż dnia, kiedy nadżupan Decsery z dostojnym gościem zjechał do stolicy komitatu, kiedy ten ostatni przyjmował jeszcze odkomenderowane deputacje i kapitułę, kiedy każdy uczciwy obywatel głowę swą do snu skłania — nagle wycie przeraźliwe zakłóciło nocną ciszę. Rozległa się wrzawa, jakiej nigdy jeszcze nikt nie słyszał w miasteczku. Doświadczeni znają ją pod nazwą, kociej muzyki!

Straszliwy ten hałas wybrał sobie za cel mieszkanie nadżupana...

Nikt nie mógł się domyślić, ktoby to mieli być owi witający? skąd przychodzą, jak się nazywają? Wejść między nich nie byłoby bezpiecznie, a przytem ciemno choć wykół oko, ani więc sposób kogokolwiek rozpoznać. Daremnie byłoby dociekać i badać; wszystko jakieś obce twarze, żywego ducha nie rozpoznasz między niemi.

Ale na kocią muzykę nic to nie wpływa; wykonano ją z całą precyzją i werwą.

Śpiewają jakąś pieśń satyryczną na nadżupana. Każdą zwrotkę intonuje naprzód solo jakiś głos zachrypły.

Gdyby choć ten głos móżdż poznać!

Z kolei poczynają wywoływać jakieś nazwisko:

— Śpiewajno, Csollan! mówże ty teraz, Csollan!

Śmiechy też towarzyszą tym wołaniom.

Późna noc dopiero położyła kres niemiłosiernym wrzaskom.

Przed świtem cała banda korteżów, która ukończyła swój występ gościnny, była już na powrót w drodze, pozostawiając po sobie w stolicy komitatu **skiego okropne następstwa kocięj muzyki.

Książę wyjechał natychmiast do swej prowincyi, Decsery'ego wezwano do Wiednia, komitatowi **skiemu przysłano na kark komisarza królewskiego a wydelegowany sąd miał ukarać przykładnie winnych niesłychanego skandalu. Sąd otrzymał polecenie wysledzenia sprawców karygodnej demonstracyi, a zwłaszcza jej przewodzców.

„Berti Csollan!“ ...

To nazwisko powtarzało się wszędzie. Wymieniano go z góry wszędzie gdziekolwiek zwrócono się z badaniem. Daremnie protestował i twierdził, że przez całe ostatnie trzy dni siedział u siebie w domu w Gödenylaku, stu świadków stanęło przeciw niemu, którzy gotowi byli stwierdzić przysięgą, że on to właśnie podczas słynnej kocięj muzyki pierwszy intonował śpiewy. Wykazać *alibi* nie mógł, na dzień bowiem przedtem wysłał całą służbę z domu, a przez dwa dni z obawy przed zemstą korteżów krył się w gęst-

włach trzoiny. Mógł tak być pewien tego, że go na rok zamkną w komitatowem więzieniu jak gdyby wyrok miał już w ręku.

Był to arcyfigiel Balvandy'ego: Decsery'emu wyprawić kocią muzykę a Bertiego Csollana kazać za nią zamknąć do kozy.

Jakoż każdy kto tylko w jakichkolwiek żył z nim stosunkach, śpieszył wyrazić mu za ten pomysł uznanie; winszowali mu wszyscy. W mieszkaniu jego były teraz nieprzerwane przyjęcia i uroczystości, przedmiotem zaś rozmowy na festynach były oczywiście wydarzenia polityczne.

A pośród tego wesołego zgiełku i gwaru, gdzie psoty wyrządzone nadżupanowi Decsery'emu stanowiły okrasę rozmowy, musiała hrabina Dorota odgrywać rolę gospodyni domu. Musiała codzień słuchać gorzkich dowcipów, widzieć radość złośliwą, na twarzach męża i jego gości. Kiedy nadżupanowi wyprawiano ową kocią muzykę, ona wówczas właśnie musiała na twarz płonąca rumieńcem włożyć uśmiech, i przyjmując gości przybywających kolejno na bal świetny i wesoły, słuchać co się dzieje na ulicy.

A Dorota wiedziała doskonale, że to jej mąż urządził ten gorszący wyskok.

Dorota wiedziała już wiele innych rzeczy o tym człowieku, który nieznany był ideałem kobiet...

Ale kobiety umieją przecierpieć wiele i wiele wybaczyć.

Niestalość, płochość męża umieją albo wybaczyć z miłości albo też odpłacić tą samą monetą.

Jedno tylko rzadko wybaczy kobieta: jeżeli mąż obrazi jej rodziców lub choćby ich pamięć.

W rodzinie Decsery'ch wzajemne przywiązanie jej członków było rzeczywiście wyjątkowo wielkie. Dorota ubóstwiała ojca i uważała go za najdoskonalszego na ziemi człowieka. Bo też jako głowa rodziny Decsery był bardzo dobrym człowiekiem, i Dorota nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek w domu rodzicielskim wylała bodaj jedną łzę tylko. Ojciec kochał ją bardzo i chronił od wszelkiego zmartwienia.

Cóż ją obchodziła nienawiść stronnictw? Co ona wiedzieć mogła o tem?... Alboż wiedziała, że w polityce technicznym wyrażeniem, nie dotykającym bynajmniej charakteru człowieka, jest powiedzieć o kimś, że jest ostatnim lajdakiem? Obie strony używają tego wyrażenia. Czynią to wszakże tylko przez miłość ojczyzny.

A kiedy przyszedł jej na myśl ten człowiek, który tak umiał kochać ojczyznę, nie nienawidząc przytem nikogo, który w sercu nosił myśl wolności, oblekał ją w płomienne słowa, stał się jej mężczennikiem, ale mimo to zawsze dla rodziny, którą kochał, zachował cały szacunek... Ach!

ten człowiek teraz, jeszcze nie dozwala swemu pióru rzucić ani jednego gorzkiego słowa na rodzinę Decsery'ch, choć to przecież leżałoby w zakresie jego powołania i byłoby dziś modnem i ściągnęło mu publiczność! A gdyby to nawet uczynił, byłby usprawiedliwiony, boć oni odtrącili go od siebie. On jednak nigdy przeciw nim nie występuje.

Dorota trzymała oba pisma, to, w którym pisywał Koloman, i to, w którym Aszalyi dopuszczał się bezceństw. Bacznie czytała je oba ciągle i poczęła coraz więcej podziwiać tego człowieka, co się nie ugiął pod ciosami losu, ale szedł coraz wyżej. Z ohydnych napaści Aszalyi'ego dowiadywała się o tem, co się dzieje z Kolomanem, jak mu idzie. Jednym z argumentów ordynarnej, nędznej polemiki, którego nie oszczędza nigdy przeciwnikowi, jest ten, gdy może zarzucić napastowanemu ubóstwo, gdy może opowiedzieć, że pismo przeciwnika niema pręnumeratorów, że ledwie zdoła wleć swój żywot, że redaktorowie, współpracownicy mrą głód, że redaktor maluje żydom i szewcom portrety po pięć guldenów...

O, jakąż torturą było dla Doroty czytać to wszystko!

I to sprawia ulgę takiemu polemizującemu, kiedy może donieść, że przeciwnik jego chory, krwią pluje i zagrożony jest śmiertelną chorobą

piersiową. Skoro się dowie o tem publiczność, nie odważy się w przyszłym półroczu zaprenumerować jego pisma; bo, cóż jeśli pieniądze przepadną?

A Dorota wiedziała dobrze, iż chory poeta, niema nikogo, coby go doglądał w chorobie, że jest opuszczony nawet przez własną rodzinę. A przecież nie przeklinał tych, co go odbiegli, co się go wyparli!

I serce Doroty czuło każdą obelgę, każdą napaść podwójnie: raz za siebie, drugi raz za opuszczonego.

Ach! bo całą też duszą należała wtedy do niego! Ale on żądał aby kochać go takim jakim był i kochać tak jak on sam kochał. Tamten drugi nie należy sercem do nikogo, i nie żąda też, by go kochano.

Ten kocha ją teraz jeszcze, teraz kiedy razem z ukochaną stracił wszystko, co tylko było jego własnością. Tamten ochłódl już, bo otrzymał tylko serce żony, ale skarbów jej nie otrzymał jeszcze.

Ach! tamten niezawodnie po dziśdzień zachowuje dawno zeschę niezapominajki!

Nietylko żona, ale i mąż czuł wybornie, że się stali sobie wzajem ciężarem; chciał wszakże damie pozostawić pierwszeństwo w wymówieniu stanowczego słowa.

Po owym dniu, w którym wyrządzono nad-

żupanowi Decsery'emu taką obelgę, niepodobieństwem się stało odkładać dłużej. Nazajutrz przeto ozwała się Dorota do małżonka:

— Panie, chciałabym stąd wyjechać.

— Czy życzysz sobie pani jechać do Wiednia, do rodziców?

— Nie, chciałabym pojechać do Siedmiogrodu.

— A jak długo chcesz pani tam pozostać?

— Ze sześć tygodni.

Balvandy nie spytał żony, co zamierza robić w Siedmiogrodzie, tak się już dobrze rozumieli.

— Prawdopodobnie pojedziemy razem? — zapytał z chłodną grzecznością.

— Mam nadzieję, że przynajmniej oboje w tamtą stronę.

— Ale z powrotem osobno? Żebyśmy zaś mogli wracać rozdzielni, jedno jest koniecznem... Musimy oboje przyjąć protestantyzm.

— Z pańskiej strony będzie to wielką ofiarą, tym krokiem bowiem osiągniesz na siebie niełaskę możnego swego wuja, biskupa.

— Ja „potem“ mogę powrócić do katolicyzmu. Pani możesz uczynić to samo, aby przedjednać rodzinę.

— To już moja rzecz...

— Znasz pani bez wątpienia historję pewnego domku w Zsibo, który tak często zmienia właścicieli?

— Znam ją...

— Życzysz sobie pani zatem, abym nabył ten domek?

— Zobowiąziesz mnie pan niezmiernie.

Balvandy gotów był zobowiązać piękną żonę tem, że objechawszy z nią Europę i Afrykę, aby pozyskać jej rękę podejmie się jeszcze jednej niewielkiej podróży do Celowca aby móż się z nią rozwieść.

Tak krótki czas wystarczył, aby obustronna ich miłość zamieniła się w obustronna nienawiść.

Balvandy nie mógł spojrzeć na hrabinę Dorotę, aby z jej oczu nie wyczytał, że gdzieś poprzez niego patrzy na nieobecną inną postać: a kiedy zbliżył się do niej tak, że dotknął jej twarzy, poznawał z wylękłego jej spojrzenia, że spłoszył, tę trzecią, niewidzialną postać, która teraz stoi wciąż pomiędzy nimi... Każda myśl kobiety należała do opuszczonego kochanka, a myśli te widniały na jej czole.

I proza życia również w tej smutnej dysharmonii odgrywała pewną rolę. Balvandy zawiódł się srodze w pieniężnej rachubie. Stary Decsery po pierwszych lekkomyślnie strwożonych stu tysiącach guldenów, nie chciał mężowi swej wnuczki dawać nic więcej. Mogą sobie czekać jego śmierci. Po butnem zadośćuczynieniu, którem tak dokuczył nadżupanowi Balvandy i na

to nawet mógł liczyć, że dziedzictwo hrabiny Doroty w testamencie obwarowane będzie takimi żelaznymi kratami klauzul i paragrafów, tak oszańcowane, że oalkowicie niemożliwą stanie się rzeczą, mężowi znaleźć tam dostęp; tak, ci ludzie są w stanie nawet wydziedziczyć zupełnie Dorotę.

Balvandy'emu małżeństwo to wydawało się już jasnym, i rad był, że kobieta pierwsza zaproponowała sześciotygodniowy pobyt w Siedmiogrodzie.

Dorota z Celowca dopiero zawiadomiła rodziców listownie, że się rozwodzi z Balvandym.

Na radzie familijnej z tego powodu straszne powstało zamieszanie.

Nie uznać powodów, które do tego kroku skłaniały Dorotę było niepodobieństwem; nie mogła żyć z człowiekiem, który jej ojcu i całej rodzinie Decsery'ch tak jawnie wyrządzał obelgi; środki wszakże, które miały umożliwić ten rozwód, doprowadzały do rozpaczki każdego członka rodziny Decsery'ch. Kobieta, należąca do jednej z najgorętszych rodzin katolickich w kraju dopuścić się ma apostazy i przejść na protestantyzm! Jakaż hańba na całe drzewo genealogiczne! A przecież jedyna to droga do otrzymania rozwodu! A chociaż rozwiedziona będzie z mężem, może następnie poślubić tylko protestanta

i tym sposobem zostaje na zawsze straconą dla rodziny.

Pokąd Koloman Jenöi był jeszcze u nich w łaskach, sądzili Decsery'owie, że się nawróci na łono kościoła katolickiego przez miłość dla Doroty; a teraz staje się coś wręcz przeciwnego właśnie: odrośl własnej ich familii dopuszcza się odszczepieństwa! To cios bolesniejszy niż polityczny nawet upadek. A przecież znieść go muszą, nie mogą zaradzić złemu.

Pocieszali się jednym tylko, że Dorota rozwiodłszy się będzie mogła przecież powrócić do stóp opuszczonego ołtarza; co prawda byłoby to równoznacznem z wieczną dziewiçością życia klasztornego, jako katoliczka bowiem nie może powtórnie wyjść za mąż i tym sposobem trzeba jej będzie zrezygnować się na bardzo smutną młodość; przynajmniej jednak odziedziczona po naddziadach tradycya pozostałaby w takim razie nieskalaną. W rodzinie Decsery'ch nie było nigdy zdrajcy stanu, buntownika, emigranta lub protestanta, ani też żadnej żony z ich gniazda lub w ich gnieździe.

Jakże też wielkie było oburzenie rodziny, kiedy po skończeniu procesu rozwodowego, razem z wyrokiem konsystorza, nadeszło stanowcze oświadczenie hrabiny Doroty, że pozostaje w tej wierze, na którą się nawróciła.

Niepojęty upór! Czyżby chciała tem śmiertelnie zasmucić rodzinę?

Najstarszego z Decsery'ch tak okropnie przygnębiła ta wiadomość, że odtąd już nie wychodził wcale z pokoju.

Rodzina zawiadomiła natychmiast Dorotę, że po takim postanowieniu nie może się już spodziewać swej części dziedzictwa, prócz owych stu tysięcy guldenów, które wniosła Balvandy'emu i które tenże oddać jej musiał przy rozwodzie.

Dorota przecież myślała o tem, że w Peszcie jest chory poeta, który leżąc gdzieś teraz musi na łożu boleści, od wszystkich opuszczony. Możeby można powrócić mu jeszcze życie...

Niestety, na to jedno było już za późno!

K O R E K T A.

Piętnaście lat, po których ślubowali sobie byli niegdyś współpracownicy kroniki zejść się napowrót w stolicy Węgier, zbliżały się już do końca.

I bądźmy dla nich sprawiedliwi: wszyscy pamiętali o tym ślubie.

Dwu z nich tułało się po świecie: Paweł Barko i Borcsay. Pierwszy w owym czasie już był słynnym na świat cały orientalistą, członkiem angielskich *Geographical Society* i *Club of Travellers*. Drugim zaś był Michał Borcsay, z artystycznym nazwiskiem: Banyavary. Trzej zaś mieszkali w Peczce: Koloman Jenői, Aleksander Biroczy i Feri Csuka.

Wprawdzie owoczesne gazety bardzo mało jeszcze troszczyły się o osobiste wiadomości, ale Koloman Jenői w tym czasie był już zbyt wybitną osobistością, aby można było przemilczeć, że on jest niebezpiecznie chory. W ten sposób dowiedzieli się też o tem Biroczy i Banyavary.

Biroczy bawił w Tryeście, zajęty prowadzeniem jakiegoś handlowego procesu. Towarzystwo Banyavarych zaś w Miskolczu rozbiło swój obóz. Biroczy zamierzał przyspieszyć wyjazd do Pesztu, skoro tylko załatwi sprawę, Banyavary zaś tak układał rzeczy, aby wcześniej nieco przemieść się do Erlau z całym towarzystwem i tym sposobem bliżej już być Pesztu. Stamtąd, chciał w pamiętny dzień spotkania, z żoną pojechać do Pesztu, mimo wyraźnego zakazu Kolomana, który mu był powiedział: „Ty przybyć nie możesz, bo umarłeś“. Obmyślał sobie nawet żartobliwe powitanie, którem Kolomanowi oznajmił swe powstanie z martwych. Feri Csuka nie potrzebował jechać, i teraz jeszcze był on bowiem majordomem w pałacu Decsery'ch.

Nagle los położył krzyż czarny na wszystkich tych obliczeniach.

Pierwszym, którego powstrzymały żalobne tego czarnego krzyża ramiona, był Biroczy.

Kiedy powracając z Tryestu, dostał się do granicy chorwaackiej, otoczyli powóz jego zbrojni strażnicy graniczni i wezwali go, aby wysiadł, musi bowiem odbyć czterdziestodniową kwarentanę.

Któż to nakazał?

Wymieniono mu nazwisko, które wówczas Europa posłyszała po raz pierwszy: „Cholera!“

Niewidzialne widmo, którego krok każdy znaczył się mogiłami, przeciągało wówczas szerokimi krokami przez naszą część świata; anioł-tępicieł narodów, którego samo imię przejmowało przestraczem i często wraz z nim śmierć niosło; dziwny spustoszyiciel, który tych oszczędza, co w twarz mu się śmieją, i mija tego co mu butnie stawia czoło...

Na granicach kraju pozaprowadzano kordony, co przed nim miały obronić; ale anioł śmierci przeszedł te czarne nakreślone linie, ludzie tylko nie mogli się przez nie przedostać.

Biroczy natknął na taki kordon zarazy chorwacki i musiał tam pozostać.

W górnych Węgrzech wszakże szalała już zaraza; od Zemplina i Abanu z przerażeniem morowej zarazy szły przestraszające wieści o wybuchu powstania chłopów.

W tym czasie Banyavary wybrał się ze swą trupą z Miskolcz do Erlau.

Miskoliccy znajomi starali się wielce rozsądnie skłonić go do tego, aby pozostał tutaj; sędzia miejski zarówno jak lekarz obwodowy dobrze mu życzyli. Pierwszy był człowiekiem wesołego temperamentu i odważnego serca, któremu wydawało się śmiesznem, aby ktoś miał od melonów lub ogórków umierać; nakłaniał on też stanowczo aktorów, aby stąd nie oddalali się nigdzie; powinni dawać tu przez cały czas wido-

wiska, i to codzień komedye, by tym sposobem małoduszna ludność zapomniała o trwodze; niechaj się bawią dalej jak dotąd. Lekarz ze swojej strony dowodził uczenie, że cholera tutaj nie przyjdzie, gdyż zwykle unika okolic górskich; ale Banyavary chciał koniecznie odjechać, miał inne powody dostania się w pobliże Pesztu, ważniejsze nad obawę zarazy.

Dobrzy znajomi odprowadzili go do rogatek miasta i tam pożegnali ostatnim toastem, wypito strzemienne i pozwolili natychmiast odjechać.

Pierwszego dnia przybyli do Mezo-Kereszteru. Tam już zauważyli, że miasto niezbyt gościnnie otwiera im swe bramy. Wszelkiego rodzaju natręci poczęli domagać się od nich paszportów i to bardzo natarczywie. Jak zaś pamięć ludzka zasięgnie, nikt jeszcze po pięknych Węgrzech nie podróżował z paszportem. Skoro wszakże przybyli do Erlau, gdzie to rośnie także dobre czerwone wino i gdzie aktorów zwykle przyjmowano tak ochotnie i otwierano przed nimi drzwi wszystkie, otoczyli ich nagle przed miastem do koła ludzie uzbrojeni we flinty i widły, nie pozwolili nikomu zsiąść z wozu tylko wszystkich co do nogi wpędzili do miejskiej obory dla zbląkanego bydła, i oznajmili urzędownie, że poddać się muszą dwutygodniowej kwarantannie.

Banyavary prosił, błagał, powoływał się na swój dyplom szlachecki wszystko to jednak na nic się nie przydało. Kordon był nieubłagany. Musieli noc spędzić w obozisku.

Następnego rana wyświadczone im tę łaskę, że wypuszczono ich z szopy, pod warunkiem wszakże, że powrócą natychmiast tam skąd przybyli.

Klnąc na czem świat stoi, ruszyła karawana napowrót w drogę do Miskolczu.

Wieczorem czwartego dnia przyjechali znów w okolicę Avas.

Już to wydało im się podejrzanem, że rowy po obu stronach traktu na całej przestrzeni zastawali napelnione melonami i ogórkami. Tu widocznie musiała się odbyć na polach obsianych melonami rzeź powszechna, której ofiarą padła wszelka łyśa głowa, należąca do rodziny *cucumis* lub *pepo*.

Przed rogatkami miejskimi wszakże zupełnej już doznawali niespodzianki.

Gdzie ich przed czterema dniami żegnano tak uroczyście toastami, tam powitano teraz wysuniętymi bagnetami.

— Wracać! Tu nikt wejść nie może!...

Przyjaciele z przed dni czterech nie poznawali już nawet Banyavary'ego. Stali teraz po za rogatkami w mundurach gwardyi obywatelskiej, z hełmem na głowie i szablą u boku. Sę-

dzia miejski z niemiłosiernem obliczem wydawał rozkazy, a lekarz obwodowy uzbrojony długim kijem protestował przeciw wpuszczaniu do miasta wszelakiego przybysza.

Banyavary usiłował powołać się na przyjacielskie stosunki z przed dni czterech zaledwie, ale nikt nie chciał o tem słuchać.

— Wracać! Nie przyniesiecie nam tu cholery, jest ona już bowiem w sąsiedniej Isolozy.

— Ależ my przybywamy ze strony wprost przeciwnej! Erlau leży przecież na południu.

Daremne były wszelkie perswazyje; nie mógł ich żadną miarą z choleraą pojednać; trwali w swem postanowieniu nieprzyjmowania przybyszów... Aktorów czekał zatem los taki, że skoro się ruszyli z jednego miasta, teraz żadne ich już nie przyjmie. Kazano im żyć odtąd pod gołym niebem.

Tego było już nadto Banyavary'emu. W gorczy, która go przejęła, zrodziła się w nim pewna doza Koryolona, — i jak Kajus Marcyusz w Corioli, tak on dobył z pochwy szablę i z gołym mieczem rzucił się na szranki, zdecydowany poświęcić się bohatersko dla dobra swej trupy. Na jego szczęście karabiny z wytoczonymi bagnietami były w ręku ludzi rozsądnych, którzy, widząc, że się ktoś rzuca na bagnety, pilnie na to baczyli, aby się na nie przypadkiem nie nadziało... Tym sposobem bitnie wziął Banyavary

rogatkę, otworzył ją swęj karawanie i wprowadził w tryumfie do zdobytego miasta. Nakoniec i stróże wzięli rzecz całą z żartobliwej strony, i oświadczyli, że sobie z niego żartowali. Jeden tylko doktor irytował się strasznie, że odtąd już ręczyć nie może za zdrowie miasta! Tak bardzo zmieniły się dawniejsze jego poglądy pod wpływem strachu, który niby cień nieodstępny poprzedza cholereę.

Banyavary zaś aktorom swoim wydał rozkaz, aby żaden z nich nie ważył się umrzeć na cholereę, bo jeśli choć jeden z nich umrze, resztę każe jak psów pozabijać.

Na ich szczęście cholera, która wybuchnęła nazajutrz po ich przybyciu przyniesioną była do miasta z Avaru. A co jeszcze większem było dla nich szczęściem to, że przez cały czas trwania zarazy, żaden z nich nie zasłabł nawet, pomimo, iż spożywali najpyszniejsze gatunki melonów i wszelkiego rodzaju owoców, których inni śmiertelnicy ani tknąć nie śmieli. Bo i czegoż miałby się bać aktor?

Pewnego dnia wszakże ktoś zachorował, a była to właśnie Cilly. Prawdopodobnie zaziębiła się i dostała kurczów. Chciała słabość swoją ukryć, ale Banyavary zląkł się bardzo i pośpieszył po doktora. Podówczas śmiertelność była już bardzo wielką w mieście, i nie było na nią

żadnego lekarstwa ani w ogrodzie, ani w aptece ani też w księżce do nabożeństwa.

Doktor bardzo późno przyszedł do Banyavarych. Za żadną cenę świata nie byłby wszedł do pokoju i nawpół tylko drzwi otworzył, stanął na progu i wyciągnął kij przed siebie; w rozszczypiony jego koniec zatknięty był kawałek papieru do kadzenia; zapalił go i kręcił nim przed sobą w powietrzu jak śmigami wiatraka, ażeby niebezpieczne mazmiaty utrzymać w pewnej od siebie odległości. Nie spytał wcale Cecylki co jej dolega? tylko popatrzył jej w twarz a potem zwracając się do kancelisty, który szedł za nim z atramentem i papierem, podyktował mu urzędownie: „Zapisz-no, *amice*: cholera 132 — ratunek niemożliwy“. Potem zamknął drzwi, wytarł sobie twarz płachtą nasyoną essencją kanforową i poszedł dalej.

Następnego dnia umarł — doktor; Cilly zaś wyspała się tylko porządnie i wstała jak najzdrowsza.

.....
Dwóch brak już będzie na ułożonem *rendez vous* z Kolomanem: Biroczy'ego i Borcsay'a...

Wieść okropna o zarazie morowej, przejęła i Peszt nie małym wzburzeniem. Dostojne rodziny wyjeżdżały coprędzej z miasta przed nią do wiejskich dóbr swoich; czasu zarazy pobyt w mieście uważany jest za niebezpieczny; sądy

i dekasterye urzędnicze miały podówczas wakacye, w Peszcie więc pozostała tylko młodzież lekkoduszna, aktorowie niemieccy i załoga.

To jest: pozostali i inni ludzie, ale dla pani Csollan nikt inny nie pozostał w mieście.

Katinka nabiła sobie głowę, że w tych czasach odegrać może rolę bohaterki boccaciowego „Dekameronu“ odegraną we Florencyi podczas zarazy. Codziennie zbierało się u niej wesołe towarzystwo, gromadziła dokoła siebie uprzejme lekkomyślne kobietki, których wesoły humor harmonizował z jej usposobieniem, potem młodzież chętną do zabawy, aktorów, którzy bawić umieją i oficerów, którzy celują w tem obojgu. W takim towarzystwie żartowano sobie ze śmierci.

Codziennie aż do późna w wieczór brzmiała cygańska muzyka z ogrodu pani Csollan, rozlegały się wesołe śmiechy i brzęk szklanek dobiegał aż na ulicę. Śmierć może nie ośmieli się podnieść głowy tu, gdzie tak są wszyscy weseli.

Pewnego ranka przecież przyniesiono wieść straszliwą, że cholera już w mieście, a pierwszy trup leży na marach.

Gdzie?

Tu, naprzeciw domu pani Csollan, w pałacu hrabiego Decsery'ego.

Któż to taki?

Majordomus pałacu, Franciszek Csuka. Wezo-

raj jeszcze silny muszkularny człowiek — dziś tylko wspomnienie człowieka.

O, jakże szybko poszło w rozsypkę całe florentyńskie towarzystwo!

Wieczorem nie było już ani muzyki, ani śmiechów, ani brzęku kielichów w ogrodzie. Do wieczora liczono już dwunastu umarłych w mieście.

Wszystko co tylko mogło uciec z miasta poczęło uciekać; młodzież biegła na wieś do rodziny, aktorowie niemieccy do Hradca i Wiednia; nawet garnizon przeniesiono z miasta, poznikali zatem i oficerowie. Przerzucono ich do Wacowa i do Gödölö.

Katinka pozostała sama, sama ze swemi ulubionemi zwierzętami: obrzydliwym żółwiem, jeszcze obrzydliwszą małpą i najobrzydliwszym Aszaly'im. Ten tylko jeden nie uciekł nigdzie, dodając sobie odwagi znanym pewnikiem: „złego lichu nie weźmie“; ten tylko zjawiał się codziennie u Katinki i pochlebiał gospodyni, albo kiedy ta była w złym humorze, pochlebiał jej papudze, która od pewnego czasu dziwnej nabiera namiętności wyskubywania sobie dziobem wszystkich piór, tak, że siedzi teraz w swoim pierścieniu jak łysy nietoperz; od tego czasu nie mówi nic prócz chyba, gdy zobaczy Aszalyi'ego, wówczas woła zwykle na niego: „filou“, co ten biorąc nie za francuskie, ale za greckie

wyrażenie, uważa za największe dla siebie po-
chlebstwo...

Katinka nudziła się przeto okropnie.

Kiedy tak naraz została samotną, poczęła ją
zastanawiać i zadziwiać zarazem myśl, że ona
jedna tylko niema nikogo na świecie, i że dla
niej jednej nie istnieje takie miejsce, gdzieby
mogła z miasta uciec.

Wtedy przyszło jej coś na myśl... A gdyby
jednak?

W tym jednak czasie dowiedziała się, że
Balvandy rozwiódł się z żoną.

Krok tylko jeden, a mogą w bliższym jeszcze
do siebie stanąć stosunku.

Próżność szeptała jej, że nic innego nie mo-
gło skłonić Balvandy'ego do tego kroku, tylko
wspomnienie dawnej miłości i myśl o swej oswo-
bodzicielce z więzienia.

W tej to nadziei wywołanej próżnością, po-
stanowiła szukać ucieczki. Osamotnienie, obawa,
nudy, wszystko to razem wzięte doprowadziło
ją do tego, że napisała list do Balvandy'ego,
bawiącego podówczas w Aradzie. W liście pro-
siła Balwandy'ego, aby odstąpił jej ów domek
w Csibo, teraz bowiem i ona zdecydowała się
zerwać więzy, czyniące ją niewolnicą znienawi-
dzonego małżonka. A wówczas nic już nie bę-
dzie stało na przeszkodzie, i będą mogli wzajem
do siebie należeć na zawsze. Niechaj więc przy-

jeżdża do Pesztu, gdzie go oczekują z otwartymi ramionami.

Takiego listu nie sposób powierzyć poczcie. W tym czasie bowiem listy wystawione były na wielce smutne fakta; na pocztach dziurawiono je wszystkimi widłami, okadzano, podejrzane nawet otwierano, czytano i pod pieczęcią urzędową odsyłano dalej. Katinka wysztyftowała przeto Aszalyi'ego do drogi i powierzyła mu list, aby go osobiście wręczył Balvandy'emu.

Aszalyi był jak raz człowiekiem do tego rodzaju missyj, które spełniając, ma się w perspektywie przelknięcie wielu grubiaństw, następnie dobrą za wszystko zapłatę. Grubiaństwa zaś i zapłaty nie szcędzono nigdzie temu, kto w czasie wielkiej cholery po przez kordony czterech komitatów i municypalności trzech miast odważył się podróżować!

Szczęśliwie jednak dostał się Aszalyi mimo wszystko do Aradu; tam dowiedział się, że Balvandy przemieszkuje obecnie w prasowni swojej w Magyaracie. Ta prasownia zaś była bardzo ładnym piętrowym pałacykiem, w pośrodku wielkiej winnicy; tylko, że winobranie teraz było bardzo dalekie jeszcze, zatem widocznem było, że Balvandy, nie z żadnej innej przyczyny, tylko ze strachu przed cholera tam się wyprowadził, aby tym sposobem tem lepiej mógł się odciąć od zewnętrznego świata.

Aszalyi jednak wiernie i tam pogonił za nim z listem pięknej pani...

Kiedy zajechał do winnicy i wychodzącemu na jego spotkanie oficyaliście powiedział, że przyjeżdża z Pesztu, sługa nie pozwolił mu wcale wysiąść z powozu, tylko zwrócił się do robotników rumuńskich w winnicy i coś rzekł w ich języku, poczem czterech tęgich chłopów poskoczyło i porwawszy Aszalyi'ego za nogi i ręce w mgnieniu oka zdjęło go z powozu. Daremny był krzyk biedaka, nie rozumieli zupełnie jego języka, a choćby go nawet rozumieli, nie zwróciłiby na protestacye jego żadnej uwagi. Rozebrano go z pośpiechem niezwykłym i zanurzono w kadzi, napełnionej wodą, a stojącej pod werendą domu. Aszalyi poczuł z obrzydzeniem, kiedy mu nalalo się do ust tej wody, że to był ocet... Już po mnie! pomyślał; toć to są ludożercy! Naprzód kładą mię w kwas, iżby mięso moje skruszało! Błagał ich, żeby go nie zjadali. Ci na migi poczęli mu pokazywać, ażeby był cierpliwym; niech się nie irytuje darmo, bo jeszcze nastąpi coś więcej, tymczasem zaś przytrzymali go za kark, żeby im nie mógł uciec. Kiedy już skórę jego nasycono dostatecznie octem, wtedy przyszedł piąty kanibal z olbrzymią fajerką pełną rozżarzonych węgli. Teraz mnie upieką! — pomyślał sobie Aszalyi i począł do Rumunów przemawiać po grecku; wy-

obraził sobie bowiem, że ludzie greckiego wyznania język ten koniecznie rozumieć muszą. Ci zaś wyjęli go z największą powagą z octu, wzięli za ręce i nogi, rozciągnęli w powietrzu nad węglami, nasypali na węgle kminku i jałowcu, i okadzali tem Aszalyi'ego jak koszycką szynkę...

Wówczas dopiero ukazały się uprzejmiejsze twarze z wnętrza domu: lokaj i kamerdyner. Przynieśli oni dla Aszalyi'ego całkiem nowe suknie, i ubrali go od stóp do głowy w cienkie bawełniane tkaniny, całe przesiąkłe wonią kolońskiej wódki. Wtedy dopiero powitali go wreszcie i powiedzieli, aby się zechciał pofatygować do pana barona.

Aszalyi ledwie zdołał ochłonąć z pierwszego strachu.

— Doprawdy, muszę powiedzieć, że to dziwny jakiś sposób przyjmowania gości — skarżył się stanąwszy przed Balvandy'm, którego pokój zappełniała dusząca woń kamfory i wódki kolońskiej.

Baron się zaśmiał...

— Mała prezerwatywa, kochany przyjacielu, aby mi kto czasem nie przyniósł cholery, kiedy już był tak wysoce uprzejmym, że w tych niebezpiecznych czasach zawitał do mnie w gościnę. Teraz możemy sobie podać rękę. A zatem powiedz mi kochany panie, jakie fatum cię tu wprowadziło?

— Przybywam z listem od pani Csollan —
wymówił z domyślnym uśmieszkiem Aszalyi.

— I list jeszcze! — rzucił się Balvandy rozgniewany. — Cóż u dyabła przyszło jej do głowy nasylać mnie w takim czasie listami? Czyż panu nie mogła powierzyć tego poselstwa, kiedy już pana posyłała? List właśnie najłatwiej może przenosić mazmiata. Hej, służba! Wyszukać mi tam w ubraniu tego pana list, potem potrzymać go nad gorejącą siarką, zanurzyć parę razy w chlorku wapna, a potem przynieść go tutaj. Kto dotknie tego listu, niech mi nie wchodzi już do pokoju!

Takiej dezynfekcyi poddany list wniósł narzeczcie kamerdyner. Aszalyi pochwycił go z jednego końca obcęgami, a kamerdyner nożycami od papieru z drugiego końca, tak, aby pan baron mógł go przeczytać...

Przypuszczać, a nawet uwierzyć temu można, że list był w dobranych napisany wyrazach; ale chlerek wapna, przez który list przeszedł, ma tę własność, że atramentowi odbiera barwę; z trzech wyrazów zatem dwa ledwie pozostały czytelne, co dobór stylu i piękność myśli zburzyło całkowicie... Główną treść propozycyi wszakże baron zrozumiał.

List jednak zastał go właśnie w szczególniejszem usposobieniu.

Mówić o rządzonych więzach małżeństwa temu,

który dopiero co je potargał, i to takie jeszcze, które z daleka wydawały mu się niegdyś urocze, to równa się chyba częstowaniu śliwkami człowieka, którego trzęsie paroksyzm febry. A on przechodzi właśnie paroksyzm taki po uroczej twarzy „madonny“! Piękną, goniącą za rozkoszami panią, on zna już tak dobrze! A do tego jeszcze to ogólne wyzucie się ze wszelkich uczuć, które niesie z sobą obawa cholery...

Dopóki miał przy sobie urocze oblicze małżonki, doznawał jeszcze pragnienia zajrzenia czasami w te grzeszne, kuszące, piękne źrenice; ale odkąd po raz ostatni zobaczył we łzach łagodnie oczy rozwiedzionej z nim żony, przykro mu było ilekroć one na myśl mu przyszły i czuł wstręt do ich błysku. Doroty żałował bardzo, odkąd ją stracił na zawsze, i w tejże samej mierze wzdrygał się na samą myśl, że mógłby pozyskać na zawsze Katinę.

Szalona myśl zabłysła mu w głowie na widok listu pięknej pani.

Balvandy należał do szkoły, którą założył Berti Csollan. Kiedy takiemu figlarzowi przyjdzie waryacki jaki pomysł do głowy, za żadne skarby nie przemoże się, by go nie wypowiedzieć, nie wykonać, choćby na tem ucierpieć miał natychmiast najlepszy jego przyjaciel, kochanka, żona, teść, albo nawet własna jego przewrotna głowa.

Przytem Balvandy dłużnym był jeszcze dobry figiel Katince za uwięzienie go w Paryżu. Tego nie mógł jej zapomnieć, cały zwrot bowiem w rodzinnych stosunkach aż do procesu rozwodowego, z tego wypłatanego mu figla brał początek. Że odtąd składał hołdy Katince, było to tylko zemstą na rodzinie Decsery'ch w połączeniu z inną poziomą chucią. Dziś kiedy Decsery'owie stali się dla niego znów całkiem obcymi, w sercu jego dla Katinki pozostał tylko przesył, który teraz wzmógł się jeszcze stopniem zmysłowych popędów w ogóle zmykających wobec strachu przed zarazą.

Szalony pomysł przeto rozpoczął tem, że powiedział Aszalyi'emu:

— Dobrze, kochany panie. Piękna pani chce nabyć odemnie ów domek Csibo. Domyślasz się zapewne w jakim celu?

— Tak, ażeby w Siedmiogrodzie w ciągu sześciu tygodni skończyć wreszcie swój proces rozwodowy.

— Zgadłeś pan. W przedmiocie domku łatwo się porozumiemy. Co do reszty zaś rzeczy zawartych w liście pomówimy z sobą po obiedzie.

Balvandy postarał się o to, aby swego ukochanego gościa podjąć i ugościć wspaniale. Piwnice jego w Magyracie były słynne, a Aszalyi nie tohórzył przed puharem dobrego wina. Podczas obiadu pili z sobą „na braterstwo“ Bóg

wie po który już raz w życiu! Aszalyi należał do rzędu tych ludzi, którym mówi się „ty“ póki wino nie wyszumi z głowy; nazajutrz wszakże tytułuje się ich znowu „panem“.

Aszalyi wogóle bywał zawsze wielce wymownym, a wino rozwiązywało mu język jeszcze bardziej. Miał zaś tę własność, że cokolwiek bądź mówił, zawsze mówił o takich przedmiotach, o których lepiej było zamilczeć. Brak mu było poczucia stosowności czasu, miejsca i ludzi, odpowiednich do anegdotki, którą chciał opowiedzieć.

Tym razem opowiadał Balvandy'emu jak się dobrze zabawiała Katinka ze wszelkiego rodzaju panami, młodzieżą i ułanami przed nadejściem cholery, i jak na wieść o pojawieniu się zarazy wszystko to się rozbiegło, skutkiem czego oczywiście piękna pani teraz nudzi się straszliwie.

— Ale czy ty wiesz co ona mi teraz w tym liście napisała? — przerwał mu Balvandy przyjemne plotkarstwo.

— Chce się rozwieść z Bertim, to wiem; chce się rozwieść jak najprędzej.

— I zaraz chce wyjść za mąż...

— Ach!

— Ależ nie udawaj, filucie! ty to wiesz lepiej odemnie. Wszakże ona wychodzi za ciebie.

— Za mnie? — wybąknął Aszalyi, i posta-

wił napowrót niesiony do ust kieliszek. — Nie żartuj!

— Słuchaj-no, nie rób mi takiej miny niewiniątka! Przecież tu, w tym liście, opisuje mi rzecz całą!

I wyjąwszy list Katinki z kieszeni, zasłoniwszy resztę, pozwolił Aszalyi'emu odczytać tylko koniec:

„Pomów pan otwarcie z Aszalyi'm; jest on jedynym moim powiernikiem“.

Aszalyi wpatrzył się nieruchomym wzrokiem w odczytane wyrazy.

— A przecież dla mnie to rzecz niepodobna do wiary! Prawda, że ta droga Katinka zawsze jest dla mnie tak uprzejmą, przyjacielską, często nawet wyróżnia mnie w swej dobroci, nieraz wieczorami pijamy sami herbatę, nawet pozwala mi być obecnym przy ubieraniu się i wtajemnicza w najskrytsze jej interesa; takiego szczęścia wszakże, mimo to wszystko, zrozumieć nie mogę!

— Ale, gadaj tam bracie, że nie rozumiesz! Pomyśl-no: rozwodzi się teraz z mężem i pozostaje bez nazwiska, ani panna ani mężatka. W świecie chciałaby żyć po dawnemu, bawić się i brać udział we wszelkich zebraniach jak dotąd. Do tego potrzeba jej koniecznie męża...

— Aha, jednym słowem, parawanu! — zaśmiał się Aszalyi.

— No tak, parawanu, — utwierdzał go Balvandy z szalonym śmiechem.

— Męża, którego by nie nie rozgniewało, cha, cha, cha! A do tego ja właśnie byłbym dobrym, cha, cha, cha!...

Na to Balvandy przybrał wielce poważną minę.

— Tego wiedzieć nie możesz, kochany przyjacielu. Kaprysy kobiet są niezbadane. Bardzo być może, iż ta kobieta tak jest w tobie zakochana, że dla ciebie byłaby w stanie zostać panią bakałarzową w Patyodzie.

— To ja wolę już dla jej miłości zostać przy niej jaśnie panem w Peszcie.

Balvandy uznał, że taki pogląd na życie bez porównania jest praktyczniejszy.

— Kochany przyjacielu, będę z tobą mówił otwarcie. Możesz to wiedzieć, było to bowiem publiczną tajemnicą, że ja należałem do najszczerzych i najserdeczniejszych wielbicieli Kaktinki. Byłem jej tem, czem ojciec jest dla córki.

— Aha! rzucił z cyniczną głupotą Aszalyi.

— I ona była bardzo przywiązana do mnie. W tym liście zawiadamia mnie o swoim postanowieniu, ażebym ja, którego los jej zawsze szczerze obchodził wypowiedział jej swoje w tej mierze zdanie. Ażeby więc przekonać cię o serdecznej mojej dla ciebie życzliwości, nie będę tracił słów napróżno, ale dowiodę ci tego czy-

nem. Przedewszystkiem domek ów w Csibo oddaję Katince w podarku, potem zwracam ci tę szkatułkę, są w niej wszystkie listy, które Katincka pisała do mnie; odsyłam jej listy wszystkie przez ciebie, z wyjątkiem ostatniego. Czy rozumiesz mnie już teraz?

Aszalyi rozumiał wszystko; był gruntownie pijany, rzucił się na szyję kochanemu przyjacielowi, całował go po karku, uszach, gdzie dopadł i płakał. Była to scena melodramatyczna prawdziwie.

Balvandy naglił go, aby nie zatrzymywał się dłużej; niechaj śpieszy do swego szczęścia. Kazał mu przynieść dawne suknie, wsadził do powozu i odwieźć do Aradu, dokąd Aszalyi dostał się późnym dopiero wieczorem.

Kiedy wyszumiało mi wino z głowy, wtedy dopiero zaczął rozmyślać nad tem, czem on jest właściwie i co to wiezie w torbie podróżnej? Ten, którego czci teraz w sobie, jest przyszłym małżonkiem damy wielce emancypowanych poglądów, a to co wiezie w sakwie podróżnej, to paczka miłosnych liścików, które dawny, a może jeszcze mający powrócić w przyszłości serdeczny wielbiciel przyszłej jego żonie przez niego właśnie odsyła...

Na chwilę przeszła Aszalyi'emu przez głowę myśl wrzucenia tej paczki do Maroszu, a potem wstąpienia do wojska, ale to tylko na chwilę,

w następnej chwili bowiem, żołądek lepszej udzielił mu rady.

Ah, cóż by tam! nie jest to znów takie nie-szczęście nie do zniesienia. Piękna kobieta, nie przecież temu nie jest winną, że i przed dwunastu laty już była piękną. Wiara, niewinność są to przecież wielce względne pojęcia. U kobiety jest to tylko *pretium affectionis*. Główna rzecz w tem, że jest to kobieta bogata. Ożeniwszy się z nią, nie potrzebowałby już za pięć guldenów układać kalendarzy, nie potrzebowałby zimowego paltota latem posyłać na studia hebrajszczyzny, ani jadać na kredę u wszystkich restauratorów po kolei, a kiedy z jednego końca ulicy chce przejść na drugi, nie potrzebowałby obchodzić jak dziś przez całe gdzieś miasto aby przed każdym z osobna sklepem nie chwyтали za poły wierzyciele. Wtedy miałby swój dom własny, własny powóz, własną służbę, nad którą mógłby rozciągnąć zwierzchnictwo.

Prawda, że wszystko to byłoby tylko „parawanem“. Tak to prawda, „parawanem“; cóż kiedy za nim jest tak zaciszno!

Aszalyi całkiem pogodzony z losem powrócił do Katinki.

Podówczas piękna pani popadła już była w rozpacz z samotności, nudów i strachu.

Codziennie przenoszono przed jej oknami trzydziestu conajmniej umarłych. Uciekła więc

do pokoju wychodzącego na ogród, aby już nie widzieć tych częstych pogrzebów i nie słyszeć pieśni żałobnych.

Dlatego też dziwić się nie można, że powracającego Aszalyi'ego przyjęła z największą radością. O! jakże był dla niej teraz miłym! Twarz jej naraz rozweseliła się... Śmiała się jak dziecko.

— Opowiadaj pan, jakieś mi tam szczęśliwie wszystko załatwił?

Aszalyi chciał być bardzo przyjemnym i opowiedział wszystko, co go tam spotkało. Katinka wybuchami śmiechu przyjęła opowieść o kadzi z octem, której opowiedzenia nie zrzekłby się Aszalyi za nic w świecie.

Poważnie dopiero począł zapatrywać się na sprawę, gdy następowała rozmowa jego z Balvandy'm. Stał się nagle uroczystym i uczuciowym.

— „Nasz“ przyjaciel powiedział mi wszystko, jak sobie pani tego w liście swoim życzyłaś. Szlachetnem sercem zgodził się na wszystko.

— No, i?... spytała Katinka rozpromieniona.

— Domek w Csibo ofiaruje pani w darze; w przeciągu sześciu tygodni możesz pani zostać wolną. Potem...

Tu Aszalyi odetchnął głęboko.

— No, a potem? — nagliła niecierpliwie Katinka.

— Tu odsyła pani listy, które pisywałaś do niego.

— Moje listy? — spytała Katinka zarumieniona po uszy. — Po co?

— Na znak, że zezwala na wszystko.

— Zezwala?

Katinka poczęła się dziwić.

— Godzi się w zupełności na postanowienie pani, i w przyszłości nic już nie stoi naszemu szczęściu na zawadzie!

Aszalyi przy tem oświadczeniu wyciągnął ramiona jak przybity na krzyżu Jakób Molay w tragedji „Templaryusze“ i uśmiechał się do pięknej pani wykrzywioną w ekstazie twarzą.

Teraz dopiero zrozumiała Katinka jak okrutnego dopuszczono się z niej żartu.

W pierwszej chwili wściekłości pochwyciła za szpicrutę; natychmiast wszakże przyszła do przytomności i szarpnęła silnie za sznur dzwonka.

Aszalyi i teraz jeszcze stał jak Jakób Molay na krzyżu, kiedy na odgłos dzwonka pojawił się kamerdyner.

Katinka wymówiła do służącego:

— *Tego człowieka, gdyby tu przyszedł raz jeszcze, za drzwi wyrzucić!*

BRZASK.

Koloman zaś leżał sam na łożu boleści, sam w wyludnionej stolicy, w nieznanem, cudzem mieszkaniu, chory.

Choroba jego nie była panującą cholera. Groźna, gwałtowna, zmieniająca twarze ludzkie do niepoznania zaraza, oszczędza tych, na których padł cień skrzydeł innego, łagodniejszego anioła...

Koloman chory był na suchoty... Jest to uprzywilejowana choroba poetów, artystów i zakochanych. Anioł ten o bladej twarzy, naprzód zawiera przyjaźń ze swoją ofiarą, zwolna, łagodnie przyspasabia ją na świat drugi. Skoro zobaczy, że się człowiek obawia grobu, zezwala na przedłużenie terminu, aż nadejdzie wiosna; tymczasem oswaja go z zieloną murawą, pod którą śpi się tak słodko; pozwala mieć nadzieję, aż do ostatniej godziny; zaostrza każdy ze zmysłów, wypięknia duszę, użyicza myślom siły, duszy uroku, pendzłowi twórczego namaszczenia, bólowi miłości szczęśliwego jakiegoś balsamu;

a potem umie ukołysać łagodnie do snu wiecznego, z uśmiechem na twarzy...

Jest to uprzywilejowana śmierć poetów, artystów i zakochanych, którzy umierają dla tego, że tworzyli, dla tego, że kochali...

Suchotników nie przeraża osamotnienie. Dusza ich jest jasnowidząca, mają dar widzenia po przez przestrzenie tych, których kochają; umieją odczuwać myśli tych, którzy są od nich zdala...

Dwoje ludzi tylko dogląda chorego: rzemieślnik, jego gospodarz, a zarazem dzisiaj sługa, tudzież stara służąca rzemieślnika. Poeta opowiada im dziwne sny, które go pocieszają w niedoli, oni zaś na te opowieści odpowiadają mu zaw sze:

— Istotnie, tak, tak!

Dla czegoż jednak babka nie pośpiesza odwiedzić wnuka w tych dniach jego ostatnich?

— Chce przybyć, ale nie może. Jęk pogrzebowych dzwonów rozlega się po wszystkich wioskach i odstrasza ją... W całym kraju szaleje cholera. Ona sama nie lęka się jej, ale syn jej, jest w rozpacz. Biedny Beni! Jak on codziennie po dwadzieścia razy myje się mocnym octem winnym! Jak na piersiach i plecach obwieszają się woreczkami z kamforą! Jak przejęty trwogą, pije najmocniejsze spirytualia! Jak codzień każe wybielać pokój swój wapnem zmie-

szanem z chlorkiem! Jak codzień modli się po pięć razy conajmniej, jak się oducza od ulubionej fajki, od najulubieńszych potraw, jak postami umartwia swe ciało! Matka jego niezawodnie niepokoi się o Kolomana pozostałego w Peszcie, wybiera się w drogę, aby go zabrać i z tego niebezpiecznego wywieść miejsca, ale ilekroć się wybierze, rzuca się jej stary dzieciak na szyję, zrozpaczony: „Mamo, nie pozostawiaj mnie tu samego! mamo, ja tu umrę sam, opuszczony! mamo, nie jedź do Pesztu, nie przywoź nam stamtąd cholery“! I serce staruszki lituje się nad biednym, bezradnym starem dzieckiem i odkłada wyjazd. „Jutro, pojutrze“!... zawsze sobie powtarza.

Tak opowiada prorocza wyobraźnia chorego poety.

A co opowiada mu o owej drugiej kobiecie, której portret nie schodzi nigdy z jego piersi, portret wyjmowany ile razy sam pozostanie w pokoju, by wpatrywać się weń długo, długo!

Czy i ona myśli też o nim? Czy wie już, co w nim utraciła? Czy wie już, że prócz niego nikt jej nie kochał prawdziwie?... Ona chciałaby do niego przyjechać... I przyjedzie też niezawodnie; ale wówczas już będzie za późno.

Chory niezawsze przykuty jest do łóżka. Czasami bywają dni, w których może wstawać i pracować nad wykończeniem naszkicowanego obrazu.

To wewnątrz wiejskiego dworku pełnego ciszy i pogody. Dokoła stół obsiadła rodzina. Jedna tylko postać nie ukończona jeszcze: jego własna... Nocą zaś nadchodzą go wielkie myśli, które dyktuje spisującemu je majstrowi.

I oto ten, którego tylu kochało, ten tak samotny, odchodzi teraz ze świata.

Ale nie... Pewnego słonecznego popołudnia wchodzi z rozjaśnioną twarzą stary gospodarz, aby swego pupila przygotować na przyjemną niespodziankę i dopomódz mu przywdziać lepsze suknie, bo przy malowaniu nosił zużyte.

— Wiedziałem, że ta jedna przybędzie.

Ale któż jest ta jedna?

Na licu Kolomana rozkwitły jeszcze żywiej róże śmiertelnej choroby. Któraż z oczekiwanych przybyła wreszcie?

— To mi dopiero kobieta co w takie czasy nie lęka się przyjechać do Pesztu dotkniętego zarazą, aby odwiedzić kochanego chorego!

Któraż to? Matka czy dawny ideał?

Pukają: czy wolno? a potem otwierają się drzwi. I dwie naraz twarze, dwie nawet, nie jedna, uśmiechnione i pełne współczucia, zagładają przezedrzwi.

To pani Mateuszowa Toth i córka jej Erszika.

Ach! nie matka, nie ideał poety: to dawna

służąca rodziny, żona i córka nieokrzesanego wieśniaka!

Pani Sara biegnie z całą serdecznością pocieszającą chorych do Kolomana i ujmuje przeczyste jego dłonie w swoje zdrowe, silne ręce.

— Aj, patrzcież państwo! Proszę ja kogo! Czytamy w gazetach, żeś pan niebezpiecznie chory, a tu przecież wyglądasz pan jak świeżo zerwana róża! „Kobieto, zabieraj-no się zaraz, powiedział mi pan mój, i przywieź mi go z tej zarażonej stolicy“. No, Bogu dzięki, żeśmy pana odszukały. Nieprawdaż, że nic panu nie jest?..

I przycisnęła Kolomana do swej piersi serdecznym, macierzyńskim uściskiem. Cóż mu jeszcze być miało!

— Tak, a teraz uściśnij pan i tę dziewczynę! Tak, to ładnie! Przywiozłam ją, aby mi dopomogła zabrać pana, gdyby się mnie samej nie udało. Bośmy tu przyjechały, aby zabrać pana. I majstra Tseresnyes'a zabierzemy z sobą, zamkniemy dom i nie pozostawimy tu nikogo, dopóki niebezpieczeństwo nie minie. Pana zaś, kochany panie Kolomanie, nawet i wtedy nie puścimy od siebie. Pan pozostaniesz u nas... Zobaczysz jak tam przyjdiesz do zdrowia. Jak wyzdrowiejesz na świeżem mleku, na wonnym miodzie i czystem powietrzu!... A przytem będziesz u nas miłowany... Dostaniesz pan śliczne cichut-

kie mieszkanie, gdzie będziesz mógł malować owe przesliczne obrazy, które tak przemawiają do człowieka, i pisać owe piękne swoje wiersze... Tam ptak nawet w powietrzu nie zamąci tobie ciszy. Wszak zgoda, jedziesz pan z nami?

Koloman wstrząsnął smutnie piękną, brzemieną, myślami głową, ale mówić nie mógł: serce jego było nadto ściśnione.

— Przemówże ty do niego, dziecko! poproś go, może prędzej posłucha co ty mu powiesz.

Dziewczę wiejskie, postać—same życie, twarz—skromność wcielona, rzuciło się z głębokim uczuciem Kolomanowi na szyję. Mógł słyszeć zdrowe tętno jej serca. Dziewczę obejmują go ramionami, mówiło:

— Bądź naszym bratem!

Dusza Kolomana wyzwoliła się z cielesnej słabości. Miasto łez zabłysnął mu w oku uśmiech rzewny. Ucałował uroczyście czoło dziewczęcia.

— Niech cię Bóg błogosławi za twą dobroć, piękna, najmilsza siostrzyczko! za to żeś mię przyjęła za brata. Twoje to słowo było mi ostatnią na tej ziemi pociechą. Ile we mnie jest duszy, tyle jej odchodzi z wami i zawsze wśród was pozostanie. Znajdziesz mnie pośród swych kwiatów, kiedy przekwitną, w liśoiu drzewa kiedy opadnie; posłyszysz mnie w dźwięku nieszpornego dzwonu, kiedy przebrzmi w powietrzu; a ilekroć pomyślisz o mnie, stanę zawsze przed

tobą. Tu na tym obrazie wymaluję twarz moją pośród was a wtedy będę już na zawsze *w domu*... Ale złamane ciało moje pozostanie na tem miejscu, a i tu nie pozostanie już długo.

Dziewczę odzyskało pewność siebie, nie dało się odstraszyć tak łatwo.

— Widzisz pan, teraz jesteśmy tacy sami w tych czasach okropnych. Brata mego Pisty nie ma również w domu.

— Gdzie on?

— Wzięto go do wojska i posłano do Galicyi. Teraz w tej okropnej zawierusze, która tu u nas powstała, powoływaliśmy go do domu, ale pisze, że przybyć nie może: sztyldwachowi nie wolno zejść z warty.

— Widzisz kochana, dobra siostrzyczko, ja także jestem takim bojownikiem; i ja stoję na posterunku, na najniebezpieczniejszym posterunku. I mnie nie wolno zejść z warty. Bóg dopomóż już bratu twemu i przyprowadzi go do was, a i mnie doprowadzi gdzieś także, i będziemy wszyscy szczęśliwi, jak na to zasługujemy.

Tu pani Sara nie mogła się powstrzymać od głośnego łkania, poczem majster Tseresnyes zwrócił jej uwagę, że płacz drażni tylko chorego, bo tego rodzaju chorzy są uparci i łatwo się irytują. Jeśli się ich do czego nagli, to złe ich pogarsza jeszcze.

A przecież pani Sara próbowała raz jeszcze przekonać Kolomana. Opowiadała mu, jak wygodne przygotowała dla niego siedzenie na wozie z licznych poduszek i miękkiego potrawu; będą go wieźli tak ostrożnie jak zerwane winogrona; dadzą mu pić świeżą serwatkę: tylu już chorych kuracya taka wyleczyła zupełnie, tak, że dożyli późnego wieku.

Koloman na wszystko wstrząsał przecząco głową.

— Boże mój drogi!—westchnęła pani Sara,—kiedym cię maleńkiem dzieckiem, paniczku, nosiła na rękach, jakież wtedy było z ciebie dobre dziecko!

A kiedy zobaczyła w końcu, że z ničem odejść jej trzeba, pożegnała się ona i Erszika z Kolomanem, lecz w kuchni zatrzymały się jeszcze. Ponieważ przygotowana była i na to, że Koloman nie da się namówić do pojechania z niemi, przywiozła więc cały zapas najdoskońalszych rzeczy: jarzyny, świeże masło, jaja, suszone owoce, wszystko to wyszło na jaw z woza, czego z powodu cholery nie można było dostać w Peszcie. Pani Sara sama przypasała fartuch i zabrała się do kucharstwa, pozabijała kurczęta, pokazała służącej jak z tego przyrządzać należy delikatną potrawkę, jaką przyzwyczajony był młody panicz jadać w domu. Rozmawiały z sobą cicho, aby w pokoju nie posłyszano rozmowy;

chory wiedzieć nie powinien, że one są tu jeszcze. Dopiero kiedy stara służąca wyniosła z pokoju Kolomana talerze i powiedziała, że chory z wielkim apetytem zjadł wieczerzę, a ze smacznej potrawy prawie nic nie pozostawił, wtedy obie kobiety siadły na wóz i zobowiązały jeszcze majstra na wszystko aby im donosił o stanie zdrowia Kolomana, służącą zaś napominały, aby sos do potrawy nigdy nie był zbyt gęsty...

Tymczasem żniwo cholery szło nieprzerwanie, skoszone zaś pokosy można było widzieć na trzech cmentarzach. Trzy te cmentarze leżały na Wacowskim, na Kerepeckim trakcie i na Francztaǳie.

W chorobie Kolomana zaszło widoczne polepszenie: — zwiastun oswobodzenia. Cierpiący, w takiej pauzie, doznaje uczucia jak gdyby zupełnie przyszedł do zdrowia. Bolesci ustają, pierś swobodnie oddycha, może wstać i dąży do świeżego powietrza. Dobroczynny aniele, przybierasz maskę życia śmierć niosąc z sobą!

Ale Koloman był filozofem i przyrodnikiem. Jego nie mógł zwieść anioł śmierci. Wiedział on bardzo dobrze, iż to jest początek końca. Od dawna przygotowany był na tę chwilę. Dzieła swoje pokończył wszystkie: nic nie zostawiał

w połowie dokonanego; prace literackie przejrzał jeszcze i poprawił, wielkie obrazy wykończył ostatniem pociągnięciem pędzla, a w końcu rzekł do majstra Tseresnyes'a:

— No, teraz pójdziemy poszukać mieszkania...

Szukać mieszkania? gdzie?..

Podówczas były piękne dni letnie, z długim, cichym, słonecznym zmrokiem. Koloman ubrał się i wsparty na ramieniu gospodarza poszedł szukać dla siebie mieszkania. Stara sługa szła za nimi.

Przeszli wzdłuż całą długą ulicą Wiejską. Gdzie się kończą, szeregi domów tam szeroko roztacza się cmentarz Wacowski. Weszli na cmentarz i obeszl go dokoła. Wspaniałe pomniki stoją tam rzędami, starannie utrzymane mogiłki, tablice pamiątkowe. Kiedy obeszl cały cmentarz ozwał się Koloman do gospodarza:

— To mieszkanie dla mnie jest za wspaniałe.

I powrócili do domu. Koloman spał tej nocy spokojnie do rana, jak gdyby był najzdrowszym.

— Chodźmy gdzieindziej poszukać mieszkania, — rzekł do gospodarza.

I poszli znów wszyscy trójje razem na cmentarz Kerepeski, brnąc przez ruchome zasy piasku. Tam wprawdzie nie było ani wspaniałości,

ani chłodnego cienia. Ale Kolomanowi i ta kwartera się nie podobała.

— To mieszkanie za blisko od miasta.

I powrócili znów do domu.

Trzeciego dnia twarz chorego różowsza była niż zwykle, oczy świeciły się i każdy nerw, zdawał rwać się do nowego życia.

— Chodźmy szukać mieszkania.

Tego popołudnia poprowadził swoich towarzyszy daleko przez miasto ku omentarzowi na Francsztadzie. Tu nakoniec jest dobre, ciche mieszkanie.

W pośrodku Francsztadzkiego omentarza, wznosił się pagórek, a na nim stał wielki krzyż kamienny.

— Tu dobre miejsce, — przemówił Koloman — ale i to jeszcze za blisko od miasta.

I odliczył dwieście kroków od kamiennego krzyża na wschód, aż tuż pod mur omentarny; tam się zatrzymał.

— Tu będzie bardzo dobrze; — ale i to bardzo blisko jeszcze...

Potem kazał zawołać do siebie grabarza i zakupił od niego kawałek roli w tem miejscu na grób, i zaraz zapłacił umówioną cenę.

Teraz wrócili wszyscy do kamiennego krzyża, poeta usiadł na jego cokule, rzemieślnik i służąca zajęli miejsce u stóp jego.

Stolica w tem zagłębieniu rozciągała się przed nimi w dali, topiąc w mgle złotych pyłków swe niejasne zarysy. Patrzeli na nie i długo milczeli.

— Dlaczego powiedziałeś pan — przerwał majster Tseresnyes milczenie, — że i tu jeszcze za blisko?

— Dlatego, że nie chcę, ażeby sen mi maćcono, — odpowiedział Koloman.

— Ależ, panie, któż mógłby przerywać nasz spoczynek w tem tak cichem ustronnem miejscu?

— Kto? — wymówił Koloman i podniósł twarz rozplamioną ku blademu błękitowi nieba. — Ci, którzy się dopiero narodzą. Tutaj miejsce to w przyszłości będzie miastem, i prochy nasze zmieszają z czasem z wapnem pałaców... Tak, tak to będzie. Wielkie te, puste dziś wydmy piaszczyste dokoła, zabudują się szeregami pałaców. Kominy setki fabryk i warsztatów przemysłowych, czarny całun dymu zawieszają nam nad głowami a huk ich maszyny będzie tętnem serca ziemi, niedającym nam zasnąć spokojnie. Zakute w kamień życie isć będzie tu wszędy, i na grobach naszych staną długie ulic sznury. Posiane ziarno w cedr z czasem wzrośnie! Długą przystań Dunaju przyozdobią książęce pałace a pośród nich staną gmachy poświęcone nauce, sztuce, przemysłowi, handlowi.

Na placach publicznych wzniosą się spiżowe praocjów pomniki, mówiące światu o przeszłości naszej. Stałe mosty z kamienia, z żelaza, wieczyste budowy obejmą swemi ramionami zwierciadło królewskiego Dunaju. Rzekę naszą pokryją legiony parowców, które dziś znamy ledwo z imienia. U miasta naszego schodzić się będą długie linie kolei żelaznych, o których dziś za ledwie daleką mowi zagranica. I będziemy mieli lud, który się będzie cieszył swą ojczyzną, który jej pracą swą będzie zaszczyt przynosił; będziemy mieli wielkich ludzi, których świat będzie podziwiał; będziemy mieli bohaterów, sławnych duchem mocarzy, w których odrodzi się naród na nowo; będziemy mieli życie, któremu to miasto okaże się za ciasnym łożyskiem; będziemy narodem, jakim nie byliśmy nigdy jeszcze! Poeta przyszłych pokoleń nie w wyobraźni czerpać będzie treść do utworów ale spisywać tylko po prostu rzeczywistość, jeśli zechce okryć chwałą ojczyznę. Patrzajcie tam wznoszą się o złotej mgłę długie pałaców szeregi — jaśniejące postacie — półbogi — Panteon — Akademia — biegnące na pole zwycięstwa wojska narodowe z powiewającymi sztandary — uwieńczone posągami — światłość wieków — ludów wolność!...

— O, Boże ty mój, bądź miłościw biednemu! — błagała półgłosem stara służąca. Jakież on ma okropne widziała w maglinie!

— Milcz, kobieto! — skinął na nią ręką rzemieślnik. — To prorok przemawia!... On widzi wszystko o czem mówi!...

Kiedy wyszli z cmentarza, powiedział Kolo-man, że tak mu lekko jak gdyby nie czuł zupełnie ziemi pod stopami. Nie potrzebował opierać się na ramieniu przewodnika. Wyprzedzał go nawet.

Kiedy zaś stanęli na ulicy Wiejskiej, aby odpocząć, siadł na odłamie kamienia, i wzrok jego pobiegł rozmarzony poprzez długą, szeroką ulicę, pustą w tej chwili i cichą.

— Patrzcie — mówił, a twarz mu płonęła, — ulica jak długa pełna jest ludu; niby wielka czarna falująca rzeka tak się porusza tłum głów stutysięczny. Co tam płynie w pośrodku tej fali? To katafalk. Co dokoła niego powiewa? Trójbarwne sztandary, owinięte krepą. Po obu stronach okna i balkony pałaców pełne są uroczych twarzyczek. Co to spada? Deszcz? Nie: lzy... Co niosą tam w blasku migocących pochodni? To naród prosty swoich wielkich ludzi przenosi do Panteonu. Co tam śpiewa ten tłum stutysięczny? „Nie ma go tu, bo już zmartwychpowstał“! Czy nie słyszycie tego chorału? Czy nie widzicie tego katafalku? Patrzcie jak się wszystko wznosi ku niebu? Domy, tłum ludzi, duchy? Czy widzicie?...

..... Na całej długiej ulicy Wiejskiej kręcił

jakiś powroźnik sznury, zwolna w tył się cofając, a najpiękniejszym pałacem na całej przestrzeni była gospoda „pod dwoma pistoletami“.

Nazajutrz nie mógł się Koloman podnieść z łóżka. Ciężar ciała ciągnął go ku ziemi, nerwy miał wyczerpane.

I z pielęgnującymi go już nie rozmawiał; przez całe przedpołudnie leżał milczący. Po południu dopiero począł się niepokoić. Co godzina pytał czy nikt nie przychodził? Zdawało się, że kogoś oczekiwał.

„Nikt“...

Zachodzące słońce poczęło już płomiennymi promieniami wpadać przez okno, tak, że trzeba było pozapuszozać firanki.

Koloman popatrzył błagalnym wzrokiem na okno. Zrozumiano niema jego prośbę, odsunięto firankę i otwarto okno, a żeby świeże powietrze i ciepłe promienie słońca przedrzeć się mogły do pokoju.

W tym słonecznym promieniu twarz jego wyglądała niby złocony alabaster.

Teraz puka ktoś we drzwi od ulicy. Wychodzi służąca zobaczyć kto to taki.

Listowy przyniósł pismo do pana Kolomana Jenői'ego. Koloman wziął go w rękę, a kiedy

na adresie zobaczył znane pismo, nadziemski uśmiech zadrział na jego twarzy.

Skinął, aby mu pieczęć złamano.

Otwarty list wziął w obie ręce i począł czytać:

„Drogi mój, wiecznie ukochany Kolomanie!

Jeżeli możesz wybaczyć mi cierpienia, które ci sprawiłam, to będziesz dla mnie miłosierniejszym niż Bóg, który mnie za grzechy moje tak ciężko karze. Pozostaw mi nadzieję, że mogę naprawić jeszcze własną winę. Odrzuciłam od siebie wszystko, co kiedykolwiek należało do mnie, ażebym mogła odzyskać ciebie. Jedyną modlitwą moją jest prośba o twoje szczęście, a jeżeli ja w czemkolwiek przyczynić się do tego szczęścia twego mogę, będzie to jedynem mojem na ziemi zbawieniem. Duszę moją dręczy wiadomość żeś chory. Spieszę do ciebie; panująca wszakże zaraza powstrzymuje mnie, zatrzymana jestem przez kwarantannę. List ten posyłam naprzód, niech mnie uprzedzi i powie, jak cię kocham, jak bardzo cierpię! O! czekaj na mnie i przyjmij mnie przebaczeniem.

Twoja na zawsze

Dorota“.

Promień zachodzącego słońca padł na otwarty list a stamtąd odbity, na twarz Kolomana.

Dopóki nie odczytał do końca słodkich wyrazów, niebiański uśmiech opromieniał gloriolą otoczone jego oblicze... Potem zamknął oczy... I już nie otworzył ich więcej! Uśmiech ten wszakże przywarł już na wieki do jego twarzy...

BYŁ -- NIEMA GO — BĘDZIE.

Anioł-tępiciel ludów woiąż jeszcze wznosił oburącz kosę, kładąc dokoła ścięte trawy. Jęk dzwonów nie milknął ani na chwilę w mieście przez dzień cały.

Majster Tseresnyes stał ze zmartwiałą twarzą we drzwiach domu. Powrócił był właśnie z protestanckiego probostwa, gdzie go zawiadomiono, że jedyny pozostały pastor sam leży w łóżku i kto wie czy nie umrze do wieczora.

Cóż ma powiedzieć swemu umarłemu tam w domu? Kto go pochowa?

Stał przed domem, z kapeluszem pod pachą, jak go zapomniał jeszcze włożyć na głowę na probostwie; z gołą głową przeszedł przez ulice, a teraz woiąż poglądał nieruchomemi oczyma na nędzne domki z omszałymi połatanymi dachami, stojące naprzeciw. Ale z nich nie mógł zaczerpnąć żadnej porady. W głowie szalało mu całe morze i huczały wszystkie dzwony.

Nagle głos jakiś głęboki wyrwał go z ponurego zamyślenia, a kiedy podniósł oczy, stał przed nim jakiś wysoki mężczyzna w długim cudzoziemskiego kroju ubiorze, z głową naprzód pochyloną, jak gdyby szukał czegoś na ziemi, z twarzą o skórze tak brunatnej i wygarbowanej, jak pargamin, z brodą rozszczepioną w widły.

— Czy w tym domu mieszka Koloman Jenöi? — spytał cudzoziemiec.

Majster Tseresnyes zmierzył naprzód pytającego zdumionym wzrokiem, jak gdyby się dziwił, jakim sposobem taka jakaś cudzoziemska postać może mówić po węgiersku? Potem zdumiał się zadaniem mu pytaniem: jakim sposobem może ktoś pytać, czy tu mieszka Koloman Jenöi? W końcu zaś spytał nieznanego.

— Kto pan jesteś i czemu pytasz o Kolomana Jenöi'ego?

Nieznanomy odpowiedział podziemnym basowym głosem:

— Nazywam się Paweł Barko. Szukam zaś Kolomana Jenöi'ego z powodu ślubu, który uczyniliśmy sobie przed piętnastu laty, że tego dnia właśnie, zjedziemy się w Peszcie, pięciu nas młodych przyjaciół. Ja przybyłem z Tybetu...

Szewc na te słowa sięgnął ręką do głowy, ażeby zdjąć kapelusz, nie znalazłszy go wszakże na łysej czaszce, schylił się do ręki przybysza, ucałował ją a potem powiedział:

— *Salem alejkum!* Bóg cię sprowadza, ojczy, przybywasz nam jak z nieba zesłany pasterz dusz!... Koloman Jenöi mieszka tutaj i oczekuje na ciebie.

I wprowadził przybysza do tylnego pokoiku, gdzie go czekał przyjaciel, nakryty pięknym jedwabnym całunem.

W twarzy Pawła Barka nie drgnął ani rys jeden. Przystąpił do trumny, złożył obie ręce i stał tak nieruchomy z oczyma utkwionemi w twarz alabastrową.

Kiedy stał tak długo, ani jednym nie odzwawszy się słowem, wtedy majster Tseresnyes powiedział, że idzie po kamień, który zmarły już sobie zamówił. Przybysz niechaj tymczasem pozostanie ze zmarłym.

Ten nie odrzekł ani słowa.

Majster Tseresnyes odszedł, i powrócił do domu, przybyłego zaś zastał na tem samym miejscu, tak samo milczącego, tak samo nieruchomego jak go opuścił.

— Mój ojczy, — przemówił znów do niego — kamień grobowy gotów, karawan jest przed domem, z rozkazu władz trzeba pospieszyć się z pogrzebem, możemy iść...

Podróżnik z dalekich krajów nie wyrzekłszy ani słowa, usunął się, aby zrobić miejsce karawaniarzom, którzy zabili wieko trumny, a i wtedy jeszcze wciąż patrzył w to samo miejsce jakby

chciał poprzez trumienne wieko choć raz zobaczyć marmurowe przyjaciela oblicze.

Kiedy wynoszono trumnę, majster Tseresnyes przyniósł krepę i przewiązał nią sobie kapelusz, kurdyjską, wysoką czapkę Pawła Barka; terminatorowi swemu Miszce i starej służącej dał także po kawale.

Nie mógł ostatniej ozi wyrzucić z wielkim przepychem umarłemu, ale to pewna, że cześć ta była szczerą.

Kiedy trumnę postawiono na karawanie, kazał na nim majster Tseresnyes złożyć również kamień grobowy. Była to gładka czworokątna tafła marmurowa. Na jednej jej stronie wykute były słowa: „Był — niema go — będzie“, na drugiej imię i nazwisko zmarłego i daty.

Majster Tseresnyes spytał Pawła Barka czy tak dobrze będzie? Ten pokręcił w milczeniu głową, a majster już wiedział z Decsy'ego „Osmanografii“, że u ludów Wschodu przeczący znak głową znaczy tyle co: „Dobrze“.

Potem orszak pogrzebowy ruszył w pochód. Cały składał się z czterech osób. Majster Tseresnyes zastępował kantora, terminator Miszka stanowił chór, Paweł Barko szedł jako ksiądz, a stara służąca zastępowała orszak płaczący.

A majster Tseresnyes w połączeniu z terminatorem Miszką śpiewał pięknie jak najbieglejszy kantor tę pieśń pocieszającą:

„Nowego życia łśni mi brzask,
Już mnie otoczył raję blask
I źródło na mnie spływa łask“...

Tak opuszczał największy poeta narodu stolicę swojej ojczyzny... Ulice były puste, nikt nie gonił wzrokiem za nimi. Każdy spieszył zasuwając u okien franki skoro posłyszał tylko zbliżający się śpiew żałobny, a ci, którzy spotkali orszak pogrzebowy, zdala skręcali coprędzej w boczną ulicę, by go wyminąć. Śmierć była podówczas straszliwym, potężnym panem.

Zaniesiono trumnę na cmentarz na Franczstadzie, tam czekało na nią, po za krzyżem na skraju zagrody u muru, ciche ustronie, które sobie sam wybrał umarły. Żałobnicy spuścili do grobu drogi ciężar i coprędzej odeszli; czekało ich dziś jeszcze pracy niemało.

I grabarz kopał już grób inny, i rad był bardzo, kiedy odprowadzający na wieczny spoczynek zmarłego wzięli na siebie zasypianie mogiły.

Pierwej wszakże należało się pomodlić...

Paweł Barko wetknął w ziemię przed sobą bambusowy kij swój, powiesił na nim wysoką czapkę i chrześcijańskim obyczajem odmówił głośno „Ojcie nasz“.

Po skończonej modlitwie zaśpiewali mężczyzna i chłopiec pieśń pożegnania nad grobem:

„Spoczywaj w Panu!
On tarczą ci.
W ciszy kurhanu
Słodko się śpi.
Spoczywaj w Panu!
Szczęśliwys ty!“

Przy drugiej zwrotce przyłączył się już do ich śpiewu złamany głos starej służącej i grzmiący bas Pawła Barka:

„Gdzie lza nie ciemi
Wzroku — gdzie kłam,
Ani ból ziemi
Nieznany — tam
Śmierć cię prowadzi
Do szczęścia bram“.

Przebrzmiały ponure, poważne tony pieśni w ciszy piaszczystej pustyni, i zastąpił je tajemniczy łoskot grudek ziemi sypanych na trumnę.

Kiedy mogiła była już gotową, ozwał się majster Tseresnyes do Barka:

— Panie, dopomóż mi kamień położyć. Wy zaś, kobieto i chłopcze, idźcie do domu!

I majster Tseresnyes złożył na grobie płytę marmurową, ale nie tak jak to przy innych grobach bywa we zwyczaju, imieniem na zewnątrz, godłem ku wewnątrz obróciwszy, ale tak, że nazwisko było na spodzie, w ziemi, na wierzchu zaś pozostały słowa: „Był — niema go — będzie!“

Paweł Barko bardzo gwałtownie wstrząsnął kilkakroć głową, na sposób wschodni wyrażając tem poruszeniem, że tak będzie bardzo dobrze..

Kiedy i tego już dopełniono, wyjął Barko z za pasa kompas, położył go na powierzchni grobowca, a potem zmierzył bambusową laską, ile jest łokci od tego kamienia do wielkiego krzyża na wzgórku. Odśrubował gałkę swego bambusa, wyjął z jego wydrążenia pergamin chiński, i napisał na nim niebieskim ołówkiem jakieś nieznanne znaczki, poczem zwinął znów zwój ten i wsunął napowrót w wydrążenie kija...

A potem długo jeszcze stał ze złożonemi rękoma na cokole wielkiego krzyża i poglądał w dół na rozciągające się u stóp jego miasto.

— Panie, co widzisz przed sobą? — spytał go majster Tseresnyes kiedy już sporo upłynęło czasu w milczeniu.

— Zwaliska Niniwy! — odpowiedział podróżny.

Ach, z tego samego miejsca, ten, który spoczywa tam pod tym czworogrannym kamieniem, przed trzema dniami oglądał wznoszący się Paryż!

Poszli dalej.

— Gdzież teraz pójdziemy? — spytał majster Tseresnyes uczonego podróżnika.

— Ty, dobry człowieku, pójdiesz do domu

na ulicę Węgierską, ja zaś także do domu, do Hlassa, na podnóże góry Dawalagiry.

A potem szli w milczeniu aż do miasta, poprzez długą ulicę Wiejską, przez bramę Keeske-metską; tu na rogu Węgierskiej ulicy zatrzymali się obadwaj jak gdyby chcieli się rozstać. Paweł Barko złożył obie dłonie, blisko siebie, potem wyciągnął je ku majstrowi Tseresnyesowi. Ten wiedział, że to oznacza na Wschodzie tyle co podanie ręki dla Europejczyka; trzeba teraz, by drugi złożył swoje dłonie tak samo i wsunął je między dłonie tamtego.

„Salem!”

W tej chwili pożegnania wszakże zdobył się na odwagę i zadał słynnemu podróżnikowi pytanie:

— A więc po za obrębem naszej ojczyzny istnieją Węgrzy jeszcze?

Uczony namyślał się długo, potem odpowiedział:

— Nie znalazłem ich dotąd, ale wierzę, że są...

I zamiast rozstać się z sobą, podróżnik towarzyszył dalej rzemieślnikowi na ulicę Węgierską aż do drzwi jego domu.

Tu podał mu majster Tseresnyes rękę na pożegnanie.

I poznał teraz znów podróżny, że to podanie ręki było znakiem, po którym poznają się

wzajem wolnomularze. Rzemieślnik przy ściśnięciu dłoni zagiął środkowy palec ręki.

Teraz z kolei spytał podróżnik:

— A w obrębie Węgier sąż jeszcze Węgrzy?

Rzemieślnik myślał długo.

— Nie znajduję ich; ale wierzę mocno, że będą...

"Salem!"

Z tem odszedł jeden, a pozostał drugi.

SZUKAJĄ GO, ALE NIE ZNAJDUJĄ.

Jakże pustem stało się odtąd małe mieszkanie na ulicy Węgierskiej! Poczciwy stary gospodarz przez dzień cały wynajduje sobie jakieś zajęcie w odległym pokoiku, gdzie przemieszkiwał poeta. Najmniejszego przedmiotu nie wolno tu ruszyć z miejsca. Pióro leży na stole, pendzle porozkładane są przy sztalugach. Nikt tego tknąć nie może.

A niezadługo nie będzie już nikogo, komu by potrzeba było zakazywać, ażeby niczego tu nie tykał.

Nazajutrz zaraz po pogrzebie przybył ze wsi ojczym terminatora Miszki, i powiedział, że bierze z sobą chłopaka do domu. Nicpoń to chłopak, coprawda, gałgan, ladaco i w domu tylko będzie im ciężarem, ale w tak niebezpiecznych czasach, w taką cholera nie można go prze-

oież zastawiać w mieście, chooiaż to pasierb tylko.

W kilka dni później przybyła ze wsi starsza jeszcze siostra starej służącej osiołkiem zaprzężonym w taczki. Jest to biedna żebraczka, która sama nie ma co włożyć w gębę i mieszka gdzieś na końcu wioski w małej lepiance. Ale tam jest jakoś spokojniej przecież, ludzie nie mrą przy- najmniej, i dla tego też zabiera siostrę z zara- żonego miasta z sobą, w imię Boże.

Majster Tseresnyes przeto pozostał sam w swoim domu rozmawia, teraz tylko z pają- kami, które tam w kącie pokoju snują śmiertelne całuny dla much schwyconych...

— Widzicie! po takiego urwisza chłopaka przyjechał ojczym i zabrał go z sobą. Po starą służącą przybyła siostra żebraczka i zabrała ją z miasta. Po niego tylko, który był jednym na kraj cały, do niego tylko nikt przybyć nie mógł, ani matka, ani kochająca kobieta. A przecież on był tak wielkim! A tamci są tak możni!

Czerw zamilkł, pająki ustały w pracy, zasta- nawiając się nad tem...

Do niego tylko nikt nie przybył!

Całymi dniami majster Tseresnyes siedzi w tym pokoju, i odczytuje bez końca poezye Kolomana, i zagłębia się w nich tak, że ani wie niemal czy jest jeszcze na świecie.

Nie spostrzega też wcale, że się drzwi otwie-

rają i wchodzi jakaś pani w żałobnych sukniach, która siada naprzeciw niego na kanapie. Pani ta widocznie należy do klas uprzywilejowanych, i gdyby nie to, że boleść tak twarz jej zmieniła, majster byłby ją może poznał od razu. Ale zdumiony, jak człowiek przebudzony ze snu, słyszy tylko jak mu zadaje pytanie:

— Gdzie syn mój Koloman?

— W niebie, wielmożna pani.

— Ufam miłosierdziu bożemu, że tam jest — wymówiła kobieta głucho z tłumioną zgryzotą. Szukam jego grobu. Zaprowadź mnie pan...

Na te słowa zbudził się już całkowicie majster Tseresnyes z zamyślenia stanął przed kobietą i odrzekł patrząc jej w twarz zuchwale:

— Nie! ja tam nie zaprowadzę pani.

— Nie? — spytała pani Jenöi, patrząc nań zdziwiona.

— Nie!

Matrona była jeszcze dumna po dawnemu; podniosła się z miejsca i rzekła:

— Dobrze, to innych o to spytam!

I oddaliła się, nie powiedziawszy nawet opiekunowi swego dziecka prostego: „Bóg zapłać!”

Poszła dowiedzieć się do parafii.

Duchowny protestancki wprawdzie przyszedł był już napowrót do zdrowia, ale zgoła nie wiedział o pochowaniu jakiegoś Kolomana Jenöi'ego.

Być może, iż go pogrzebano według katolickiego obrządku.

Staruszka nataroczywie dowiadywała się we wszystkich parafiach miasta, ale nazwiska Kolomana Jenöiego nie można było znaleźć w żadnej z ksiąg pogrzebowych.

Wtedy zabłysł jej słaby promyczek nadziei: A jeśli Koloman nie umarł, tylko wyjechał gdzieś na wieś?... Wieść o jego śmierci, może być poprostu kaczką dziennikarską. Alboż to raz gazety uśmiercały już ludzi, którzy następnie dożyli późnego wieku?

Udała się zatem do biura pogrzebowego. Tam dowiedziała się tylko tyle, że młodzieniec, który zamieszkiwał u majstra Tseresnyesa, rzeczywiście pogrzebionym został; gdzie go jednak pochowano, tego niepodobna wskazać, ludzie bowiem którzy wówczas prowadzili karawan do tej pory już sami umarli. Toć to już tak dawno! Prawie całe dwa tygodnie!

Z kolei biedna pani Jenöi obeszła wszystkie omentarze i zasięgała informacyi u wszystkich grabarzy. Ci wszakże nie mogli jej na żaden trop naprowadzić. Któż może wiedzieć gdzie podczas szalonej burzy padł jaki kłós świeżo zżętych pokosów, kiedy grobowce i krzyże nie zachowały tego imienia?

Grobowce zaś też nie wspomniały o tem imieniu.

Majster Tseresnyes siedząc u siebie w małym pokoiku, mówił z gorzką radością do pająków i czerwi:

— Teraz go szuka!... Będzie go widziała!... Tam go nie znajdzie... Powróci ona i płakać tu będzie...

W tymże czasie otrzymał majster Tseresnyes również liścik elegancki, zewnątrz i wewnątrz opatrzony szerokim żalobnym brzegiem.

List ten pisała hrabina Dorota do rzemieślnika, którego tytułowała „dobrym panem!“ i prosiła bardzo pokornie, aby zechciał poszukać, czy w pozostałości po Kolomanie Jenöi nie znajduje się czasem portret kobiety, malowany na słoniowej kości i aby w takim razie zechciał takowy jej przysłać. Gotowa jest odkupić go za drogie nawet pieniądze.

— I ta go szuka! — powiedział majster do niemych współlokatorów! — Niechaj poczeka!

Odpisał wszakże hrabinie. Niechaj się nie troszczy o miniaturę na słoniowej kości. Leży ona na piersi nieboszczyka w mogile, w gębi sześciu stóp pod ziemią, a z nią razem zeschę niezapominajki, związane białą wstążeczką i list, na którym zagasło jego ostatnie spojrzenie... Wszystko to leży razem na sercu poety, i razem z nim zasypia snem spokoju, snem szczęśliwym. Hrabina więc może być spokojną.

Gdzie wszakże leży to wszystko, tego i jej nie powiedział...

Niebawem powróciła staruszka.

Teraz nie przychodziła już tak dumnie, tak wyniośle — ale przeciwnie stanęła przed nim pokorna, uległa, błagająca.

— Kochany, dobry panie! Proszę cię, błagam, zaprowadź mnie na grób mego ukochanego Kolomana.

— Ja pani tam nie zaprowadzę.

— Panie, niema straszliwszego bólu nad ten, kiedy człowiek zapłakać nie może. Mnie łez zabrakło. Widzisz pan, że płakać nie mogę. Ale serce mi pęka...

— Wie o tem, i dobrze tak!

— Dopuszczasz się pan na mnie straszliwego okrucieństwa.

— Wiem... I chcę tak... Widziałem, jak on przez lata całe cierpiał; teraz już odpoczywa; teraz cierp pani! Widziałem, jak walczył z życiem; teraz pani walcz ze wspomnieniem o jego śmierci. Tu, pośród tych ścian nagich, on krew swoją oddawał po kropelce w okropnej, nadludzkiej pracy budzenia narodu. Przemawiał do głuchych i niemych! Teraz więc, czas taki przyjść musi, że lud cały szukać będzie jego grobu, a grób ten pozostanie głuchym i niemym. Ja do tego grobu nie zaprowadzę ani pani, ani ni-

kogo z dzisiejszego pokolenia, aby na jego popiołach nie mogli ludzie położyć zakutego w kamień kłamstwa. Syn przyszłych czasów, który godzien tego będzie, odnajdzie grób ten — o tośmy się postarali — i uczci jego prochy. Ale ja nie powiem nikomu gdzie on leży... Nie męcz mnie pani daremnie.

I z temi słowy majster Tseresnyes wyszedł do swego alkierzyka, zamknął drzwi za sobą i pozostawił babkę Kolomana samą.

Ale mimo to pani Jenöi nie po raz ostatni próbowała wydobyć z niego tajemnicę. W pewnych odstępach czasu pojawiała się znów u niego; sądziła że może kiedykolwiek uda jej się na lepszy humor jego trafić. Próbowała wszelkich sposobów. Przyrzekła mu znaczne sumy, groziła swoim gniewem, nawet nauczyła się wobec niego płakać. Ale wszystko to było daremnym wysiłkiem; ani pieniądze, ani gniew, ani łzy nie zdołały go odmienić.

Równocześnie staruszka robiła wszystko co się tylko dało, aby się dowiedzieć o miejscu wiecznego spoczynku Kolomana. Za pośrednictwem dzienników wzywała wszystkich, którzy mogli coś bliższego wiedzieć w tej mierze, przyrzekając za objaśnienie znaczną nagrodę. Ale wszystko to było daremne: stara służąca i terminator szewski nie czytali gazet i nie po-

wrócili już do Pesztu. Może i oni pomarli...
W tych czasach nie była to rzecz trudna!

Pani Jenői codziennie obchodziła wszystkie cmentarze od końca do końca i czytała po kolei napisy na wszystkich grobowcach, na najmniejszych nawet krzyżykach. Żaden z nich wszakże nie mówił jej o Kolomanie.

A jednak codziennie mijała go z dziesięć razy!

Z dziesięć razy czytała na zewnętrznej stronie płyty marmurowej te słowa: „Był — niema go — będzie“. Lecz słowa te nic jej nie powiedziały...

I na błędnych tych wędrówkach spotykała się czasami z kobietą w żałobnej odzieży, młodą jeszcze, na której pięknej twarzy boleść przyspieszała spustoszenia czasu. I ona szukała grobu, na którym nie było żadnego nazwiska!

Ilekróć kobiety te się spostrzegły, ustępowały sobie zawsze z drogi i wymijały wzajem, aby się nie spotkać.

I ona czytała kolejno napisy na wszystkich grobowcach kamiennych i małych drewnianych krzyżykach, i ona często przechodziła tuż obok marmurowej płyty i często czytała tajemnicze, prorocze słowa: „Był — niema go — będzie“... Ilekróć jednak przechodziła obok tej mogiły, która już wówczas piękną porośla murawą, szeptało jej zawsze serce, by zerwać jeden z tych

żółtych kwiatków, wyrastających na grobach i może będących niezapominajkami umarłych! I zazwyczaj przez chwilę myślała nad tem, kto to może być ten szczęśliwy, o którym mówi kamień, że „był — niema go — i będzie?” ...

KONIEC WALKI.

Proces Csolanów, we trzynaście lat od chwili wytoczenia go, a zatem o trzy lata dłużej jeszcze nad trwanie wojny trojańskiej, doczekał się nareszcie rozstrzygnięcia.

Areopag wydał mądry, obie strony zadawalniający, istnie salomonowy wyrok.

Zważywszy, że między obu stronami niema nieprzejednanej nienawiści, że wiarołomstwo udowodnionem nie zostało, że zgoła nie zachodzi jakiegokolwiek *impedimentum matrimonii*, małżeństwo przeto rozwiązaniem być nie może, żona obowiązana jest powrócić do małżonka, małżonek zaś obowiązany przyjąć ją w dom swój. Mianowicie *obowiązany jest małżonek* wedle wyraźnego brzmienia wyroku *wprowadzić w dom swój małżonkę z całą okazałością i całym przepychem, któryby odpowiadał jej stanowisku i na jaki tylko majątek jego pozwolić może.* Potem pokój do-

żywotni winien zapanować między ponownymi oblubieńcami.

Menelaus zatem dokładnie po latach trzy-nastu otrzymał napowrót swą Helenę.

Nawet pani Csolan nie była już niezadowolona z tego wyroku.

Istnieje straszliwa Nemezys dla pięknych kobiet, które nie postarały się zasłużyć na inny tytuł w życiu prócz tytułu „pięknej kobiety“. Nemezys ta orzeka, że prędzej czy później przyjsć musi czas, kiedy tytuł „pięknej“ stanie się zbytecznym. Niejedna piękna pani może się zmienić tak szybko — rok jeden często wystarozca — że wielbiciele jej pytają zdumieni: „Czy nie byłaś pani czasem chora?“ Rysy się przeciągają, zmieniają, co było uroczego w twarzy to się zamienia w nieforemność; kokieteryjne mruganie oczyma staje się nerwowem drganiem, kosmetyki, fałszywe zastępstwo naturalnych wdzięków, zalegają tualetę, lustro nie chce już kłamać, aż wreszcie sprzeniewierzający się kochanek ostatecznie rozbudza piękną kobietę ze snu dotychczasowego.

Katinkę do tej smutnej jawy zbudził nielitościwy żart Balvandy'ego.

Podówozas to spostrzegła, że jej piękność pozyna wychodzić z mody.

Zwykle uważa się to za wielkie okrucieństwo, jeżeli mężczyzna, aby się pomścić zabija

kochaną kobietę; aleó to zawsze jeszcze mióó. Daleko większem okrucieństwem jest opuszczenie jej tak, by odtąd stała się pósmiewiskiem kaźdego.

Pani Csollan mogła byó pewną, że co dwóch tak niedyskretnych ludzi jak Balvandy i Aszalyi ujęło w swoje ręce, niezadługo poszarpane na kawálki będzie krążyło po całym świecie.

Niebawem się teź przekonała, że i po ustaniu cholery wszyscy dom jej omijają starannie. Świat bowiem stroni raczej od ósmieszonej kobiety, niż od tej, która ma złą opinię.

Teraz już przeto nie miała nic przeciw temu, by wydany w sprawie jej wyrok sądowy za-
twierdziła najwyższa instancya. Była zmęczoną miastem, tęskniła do głosu owieczek.

Jedno chciała sobie zapewnić tylko, mianowicie by pan Csollan i na wsi również nie pozabawił ją tego zbytku, do którego nawykła. To więc zaznaczono wyraźnie w wyroku sądowym; wyznaczono tedy komisję, mającą odseparować majątek żony od majątku męża i zregulować wzajemne w tej kwestyi stosunki.

Pan Csollan poddał się wyrokowi z najgłębszem poszanowaniem praw i najżarliwszą ozią dla płci pięknej. Przybył, jak mu kazano, osobiście do Pesztu po swą małżonkę i przywiódł z sobą całą karawanę wozów, które miały zabrać meble pani do rodzinnej wioski po tam-

tej stronie Cisy. W Peszcie kupił dla niej wielką podróżną kareteę z kryształowemi szybami i srebrnemi klamkami u drzwiczek, do których dostawać się trzeba było po trzech stopniach; do tego powozu kazał wprzódz dwa najpiękniejsze rumaki z własnej stadniny domowego chowu. Dla siebie kupił najwykwintniejszy, jaki znalazł u tandeciarza frak, na ten frak włożył palto również tam zakupione; palto było prawie nowe, lecz widocznie należało do garbatego karła, albo też wyszło z rąk czeladnika krawieckiego, wkrótce potem oddanego do szpitala waryatów, poły bowiem były tak krótkie, że końce fraka z pod nich się zwieszały, kiedy tymczasem rękawy dochodziły Bertiemu do paznogi, tak, że siadając do stołu musiał je sobie zawijać, aby nie zmieść niemi noża i widelca. Nakoniec wybrał najwyższy jaki był tylko na żydowskim rynku cylinder!

Kiedy tak uzbrojony Berti Csollan ukazał się z wyponadowanymi włosami, namaszczonym wąsem, w rękawiozkach, wyglądał jeszcze niechlujniej, niż gdy był całkiem niemyty i nieuczesany.

Berti zajechał przytem przed dom swej połowicy w powozie, na którego koźle siedział stangret w białej peruce i trójgraniastym kapełuszu, z tyłu zaś stał murzyn w czerwonym fraku. Uzasadnione zachodzi podejrzenie, że

biała peruka zawdzięczała swe pochodzenie kudłom psa owczarskiego, murzyn zaś był niewątpliwie młodym cygankiem z twarzą uoharakteryzowaną szuwaksem.

Nakazane sądownie widzenie się po latach trzynastu godnem było szlachetnej pary.

Pani Csollan przyjęła przybywającego po nią małżonka w obecności swego adwokata, pana Borczha, co widocznie miało na celu, aby w kwestyi rozwinięcia okazałości, nakazanej mu sądowym wyrokiem rozciągnąć nad Berti Csollanem należyłą kontrolę.

Nie było też nic do zarzucenia w tej mierze.

Berti Csollan powitał panią najwytworniejszymi podskokami, z taką podrygującą uprzejmością, jak gdyby uczył się menueta u jakiego kaprała piechoty.

Katinka zaś przyjęła ukorzonego małżonka z taką delikatną tkliwością, jak gdyby była księżniczką poświęcającą się dla dobra swego ludu przez oddanie ręki barbarzyńskiemu gospodarowi.

I Berti pokazał, że umie nawet całować rękę.

Ponieważ wyobraził sobie, iż bez zgwałcenia wyroku nie wypada mu z tak elegancką, arystokratyczną damą, jak ta, którą mu sąd przyznał, inaczej mówić niż po niemiecku, ta umiejętność zaś u niego ograniczała się do słów niewielu, więc początkowo uroczyste spotkanie

nabrało ocołwiek wymęczonego charakteru, dopóki ulubieniec Katinki mały mops utuczony nad wyraz, nie wmieszał się między małżonków, gotując się z niemałym trudem na widok Bertiego do zaszczekania; że jednak brak mu do tego było potrzebnego głosu, przeto mimiką wyrażał tylko, że szczeka; — na co Berti zrobił trafną uwagę po niemiecku:

— *Ależ pies głusta!*

Katinka poczęła śmiać się tak serdecznie, że od razu prysła cała wyuczona rola; odzyskawszy napowrót poprzednią powagę, prosiła swego męża, aby z nią mówił zawsze po węgiersku.

Berti skorzystał z tego pozwolenia i zawiadomił panią, że przybył tu, aby z całą świętnością i przepychem, jaki jest przynależnym jej stanowisku i na jaki zdobyć się tylko może, zawieźć ją do rodzinnego swego zamku; pan Borch wyjaśnił mu wówczas znaczenie i ducha wyroku, obdarzył wielu pięknymi naukami moralnemi i powierzył mu następnie małżonkę... O! jakże byli szczęśliwi, że nakoniec mogli do siebie należeć wzajem!

Berti Csollan sprowadził swą panią z ruchami hiszpańskiego hidalga po schodach; do hidalga brak mu było tylko jednego kapelusza na głowie; tego wszakże nie byłby włożył za żadną cenę; niósł go wciąż pod pachą.

Katinka zobaczywszy wspaniałą karetę z stan-

gretem w białej peruce i murzynem z tyłu, skrzywiła się cokolwiek, było to bowiem przesadzeniem już tego, do czego obowiązywał wyrok sądu i wyglądało bardzo na demonstracyą. — Nie jesteśmy przecież w Wiedniu, myślała, a tu w Peszcie przechodnie gapić się będą ciekawi i pytać, kto jedzie w takim ekwipażu? A potem dla czego konie mają dzwonki na szyi?

Ukryła jednak myśl właściwą pod inną uwagą.

— Czy się te konie nie rozbiegną? — spytała i odsunęła się trwożliwie od okropnej arki.

Ale Berti zapewnił o zupełnem bezpieczeństwie i skłonił damę, aby wsiadła do karety, mającej tę właściwość, że skoro raz drzwiczki jej zamknięto, z wewnątrz nikt już nie zdołał ich otworzyć; trzeba było czekać dotąd, dopóki ktoś z zewnątrz się nie zlituje i nie ukręci klamki.

Berti siadł obok niej, wziął cylinder między kolana, w arce bowiem niepodobna było włożyć go na głowę.

Powóz dojechał szczęśliwie do „Czerwonego wołu“, dzikie konie nie zbiegały się z nim jakoś i tu się zatrzymał. Pani wyjrzała przez okno, co to będzie?

Z podwórza „Czerwonego wołu“ wyprowadził parobek dwa piękne o wielkich rogach woły, z wielkimi dzwonkami na szyi; przepyszne to były sztuki bydła. Woły te zaprzągl przed kołmi.

— Panie, co to jest?! — zawołała Katinka.

— Cicho! Przyjdzie coś więcej jeszcze! — uspokajał ją kochający małżonek.

Z kolei młody Rumun wyprowadził dwa tęgie czarne bawoły, również obwieszane dzwonicami i zaprzągnął je przed woły..

— Panie, to nikoziemność! — krzyknęła dama i chciała wyskoczyć z powozu, ale było to niepodobieństwem, nie mogła bowiem otworzyć drzwiczek.

— Wcale nie nikoziemność.. W wyroku nakazano mi, abym moją małżonkę zawiózł do domu z całą świetnością i przepychem, na jakie *zdobyć się może mój majątek*. Do tego wszystkiego obowiązuje mnie wyrok sędziów; wiem, co jest moim obowiązkiem.

Ku dopełnieniu tego obowiązku wyprowadził w końcu jeszcze chłopak cygański dwa piękne siwe osły, które przyprzężono przed bawoły.

Katinka płakała, wściekała się, zapominała, że jest kobietą, — niema nic ohydniejszego nad rozszalałą kobietę, — ale uciec nie mogła. Berti Csollan odpowiadał na wszystkie jej narzekania z krwią najzimniejszą, że sąd mu to nakazał, a on wie co jest jego powinnością!

Tak ruszyła cała dziwaczna kawalkada, i to najludniejszymi ulicami miasta, przez Kecske-metską bramę na ulicę Wiejską. Dzwonki zaprzęgu sprawiły efekt spodziewany. Parobek tymczasem w pewnych odstępach trząsał z ol-

brzymiego bicza, który potrzeba było do obu rąk podnosić. Rumun grał na szałamai, a mały cygan, który wskrobał się na osła, grał na trąbce marsza. Nigdy jeszcze publika w tem mieście, ani przedtem, ani potem nie oglądała podobnego pochodu! Było to widowisko prawdziwe.

Katinka wcisnęła się w kątek powozu i zakryła twarz potrójnym welonem. Mimo to wszakże musiała słyszeć wesole okrzyki zgrai, którymi przyjmowano ją na ulicy i odprowadzano aż do końca miasta. W niejednym okrzyku, który doleciał do jej uszu zdaje się jej, że poznaje głos któregoś z dawniejszych zalotników, a niepodobieństwem już było w pośród całego chóru wrzasków nie posłyszeć przenikliwego, piskliwego głosu Aszalyi'ego, który u samych drzwiczek asystował uroczystemu pochodowi przez miasto i wciąż z istnem rżeniem śmiechu powtarzał: „Najniższy sługa, droga pani, życzę szczęśliwej podróży! Pokorny tługa, pokorny sługa!“

Katinka czuła w każdej kropli krwi klątwę poety: „Żyj pani tak długo, dopóki nie staniesz się śmieszna!...“

SEN POETY.

Czterdzieści lat ubiegło.

Jak to śnił poeta: wszystko wznosi się ku niebu: domy, ludy, duchy...

Gdzie wówczas była piaszczysta pustynia, teraz rozciąga się nowe miasto; w nędznych chatach, co tu i owdzie jeszcze zostały pośród miasta, nowonarodzone pałaców szeregi nie poznają już swoich przodków. W zwierciadle Dunaju przegląda się z upodobaniem najpiękniejszy w świecie krajobraz. Stałe mosty z żelaza, z granitu, łączą oba młode miasta; po przez nie bieży handel świata, pod nimi przesuwają się legion parowców. Dawne ruchome piaski ocieniają dziś ogrody publiczne i wspaniałe promenady; jeden sążeń kwadratowy tego pustego placu tyle dziś wart co niegdyś całe staje, a jedno staje równa się wartości magnackiego majątku. Jak arterye serca tak biegną tędy na wszystkie strony świata wyciągnięte linie kolei z olbrzy-

mich kolejowych dworców stolicy. Życie pieni się wewnątrz i zewnątrz... Nauka i sztuka nie darzą już kijem żebraczym; miłość ojczyzny nie jest już męczeństwem; wolnomyślność już nie nazywa się spiskowaniem; buntem już nie są prawa ludu; narodowość już nie barbaryzmem! Z podniesionem czołem spotyka dziś jeden drugiego, niema różnic godności; każdy jest obywatelem, każdy szlachcicem, każdy pracuje i każda praca przynosi plony.

Ojczysty dramat ma już cztery czy pięć pałaców w stolicy, a wszystkie współzawodniczą z sobą w zewnętrznym i wewnętrznym prze-
pychu.

Liczba rycerzy ducha nie tworzy już drobnej gromadki, lecz wielki zastęp; — i to, co oni mówią, znajduje oddźwięk we wszystkich stolicach Europy.

Pogrzebany naród nie jest już trupem, ale żywym rosnącym olbrzymem, który w ciągu lat śpieszy wynagrodzić opieszałość stuleci.

Głowa ukoronowana nie jest już naszym wrogiem, ale rozumem naszego wielkiego ciała, który z nami razem czuje, z nami razem żyje.

Dziecko wiejskie nie jest już cudzoziemcem we własnym kraju; kraj słyszy własną mowę na tronie, w prawodawstwie, w rządzie, a święto uczonych, którzy go kształcą dalej, jest zarazem

świętem całego kraju. Lud i uczeni zbliżyli się do siebie i rozumieją się wzajem.

Każda narodowość zbudziła się już ze snu, a rozbudzeni idą z sobą w zawody; nie mieczem, nie pochodnią pożogi, ale szkołami, fabrykami, rozwojem duchowym.

Trzydzieści i cztery drukarnie są czynne w stolicy, a prasa rozrzuca codziennie sto tysięcy numerów gazet we wszystkich językach ludów kraju.

Wiara jest oswobodzoną z naleciałości i wolną; niema już paryasów sumienia.

Ręka sprawiedliwości działa szybko, a powszechne poczucie samego ludu strzeże porządku.

Żołnierz jest obywatelem kraju, a każdy obywatel dobrym żołnierzem; wielkie manewra narodowego wojska wzbudzają podziw i zyskują uznanie żołnierzy z powołania.

Uprawa roli nie jest już ślepem szczęściem, nie kuszeniem Boga, ale umiejętnością, uszlachetnionym przemysłem.

Przemysł fabryczny, sztuka plastyczna zdobywają krajowi na wystawach powszechnych zaszczytne miejsce.

Kapitał zagraniczny nabrał zaufania do tego kraju, śmiało przedsiębiorstwa mnożą się i sprwadzają na ziemię wiek złoty.

Kiedy oudzoziemiec przybywa do naszej sto-

licy, widzi w naszych muzeach przeszłość, w naszych naukowych zakładach przyszłość narodu.

Ludność stolicy wzrosła w dziesięćkroć, a z jej rozrostem nie upadły przecieź miasta okręgowe komitatów, przeciwnie brały w rozroście stolicy udział.

Ten człowiek ze spiżu w pośrodku placu Józefa patrzy teraz zdumiony co to się dzieje na okół niego...

E pur si muove! — hasło wydziedziczonych nędzarzy, poetów, artystów uczonych i pionierów ducha, staje się ciałem.

A czyliż o tych pionierach, o tych przodownikach w walce nie pamiętają już szczęśliwsze czasy?

O, nie... Szczęśliwy lud nie zapomina o wdzięczności. Lud ukształcony umie czcić to, co się czci domaga!

Budują Panteon, stawiają posągi na cześć tych, którzy pierwsi torowali drogi, po których przewodnich śladach postępowały potem miliony, aby szukać lepszej ojczyzny we własnym kraju.

Jakżeby pośród tych imion nie rozbrzmiewało nazwisko Kolomana Jenői'ego?

Potomność jest sprawiedliwą. Zawieść, pogarda, obojętność, nienawiść, zemsta, duma, co za życia były jego prześladowcami, od dawna już drzemią w prochu; ci współczesni, co żyją jeszcze są sędziwymi starcami; ale postać jego

pozostaje młodą wiekuiście i do arcydzieła, które wyprzedziło tak daleko swoje czasy, dzisiejsza generacya już dorosła, jest dostatecznie wielką, by je zrozumieć i móż podziwiać.

Co się stało z prochami tego znakomitego człowieka, który podjął wielką walkę i odniósł wielkie zwycięstwo?... Trzeba wznieść pomnik na jego grobie!

Ale gdzież ten grób Jenöi'ego?..

Kto nam go może wskazać, kto choćby naprowadzić na ślad jego?

Jedyny obywatel, który go pochował, umarł już dawno i tajemnicę jego grobu zabrał z sobą do mogiły. Rzemieślnik, wierny aż do śmierci swemu postanowieniu, opryskliwie odpowiadał każdemu kto go błagał o wydanie tajemnicy. Powiadał, że ten nie był przyjacielem, kto nie mógł przybyć na pogrzeb przyjaciela... Kiedy tłumaczyli się tem, że z powodu zarazy, z powodu kwarantanny przybyć nie mogli, odpowiadał im, że był jednak człowiek, którego ani zaraza, ani kwarantanny, ani wielkie oddalenie nie powstrzymało od przybycia; ale nazwiska tegoż nie powiedział również nikomu. Skoro nadejdzie czas, o którym marzył poeta, kiedy i groby zabudują się pałacami, wtenczas na odwróconym kamieniu znajdą już ludzie długo poszukiwane imię... Dwa razy widział już rzemieślnik, jak rozszerzało się miasto, jak stare omen-

tarze nikły pod ulicami nowych dzielnic; takimiż będzie los i trzech obecnych. W tej wierze zabrał z sobą do grobu tajemnicę!

Mylił się wszakże...

Późniejsza generacya przyjętą była świętem poszanowaniem dla grobów przodków, i świeżo budujące się ulice omijały cmentarze. Mogiły poety nie dotknęło burzycielskie zniszczenie.

A w dziennikach poruszano szeroko i długo pytanie: gdzie też znajdować się mogą drogie narodowi popioły?

Pietyzm narodowy chciałby podnieść je, a prochy złożyć w Panteonie; naród chce swego poetę zbudzić do życia w spiżowym posągu i woła nań okrzykiem boleści: gdzie jesteś?...

Lecz tacy umarli są uporni, nie odpowiadają, pozwalają się szukać.

Wtem nadchodzi do akademii umiejętności list z głębi Azyi, z podnóża gór Himalaja, od starego uczonego, o którym sądzono już powszechnie, że umarł oddawna...

Paweł Barko żył jeszcze, i oznajmił im to, czego poszukiwali tak usilnie.

„Idźcie na cmentarz na Francsztatdzie od kamiennego krzyża na wzgórku sto dziesięć łokci w północno zachodnim kierunku; tam znajdziecie czworogranny kamień; a na nim wyryte następne słowa: „był — niema go — będzie!“

Podnieście ten kamień, a na drugiej jego stronie znajdziecie czego szukacie“.

Ha! cóż to była za radość, kiedy szukane tak długo imię ukazało się wreszcie! Jakaż to była uroczystość gdy drogie prochy złożono w spiżową, złotą trumnę i z ubożego niskiego mieszkania przeniesiono do wspaniałego gmachu! Szumi morze głów ludzkich... Cóż to się wznosi po nad niem, takim blaskiem? Katafalk. Co to powiewa dokoła niego? Tryumfalne, krepą poowijane chorągwie. Co świeci w oczach wszystkich? Łzy...

O, gdyby pióro mogło opisać tę wspaniałość!

Co za tłum dostojników! Jakie mowy natchnione!

A kiedy odsłoniono posąg i postać spiżowa podniosła się pod jasnym niebem bożem, na obszernym placu, ujętym w ramę budynków nowej generacji, postać w ręku z lirą i pismem, co żyje wiecznie, z uwieńczonym przez artystę rozumnym uśmiechem na obliczu... O! jakiż wówczas rozległ się okrzyk grzmiący radości z piersi tysięcy, jak biegł z ulicy na ulicę, wzmagając się, rosnąc, rozbrzmiewając wszędy! Okrzyk ten podnosi miasto, kraj cały go pochwycił, powtarza go echem i krzyk ten biegnie aż w sfery błękitu...

Do późnego zmroku ruchoma fala otacza pomnik. Kiedy księżyc wschodzi zastępując na

niebie słońce i postać poety powleka srebrzystą osłoną, snują się tłumy, by ją obejrzeć z bliska. Zwolna dopiero rozprasza się to wszystko, rochochodzi; — coraz ich mniej pozostaje na placu; — noc woła do spoczynku; — nastaje cisza.. Ale i wtedy kiedy już wszyscy się oddalili, pozostaje tam jeszcze jedna postać ludzka; kobieta w żałobnych sukniach stara, zwiędła, złamana. Włosy jej są śnieżystej białości, a na ruinach pięknej niegdyś twarzy, boleść długoletnia pooraa głębokie bróždy.

Kobieta przyciska złożone jak do modlitwy ręce do cokołu pomnika i w niemym, w pół przytomnym zachwycie spogląda ku wzniosłej, pełnej dostojenstwa twarzy spiżowego posągu... Może tak patrzeć w nią będzie do świtu...

...Doroto Decsery! tyś złamana; ale on pozostał wieczyście młodym!...

* * *

A cóż się stało z resztą osób?

Co z innymi bohaterami tej pierwszej walki ducha? z uczonymi, poetami, artystami, którzy razem z Kolomanem Jenöi'm szli drogą krzyżową i nosili z cierniów koronę?

Któż to wie?...

Może pomarli już wszyscy.

Może jeszcze który z nich żyje... Może żyje

dziś jeszcze jaki uczony, który dniem i nocą prowadzi dalej dzieło, dające narodowi jego życie, jemu zaś niedostatek tylko i cierpienie, *do-pokąd żyje?*

Może dziś jeszcze włóczy się gdzieś po świecie, który z tych sławnych artystów lub artystek, dziś tutaj, jutro gdzieindziej, zapomniany, dręczony nędzą... Ta kobieta zgarbiona, którą spotkawszy na ulicy spoglądasz na nią tak pogardliwie za wytarte jej suknie, może to dawna Cilly, a ten co się tam zatacza, którego spychasz na bok spotkawszy na drodze, to może ów niegdyś Banyavary; — może żyją z tajemnego miłosierdzia swoich kolegów z zawodu?... Możeby i to przyjąć są jeszcze za dumni? Może schodzą ze świata jedni po drugich w nędzy, bez słowa skargi i prośby, bo i dziś bolałoby ich skargami swemi zawstydząć naród!...

Ale bądźmy spokojni. Z czasem wszystko będzie dobrze... Kiedy poumierają, pogrzebiemy każdego z nich z wielką wspaniałością i wzniesiemy każdemu pomnik.

Ziemia jednak, którą oni w ruch wprawiali, toczy się zwolna dalej naprzód...



SPIS RZECZY.

	Str.
Poczyna się osierocenie	1
Bohaterka	17
Szczęśliwa miłość	39
Na lodzie	95
Niewinna herbata	110
Na pustyni	143
Sprawy Korteaków i nieszczęścia domowe	178
Korekta	202
Brzask	226
Był — niema go — będzie	243
Szukają go, ale nie znajdują	252
Koniec walki	261
Sen poety	270



23/10/47

26.

1993-01-08

05.05.1999
2009-03-02

2011-02-14

2013-09-09

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

13429
sp